

Dell Ethel Mary

Dzieje jednej nocy

Pewnej nocy w willi kapitana Packersley'a w Bhanapore. gdzie stacjonuje angielski garnizon, pada strzał, ginie major Chisledon. Strzelała jego żona, Yvonne, ogarnięta paniką, ale rycerski Pax bierze winę na siebie. Yvonne jest zakochana w Chrisie Markhamie. zaś Packersley kocha siostrę zabitego majora. Klarę i niedawno oświadczył się ojej rękę...

Tak nawiązuje się intryga tej powieści, który, polecamy Czytelnikom nie tylko dla jej ciekawej, pełnej dramatycznych napięć akcji, ale i dla trafnego rysunku ludzkich charakterów i różnych twarzy miłości, która potrafi zarówno niszczyć, jak i przywracać do życia.

SKARGA

Peters pogwizdywał krzątając się w domu swego pana. Peters gwizdał stale, w jakim by nie był usposobieniu. To mu pomagało zachować pogodę ducha w tej okolicy, która sprzyjała raczej melancholii. Chciał przy tym za wszelką cenę utrzymać swą reputację wesołego chłopca. Ale gwizd jego był dyskretny; był to akompaniament przy robocie, spełnianej bardzo skrupulatnie. Peters uważał się za uprzywilejowanego zajmując stanowisko, chociażby podrzędne, przy boku wybitnego oficera. Należało przy tym liczyć się ze znajomymi i zwalczać ich poglądy; bywali tu ludzie, którzy nie kryli się z tym, iż wolą usługi krajowców.

Peters gardził wszystkim, co było elementem miejscowym. Uważał Hindusów za nieudane okazy rasy ludzkiej, niegodne istnienia na tym świecie. A kiedy major w jego obecności wygłaszał cierpkie uwagi na temat ich rzekomej wyższości nad białymi służącymi, w jego duszy wrzało, jakkolwiek usta miał starannie zaciśnięte i tylko wydobywał się z nich ledwo słyszalny gwizd.

Major Chisledon nie był taktownym człowiekiem. A raczej starał się o to, aby być przeciwieństwem taktu.

Zarozumiały, głośno mówiący, nie zaskarbił sobie bynajmniej popularności. Jego ludzie nie cierpieli go, chociaż zmuszeni byli przyznać mu niechętnie nieprzeciętnie silną indywidualność. Żywili dla niego pewien ponury podziw.

Była w nim jakaś moc, która wzbudzała lęk nawet w najbardziej nieokiełznanych naturach.

Odwiedzał on często willę kapitana Packersley'a dla tej prostej

przyczyny, że była ona położona po drodze pomiędzy kasynem a jego własnym domem. Nie miał wielkiej sympatii dla kapitana Packersley'a, a szczerze nie lubił młodego Chrisa Markhama, który dzielił z kapitanem mieszkanie, ale to nie wpływało na częstość wizyt majora. Wstępował, ile razy mu to było na rękę, a mieszkańcy willi musieli się z tym godzić.

W tej chwili nie było w domu nikogo, ale Peters podejrzewał mocno, że major zjawi się niebawem i odpowiednio do tej myśli zmienił ton swego gwizdania. Nie miał bynajmniej zamiaru dostarczyć majorowi powodu do skierowania przeciw niemu ostrza swego języka.

Był upalny wieczór, bo zbliżała się połowa kwietnia, a Bhanapore jakkolwiek nie jest, ściśle biorąc, miejscowością równikową, to jednak ma bardzo gorący klimat o tej porze roku. Powszechnie uważano, że pobyt tu nie jest niemożliwy dla białych kobiet w okresie indyjskiego lata, niemniej nieliczne były panie, które miały odwagę tu przebywać w tym okresie. Peters nie ganił ich za to, skądże!

O kilka godzin drogi znajdowała się wysoko położona stacja klimatyczna i tam większość Europejek spędzała letni sezon, ale do końca miesiąca wędrówka na wzgórze nie była obowiązująca, do tego czasu miasto było jeszcze pełne ożywienia i rozrywek.

Dzisiaj odbywały się wyścigi konne. Kapitan Packersley, Pax, jak go nazywali poufale niektórzy, wszedł na kilka biegów. Wstępował tak nieraz i często wygrywał, zawsze pogodny, cichy, spokojny, czemu zawdzięczał swe przezwisko (Pax — pokój po łacinie). Wielu ludzi podziwiała Paxa za ten jego zmysł sportowy, ale Peters szedł dalej: Peters ubóstwiał go.

Peters wślizgnął się do służby kapitana przed trzema laty, omotawszy go swym wdziękiem; żadne złośliwe uwagi majora nie zagrażały jego mocnej pozycji. Należał do ludzi, którzy umieją uczynić się nieodzownymi. Doszedłszy do wniosku, że kapitan jest nader pożądanym zwierzchnikiem, zaanektował go. W Indiach miał przewagę nad „czarnymi”, bo jakże mógł któryś z nich wiedzieć, jakie upodobania ma Europejczyk? Tylko Petersowi wolno było dotykać jego ubrań sportowych, jego mundurów. Uważał je poniekąd za swoją własność i pilnował ich jak matka swe niemowlę. Major mógł mówić, co chciał. Zresztą nie jego rzecz.

Dźwięk jego głosu wyrwał Petersa z rozmyślań. Oczy rozbłysły mu nienawiścią. Słysząc było tylko ten jeden głos, chociaż niezawodnie towarzyszyła mu druga osoba. Zbliżały się bowiem kroki dwóch par nóg. Widocznie kapitan równocześnie wracał do domu. Gdy weszli na werandę, dosłyszał Peters słowa swego pana:

— Nie, nie wiem, gdzie jest Chris. Wyszedł już dość dawno. Zapewne poszedł do kąpieli.

— Niech diabli wezmą ten basen! — odparł jego towarzysz cierpko. — Ja znam zresztą lepiej Chrisa!...

— Czyżby? No, to siadaj i napij się czegoś, majorze, — rzekł Pax uprzejmie. Zajrzał do sypialni. — O, Petersie, jesteś tutaj?

Peters promieniał. — Miałem parę wolnych minut, panie kapitanie, więc przyszedłem oczyścić mundury.

Zaniedbane nieprawdopodobnie! Żakiet nie oglądał szczotki od onegdaj, od chwili, kiedy...

— Kiedy ty go oczyściłeś własnoręcznie, wiem już — rzekł Pax. — Mniejsza o to na razie! Powiesz Akbarowi, żeby mi przygotował kąpiel, potem możesz odpocząć.

— Czy nie mam raczej pomóc panu, panie kapitanie? — zaproponował Peters.

Ale Pax odrzucił propozycję. Utrzymanie poprawnych stosunków między Petersem a służbą kolorową sprawiało często znaczne trudności.

— Nie, dziękuję. Sam sobie poradzę. Dobranoc, Petersie.

— Dobranoc, panie kapitanie — rzekł Peters, trochę rozczarowany, kładąc szczotkę i rzeczy w kącie szafy i przyklepując je starannie.

Pax powrócił do gościa i do napojów, które czarna służba ustawiła na stoliku.

Chisledon rzucił się na wygodny fotel i patrzył na niego błyszczącymi oczami. — Twój dawny ordynans wiecznie tu sterczy? Dlaczego nie pozbywasz się go?

— Bo uważam, że jest użyteczny — rzekł Pax. — Jest to najlepszy służący, jakiego miałem kiedykolwiek. Poczęstuj się, dobrze?

Chisledon poczęstował się hojną dłonią. Pax napelił również swój kieliszek i usiadł. Smukły, atletycznie zbudowany, muskularny i wy-trenowany, stanowił jaskrawy kontrast z mężczyzną, siedzącym na wprost niego. John Packersley miał w sobie coś wybitnie angielskiego, coś wielkodusznego. Nigdy nie wymyślał, rzadko kiedy wypowiadał

jakieś zdanie, a jednak liczono się z nim w pułku nie mniej niż z Chisledonem, który piorunował, gdziekolwiek się zjawił. Wywierał on magnetyczny wpływ na ludzi, umiał z nimi postępować; nie każdy go rozumiał, ale każdy żywił dla niego szacunek, był pod jego urokiem. Pułkownik zaś uważał go z tego względu za jednego ze swych najcenniejszych oficerów. W Paxie były możliwości, które wraz z wrodzoną odwagą powinny go zaprowadzić na szczyty kariery wojskowej. Pułkownik Risborough mówił do swojej żony nieraz, że ten młody człowiek ma zadatki na wielkiego kierownika i wodza; może urodził się cokolwiek za późno, ale nadarzy się jeszcze sposobność zatknięcia flagi brytyjskiej na szczycie niejednego masztu! Pax nie zawiedzie nigdy nadziei w nim pokładanych: ten będzie szedł prosto do celu i nie spocznie, dopóki dobru publicznemu nie stanie się zadość. W takim razie, zauważyła pani Risborough, musiałby być bardzo bezwzględny i mało uczuciowym człowiekiem; może nim jest, jakkolwiek z trudem jej przychodzi przypisywać mu te cechy.

— Czekaj, a zobaczysz! — odpowiadał stale mąż.

Możliwe, że Guy Chisledon przeczuwał w nim tę ukrytą moc, bo nigdy nie doprowadzał swej zaczepnej taktyki do ostateczności, gdy szło o Paxa. Nie zgadzał się z nim na każdym kroku, jak zresztą ze wszystkimi, ale nie przeczył mu w sposób tak gwałtowny, jak innym kompanom, ani też nie ośmieszał jego poglądów. Stanowczo był zdania, że nierozsądkiem jest zatrzymywanie Petersa w służbie kapitana i wypowiadał to głośno i agresywnie, ilekroć mniemał, że Peters może go słyszeć.

Pax nie usiłował zabawić gościa rozmową. Siedział przed swoim kieliszkiem z dłonią opartą na łbie Elfrydy, wiernej suczki Chrisa Markhama, patrzącej na niego z niemą adoracją. Według wszelkich praw psiej natury powinna była kochać nade wszystko swego pana, ona zaś wołała Paxa i bynajmniej się z tym nie kryła. Do Chrisa odnosiła się poprawnie, Paxowi okazywała bezgraniczne uwielbienie. Może i ona odczuwała to nieokreślone coś, drzemiące w tym człowieku.

Chisledon wychylił do dna kieliszek i popatrzył badawczo na tacę.

— Co on do licha robi? — rzucił. Pax podniósł oczy.

— Kto? Peters?

— Nie, Markham. — Chisledon nieomal wyszczekał to nazwisko. — Ja wiem ciekawe rzeczy o tym chłopcu, opowiem ci je, jeżeli zechcesz.

— Nie życzę sobie — odrzekł Pax. — Co innego mi w głowie.

— Dlaczego nie miałbym ci tego opowiedzieć? — nalegał Chisledon. — Wszyscy o tym wiedzą, jest to oczywiste. Pax patrzył prosto przed siebie.

— To, co jest oczywiste, nie zawsze jest ważne, majorze — rzekł z wolna.

Chisledon wznosił brwi do góry.

— Tak? No dobrze, ale muszę ci oświadczyć, że ja mam dosyć tego ciągłego rozpraszania się na flirciki... Kobiety są wszędzie jednakowe. Każda gotowa jest rzucić rękawiczkę byle jakiemu chłystkowi, który zabiega dokoła niej.

— Nie powiedziałbym, aby kobiety były wszystkie jednakowe — rzekł Pax spokojnie.

Ręka Chisledona, trzymająca butelkę, zawisła przez chwilę w powietrzu.

— Mówisz tak, bo nie znasz kobiet — odrzekł. — Nie szkodzi. Poznasz je.

W odpowiedzi tej był odcień impertynencji, ale Pax zachował zimną krew. Patrzył w swój kieliszek i ani drgnął. Było w nim coś, co przypominało te świetnie wygarbowane skóry, które nie niszczą się i nie rysują na skutek długiego noszenia. Nietakty majora nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Nie trwonił czasu na takie głupstewka.

Chisledon kręcił się niespokojnie na krześle i dolał sobie niecierpliwą dłonią trunku z innej butelki. W oczach jego był gniew.

— Chodzi o to — rzekł z nagłym patosem — że jeżeli nie dopilnujesz Markhama, to może wyniknąć z tego wszystkiego hałas nie byle jaki, istny skandal!

Pax podniósł brwi. — Zawsze uważam wszelki hałas za błąd — rzekł po dłuższym, rozmyślnym milczeniu. — Ten chłopiec jest dżentelmenem. On nie może stać się przyczyną skandalu.

— Jest diablo zakochany, zanadto na mój gust — wybuchnął major. — Zanadto jak na dany obiekt w każdym razie. Zresztą to twoja rzecz, Pax! Ostrzeż go, bo w przeciwnym razie znajdzie się w bardzo

zagmatwanej sytuacji prędzej czy później. A nawet już wkrótce grożą mu poważne nieprzyjemności i to z mojej strony. Dosyć mam tego! Ożeniłem się z moją żoną dla swojej, nie dla cudzej przyjemności. Pax patrzył na niego bacznie.

— Twoja żona, majorze! Czy pewien jesteś, że się nie mylisz? Chisledon nie spuszczał z niego oka.

— Nie bądź głupcem — wybuchnął i urwał, a po chwili dodał — Albo jesteś wierutnym głuptasem, albo aktorem? Pax uśmiechnął się lekkim, obojętnym uśmiechem.

— Mam nadzieję, że nie jestem ani jednym, ani drugim. Weź papierosa! — podsunął mu pudełko. — Powinieneś wiedzieć, jak zwodnicze są pozory. To wszystko.

— Jakie pozory? — spytał Chisledon, strząsając popiół z papierosa z energią pełną urazy.

Pax wzruszył lekko ramionami.

— Pozwól sobie powiedzieć, że twoja żona nie jest jedyną czarującą damą w waszej willi.

— Wielkie nieba, człowieku! — Chisledon roześmiał się nagle, a śmiech ten zabrzmiał raczej jak szczekanie rozwścieczonego zwierzęcia. — Czy chcesz mi dać do zrozumienia, że jakikolwiek mężczyzna, nawet skromny podwładny spojrzysz na moją siostrzyczkę, małą „Błądą twarz”, jak ją nazywam, skoro przy niej znajduje się Yvonne? To publiczna tajemnica, że wszyscy mężczyźni nadskakują Yvonne, ale mały Markham posuwa się aż do bezczelności. A ja sobie tego nie życzę, powtarzam. To ma ustać!

Pax zapalił papierosa, zamyślony.

Chisledon miotał się, wpędzał się w coraz sroższy gniew.

— Co rano konna przejażdżka albo tenis, co wieczór konna przejażdżka albo tenis, co noc tańce, a gapienie się na siebie przez cały ten czas, aż jestem chory z zazdrości, udręczony. „O, my jesteśmy partnerami”, mówi Yvonne.

Boże wielki! Partnerami! Im się zdaje, że ja będę siedział z zamkniętymi oczami, a oni będą mnie ośmieszali!

— Jeszcze tylko dwa tygodnie — zauważył Pax po krótkim milczeniu.

— Dwa tygodnie! — Chisledon tupnął nogą z wściekłości. — A tobie się zdaje, że to za mało, dwa tygodnie, aby się coś mogło stać.

Człowieku, jesteś zbyt naiwny! Oni są opętani wzajemnie, każdy to widzi. Ostrzegałem Yvonne, ale nie mogę mówić wyraźnie z powodu ciągłej obecności Klary. Zresztą, ona jest śliska jak węgorz. Zawsze ma pod ręką jakiś wyborny pretekst i wystrychnie mnie na dudka. Ale jeżeli ich przyłapię na gorącym uczynku, jak Boga kocham, zastrzelę bez pardonu oboje! A może zdołam zapanować nad sobą tyle, że tylko po kolei wsypię każdemu z obojga przykładne lanie!

Pax wyprostował się sztywno. Palił papierosa i całą swą postawą przeciwstawiał się jaskrawo gwałtowności tamtego. Gdy Chisledon zamilkł, on przemówił stanowczo; twarz jego nie zdradzała najmniejszego wzruszenia. — Tego rodzaju zemsta nie byłaby rozwiązaniem sprawy, majorze i nic by ci nie pomogła. Pewien jestem, że przesadzasz, że honor twój nie jest zagrożony, ale nie mam danych, aby sądzić o tym. Jeżeli uważasz, że dwa tygodnie mogą zaciążyć na twoim losie, to dlaczego nie miałbyś wysłać natychmiast żony i siostry do Kapoo? Panna Chisledon wygląda tak, jakby bardzo potrzebowała zmiany powietrza.

— Otóż to właśnie całe nieszczęście! — wybuchnął znowu major. — Wolałbym raczej w tej sytuacji zatrzymać Klarę przy sobie nieco dłużej, a wysłać zaraz Yvonne, tymczasem BentrIDGE'owie zaprosili małą na przyszły tydzień do siebie, a Yvonne ma wyjechać dopiero po konkursie polo. Jakby za mało było tego tańczenia, do licha! Dziś będą tańczyli do Bóg wie której godziny przy dźwiękach tego piekielnego foxtrotta, którego rytm przyprawia o obłęd najzdrowszych ludzi. Paxie, dzisiaj nastały takie czasy, że człowiek żonaty może tylko czekać na sposobność uwiedzenia cudzej żony tytułem odwetu za odbicie mu własnej! A faktem jest, że tutaj nie znajdziesz kobiety, zameżnej czy wolnej, która by się w przybliżeniu mogła równać z Yvonne. Ona wie o tym, szelma! Dlatego tak mi się zrećźnie wymyka.

Ostatnie słowa wypowiedział z odcieniem dumy. Drugi kieliszek alkoholu uśmierzył żądzę zemsty. Może powaga, z jaką Pax traktował sprawę, przyczyniła się także do uspokojenia wzburzonych nerwów Chisledona. Liczył się, bądź co bądź, z jego zdaniem.

A Pax milczał, siedział nieruchomy na krześle i nie okazywał majorowi żadnej sympatii ani współczucia. Pozornie nie przywiązywał wagi do niepokoju towarzysza, ale gdy w końcu przemówił, słowa jego były ważne.

— Jeżeli rzeczywiście chcesz, żebym ostrzegł Markhama, uczynię to, chociaż zawsze jestem zdania, że podkreślanie pewnych rzeczy, nadaje im niepotrzebną doniosłość i wyolbrzymia je poniekąd. Ale — tu uśmiechnął się blado — nie chcę skandalu w pułku, więc dołożę wszelkich starań, aby załatwić to taktownie.

— I możesz mu powiedzieć w moim imieniu, że o ile to nie wystarczy, to otrzyma ode mnie upomnienie bezpośrednie, trochę dotkliwsze i z pewnością dla niego niepożądane — rzekł Chisledon podnosząc się z fotela. — Obecnie pojechali na konną przejażdżkę we dwoje, jestem tego pewien.

— Wrócą niebawem — rzekł Pax. — Markham musi się przebrać. Chisledon roześmiał się brzydtko.

— Moja żona także. Przynajmniej ona nazywa to ubieraniem się, ja zaś wręcz przeciwnie.

— Przebieranie się na wieczór jest zbyt cennym konwenansem przy tej pogodzie — rzekł Pax wstając — ale ja sam muszę to również uczynić. Czy będziesz dzisiaj wieczorem na dancingu, majorze?

— Nie. Gram w szachy z Johnem, to lepsze spędzenie czasu — odrzekł Chisledon biorąc kapelusz. — A ty?

— O, ja prawdopodobnie pójdę do klubu — rzekł Pax — Nie jestem wielkim zwolennikiem tańca, ale znajdę tam sympatycznych ludzi i sposobność do pogawędki.

Chisledon wsiadł na rower. — Lepiej byś zrobił, gdybyś posiedział z Klarą — rzekł. — Ona cię nie rozdrażni i nie rozgniewa niczym i będzie dla ciebie miła.

— Zawsze jest miła — odrzekł Pax schylając się, aby pogłaskać łeb Elfrydy.

Major zniknął za zakrętem.

OSTRZEŻENIE

Zaraz po jego odejściu rozległy się w domu inne kroki i Chris Markham stanął na werandzie: wysoki, ogorzały, młody Herkules z brązu. Śmiał się, idąc ku przyjacielowi.

— Halo, Pax! Jest coś do picia? W gardle mi zaschło aż strach!

— Tu są butelki i kieliszki — Pax wskazał na stolik. Chris popatrzył na tacę.

— Był tu ktoś? Chyba nie major?

— Właśnie on — odrzekł Pax.

— Przeklęty typ — rzucił Chris.

— Miły nie jest — mruknął Pax.

Chris przyjrzał mu się swymi błyszczącymi oczami.

— Istna plaga! Nigdy nie możemy się go pozbyć!

— Przecież już go nie ma — zauważył Pax.

Chris orzeźwił się pociągawszy kilka głębokich łyków wina i odstawił kieliszek. — Tak, możemy być Panu Bogu wdzięczni i za to. Do licha, późno się zrobiło!

— Rzeczywiście, spóźniłeś się — rzekł Pax. — Czy idziesz do kasyna na tańce?

— Naturalnie! — Chris urwał nagle. — A ty?

— Ja także — odparł Pax. — Przejdziemy się razem, dobrze? Mam z tobą do pomówienia serio.

Chris uśmiechnął się nieszczerze. — Ślicznie, byle z tego nie wynikło spóźnienie pozbawiające mnie pierwszego tańca. Hakim! Gdzie jesteś? Kąpiel!

Pobiegł w kierunku łazienki, Elfryda za nim. Pax zgasił papierosa i poszedł się ubierać. Twarz jego wyrażała powagę, usta były zaciśnięte.

Nie nadarzyła się sposobność do rozmowy między przyjaciółmi, bo Chris tak marudził, że Pax nie czekając na niego wyruszył w kierunku klubu. Dopiero u celu prawie dogonił go Markham, zgrzany, zdyszany.

— Szczęśliwiec z ciebie! Nigdy ci nie jest gorąco! Jakim sposobem?

— Sposób jest tylko jeden — odrzekł Pax — trzeba patrzeć w niebo. Chris podniósł oczy ku gwiazdom i zaśmiał się wesoło. — Czy to

się naprawdę na coś zdaje? — zapytał tonem nie wymagającym repliki.

Pax milczał. Nie był mistrzem słowa. Weszli razem do hallu kasyna i rozeszli się w dwóch różnych kierunkach.

Wieczór był upalny, rozmowy rwały się. Pax i Chris spotkali się niebawem na wielkim tarasie i usiedli razem przy stoliku, przy którym kilku oficerów ocierało już pot z czoła, rzucając luźne uwagi o wypadkach dnia i popijając napoje chłodzące.

Noc była ciemna i parna, z daleka dochodził ponury pomruk grzmotu. Niebo było niemal czarne nad głowami oficerów, ale deszcz nie spadnie tu jeszcze przez kilka tygodni. Ziemia popęka z suszy i upału, zanim ten odległy piorun przybliży się, a wtedy rozpocznie się długotrwała, kilkudniowa ulewa.

Nagle zajechał samochód rzucający ostre światło reflektorów. Chris chwycił Paxa za rękę: — Chisledonowie! — szepnął.

Pax odrzekł zniżonym głosem:

— Słuchaj, Chrisie, kompromitujesz siebie, a zwłaszcza ją... to ważniejsze... Przestań!

Chris robił wrażenie zaskoczonego. Opanował się szybko i zwrócił się do Paxa:

— Kto to mówi?

— Ja... ja sam.

— Czyżby? — spytał Chris cichym głosem, w którym słyhać było nutę gniewu. A kto jeszcze?

— Jeszcze ktoś, istotnie — odparł Pax z całym spokojem. — Ale to nie moment na rozprawę. Grunt, żeby nie wywołać głupich plotek ani skandalu, Boże broń! Wiem równie dobrze jak ty, że nic złego nie ma w tym wszystkim, ale pozory muszą być zachowane.

11

— A skąd wiesz, że nic w tym nie ma „złego”? — spytał Chris znowu tym samym agresywnym tonem. — Czy to ci też powiedziano?

— Tego nie potrzebował mi nikt mówić — odrzekł Pax — znam ciebie i to mi wystarcza.

— Tak myślisz — mruknął Chris.

Pax przyjął milczeniem to sprostowanie. Po chwili rzekł:

— Tak jest, tak myślę. A uważam stanowczo, że tego rodzaju skandale są niepożądane ze wszech miar dla wszystkich.

— A kto mówi o skandalu? — spytał Chris.

— Zdaje się, że cała miejscowość zaczyna o tym mówić — odparł Pax. — Twoją jest rzeczą przeciąć te plotki.

— Czyżby? — rzucił Chris. — Czy byłeś kiedyś w takim położeniu i spróbowałeś zahamować ludzkie języki?

— Nie, istotnie, nie byłem nigdy tematem plotek — rzekł Pax. Chris śmiał się głośno. — Bo ukrócić rozpetane języki jest rzeczą

niemożliwą. Domyślam się, że ty nigdy się nie wykoleiłeś ani na chwilę. Masz szczęście!

— Nie zarzucam ci, że się wykoleiłeś — rzekł Pax. — Zarzucam ci, że za szybko zmierzasz do celu i nie liczysz się z przeszkodami.

Chris wzruszył ramionami. — Tak, powtórzyłeś mi to już trzykrotnie i koniecznie się domagasz, żebym przestał dostarczać tematu do plotek. A teraz przypuśćmy, że nie mogę tego uczynić!

— Dlaczego?

— Nie mogę! Jestem bezsilny! — Chris zaśmiał się znowu, ale nie był to dźwięk radosny.

Ręka Paxa wyciągnęła się po ciemku i objęła mocno ramię Chrisa. Upłynęła długa chwila. Wreszcie rozległ się głos Paxa:

— W takim razie, mój chłopcze, powinienes iść polować na tygrysy, a im szybciej tym lepiej.

WEZWANIE

Dużo osób zgromadziło się tego wieczora w salonach kasyna oficerskiego. Świadomość, że sezon zbliża się ku końcowi wytwarzała atmosferę wesołości niemal gorączkowej; każdy chciał wyzyskać ostatnie chwile zabawy i przebywania w gronie znajomych, w którym jesień mogła przynieść różne zmiany. W powietrzu unosił się przy tym pewien żal, coś jakby tchnienie tęsknoty w przeczuciu rychłego rozstania z tylu przyjaciółmi. Mecz polo, mający się odbyć za dziesięć dni będzie ostatnim ogniwem w łańcuchu licznych rozrywek tegorocznego sezonu.

Pax stanął na progu sali tanecznej. Wahał się, czy wejść, tak zdawał sobie sprawę ze sztuczności tego otoczenia. Ale Chris pociągnął go za sobą.

Znalazł się pośród roześmianej grupy młodzieży. Rej tu wodziła ciemnowłosa dziewczyna niezwyklej urody. Chris przesunął się między tańczącymi parami i stanął tuż przy niej, Pax pozostał w pewnej odległości. Yvonne Chisledon była wyjątkowo ponętna. Główkę trzymała podniesioną jak królowa, a jej żywość, jej impulsywność nadawały jej ten odcień wdzięku na wskroś indywidualny, którego nikt nie potrafi naśladować. Żywotność jej udzielała się wszystkim tym, którzy się z nią stykali. Zdawało się, że jest naładowana elektrycznością.

Przed trzema laty wyszła za mąż za Guy'a Chisledona, na dwa miesiące przed wyruszeniem pułku do Indii, ale obecnie spędzała pierwszy sezon na Wschodzie. Niedyspozycja, dość silna, nie pozwoliła jej towarzyszyć mężowi wcześniej, a teraz, wyleczona, przyjechała tu niedawno po wielu ociąganiach się, których przyczyny były bardzo

mgliste, nawet dla samego Chisledona, a może najbardziej dla niego właśnie. W końcu major stracił cierpliwość i postawił żonie ultimatum: albo przyjedzie dobrowolnie z jego siostrą, albo on sam pojedzie po nią i sprowadzi ją siłą. Wybrała to pierwsze i obie przybyły na Boże Narodzenie w okresie największych chłodów.

Ona i Klara Chisledon były koleżankami z pensji; Yvonne była tylko o dwa lata starsza od Klary. Pozostały przyjaciółkami po ukończeniu studiów, czemu dziwiło się dużo osób. Trudno bowiem o jaskrawszy kontrast, jak te dwie kobiety. Klara liczyła 26 lat, była szczupła, blada, niepozorna, według zdania większości. A jednak Klara była tą, która przewodziła i której starsza przyjaciółka poddawała się z dziwną uległością.

Klara była osóbką o ideałach całkiem własnych, oryginalnych. Jakkolwiek była skryta z natury, nie tała swego uwielbienia dla bratowej. Wszyscy wiedzieli o tym. Kobiety nienawidziły Yvonne i potępiały ją na każdym kroku, ale Klara była jej oparciem. Klara stała nawet pomiędzy nią a jej mężem, ilekroć stosunki małżeńskie były naprężone. Bo Klara jedna nie bala się Guy'a Chisledona. Trzydzieści lat starszeństwa nie dały mu nad nią przewagi, gdyż faktycznie drogi ich życia rozeszły się wcześniej. Dlatego nie osiągnął na nią wpływu, ani nie zdobył sobie jej sympatii. Teraz jednak zżyli się szybko. Klara rozumiała brata, a jej koleżeństwo stało się rychło najdotodajszym wpływem, jakiemu ten twardy człowiek podlegał kiedykolwiek.

Panna Chisledon była członkiem owej grupy stale otaczającej Yvonne, ale był to raczej członek bierny.

Gdziekolwiek się zjawiała, Yvonne zaćmiewała Klarę swoją olśniewającą urodą, żywością, kokieterią. Młodej dziewczynie najwyraźniej bardzo to dogadzało. Niewielu mężczyzn zapraszało ją do tańca i tylko, o ile karnet Yvonne był przepelniony; jeden tylko tańczył z nią stale. Tym jednym był John Packersley, który i teraz czekał na sposobność z cierpliwością zwyciężającą wszelkie przeszkody.

Niebawem zdała sobie sprawę, że on czeka na nią. Już nieraz tak bywało, ku jej niemałemu zdziwieniu. Ale on nie zbliżył się, dopóki Chris nie zaprosił Yvonne do pierwszego tańca. Gdy już pary zaczęły się poruszać rytmicznie, bez pośpiechu, Pax stanął przy jej boku.

— Ten taniec należy chyba do mnie — rzekł tonem twierdzącym raczej niż pytającym.

Popatrzyła na niego z wahaniem w szarych oczach.

— Czy umówiliśmy się, że tańczymy go razem? — spytała. Uśmiechnął się. — Nie, że zatańczymy, nie. Że wyjdziemy na taras i posiedzimy.

W odpowiedzi na te słowa uśmiechnęła się również bladym uśmiechem.

— Och, więc i pan odczuwa tak samo?...

— Ja zawsze tak odczuwam — rzekł Pax szybko. — Chodźmy na taras!

Posłuszna poszła za nim. Na jej bladej twarzy malowała się zaduma. Yvonne powiedziała jej, że nie powinna nosić białych sukien. Za bladą ma cerę. Yvonne miała na sobie suknię wiśniową i wyglądała w niej prześlicznie.

Ale w bladości Klary było coś nieokreślonego, co stanowiło niezaprzeżony powab. Była to białość nie obawiająca się kontrastów.

— Pani jest bardzo zmęczona — rzekł Pax.

Na tarasie stały krzesła. Ciągnął się on wzdłuż całej sali tanecznej. Przez szeroko otwarte okna weneckie wylewały się potoki światła. Rytm muzyki i szum nóg tańczących par towarzyszył ich rozmowie.

Klara siedziała, a Pax stał przed nią, aż w końcu i on wziął sobie krzeselko i usiadł.

— Sądzę, że pani nienawidzi Indii — zaczął. Odpowiedziała gestem znużenia.

— Czy się mylę?

— Wszędzie można odczuwać to samo — rzekła wymijająco.

— Ja obecnie polubiłem Indie — rzekł kapitan ze spokojnym namysłem. — W odpowiednich okolicznościach każdy pobyt nabiera wartości.

— Możliwe.

— Przypuszczam, że Kapoor będzie się pani podobało.

— Przeciwnie, będę nienawidziła tej właśnie miejscowości — odparła Klara z energią, o którą nikt by jej nie był posądził przed paru minutami.

Pax siedział w milczeniu przez dłuższą chwilę, w końcu rzekł:

— Nie wiem, czy wolno mi zapytać, dlaczego?

— Owszem. To brzmi oczywiście bardzo nierozsądnie. Nie lubię miejscowości, której się nigdy nie oglądało na oczy. Ale przeczuwam, że panuje tam jakaś otruta atmosfera, w której orientuję się już dzisiaj doskonale. Tego wrażenia nic nie zdoła zmienić. To jest okolica, w której dzieją się rzeczy nieczyste.

— Wiem, co pani ma na myśli — rzekł Pax poważnie.

— Oceniam pana takt. Mógłby mi pan bowiem odpowiedzieć, że te nieczyste rzeczy dzieją się wszędzie. Wiem o tym. Ale bywa, że łatwiej im zapobiec w pewnym otoczeniu, trudniej w innym. Przy tym mogą się tam bardziej uwydatniać, stać się rażące.

— Zacznie pani wkrótce tęsknić do domu! — rzucił.

— Nie mam domu, za którym mogłabym tęsknić. Yvonne i ja zwinęłyśmy nasz mały domek, dom naszych snów i marzeń przyjeżdżając tutaj.

— Mieszkałyście panie razem? — spytał Pax.

Zwróciła głowę ku niemu. Rozmawiali już niejednokrotnie, ale nigdy nie poruszali spraw osobistych.

— Mieszkałyśmy razem, kiedy Yvonne i Guy poznali się — rzekła. — Następnie oni się pobrali, a ja zaczęłam się rozglądać za posadą, ale Yvonne uległa wypadkowi samochodowemu, byłam jej potrzebna' więc pozostałyśmy w naszym domku, dopóki to było konieczne ze względu na jej stan zdrowia. Domek był bardziej jej niż mój, ale ona często wyjeżdżała, gdy czuła się dobrze, ja zaś prowadziłam gospodarstwo i tam najchętniej przebywałam.

— Była pani bardzo dobra dla niej — zauważył Pax.

— O nie, robiłam to dla własnej przyjemności. Odpowiadała mu teraz ze smutkiem.

— Możliwe, że dla niej byłoby to lepiej i dla Guy'a także, gdyby mnie tu nie było — dodała.

Nie zadał jej żadnego pytania. Może rozumiał, że nie należy dalej pytać na ten temat. — Przypuszczam, że dla niej jest to wielkie szczęście, iż ma panią przy sobie — rzekł. — A co się stało z małym domkiem?

— Jest on własnością Yvonne. Wynajęła go z meblami. Jest położony w pobliżu miejscowości zwanej Wychmere, o milę od morza. — Stłumiła westchnienie. — Turyści, którzy rzucają za siebie

obierzyny owoców i papiery od kanapek nie wykryli go jeszcze, naszego cichego schronienia.

— Tam była pani szczęśliwa — rzekł Pax.

— Bardzo — przyznała. — Ale nie chciałabym tam mieszkać sama, tym bardziej, że nie stać mnie na to. Yvonne sprzedałaby prawdopodobnie ten domek, gdyby otrzymała korzystną ofertę.

— I zostawiłaby panią bez własnego domu?

— To już nie jest od dawna mój dom. — Wyrzekła te słowa bardzo spokojnie. — Kiedy wrócę do kraju, zacznę znowu szukać posady.

— Zamierza pani wracać niebawem?

— Tak, mam zamiar wrócić. — Odpowiedź jej zabrzmiała stanowczo. — Ale jeszcze nie zaraz. Teraz jest zbyt gorąco na podróż.

— Nie to jest przyczyną zwłoki. — Pax wyjął papierośnicę i poczęstował ją.

— Nie, dziękuję. Ma pan słuszość — rzekła wahając się trochę — nie to jest przyczyną zwłoki. Ale kiedy ludzie byli dla nas tak dobrzy, jak Yvonne i Guy są dla mnie, należy upozorować odjazd w ten sposób, aby nie sprawić im przykrości.

— Rozumiem — rzekł Pax. — A zatem pozostanie pani zapewne w Indiach aż do jesieni.

— Sama nie wiem właściwie, jak długo mam tu pozostać — odrzekła. — To będzie zależało od okoliczności...

— Tak? — spytał Pax.

— Pan wie, że jadę do Kapoo w przyszłym tygodniu z Bentrid-ge'ami?

— Powiedział mi o tym pani brat — rzekł Pax.

— Wolałabym pozostać tu dłużej. — Głos Klary brzmiał nieco ciszej. — Ale zaskoczyły mnie upały, byłam zmęczona, a lekarz nalega, abym przyspieszyła wyjazd. Wolałabym poczekać na mecz polo.

— Tak? — powtórzył Pax.

Zwróciła się do niego patrząc mu prosto w oczy.

— Kapitanie Packersley, czy pan wie dlaczego?

— Zdaje mi się, że tak — odrzekł.

Zamilkli na chwilę oboje. Słysząc było ochoczą muzykę i głos jazzbandu, który dziwnie dudnił w tym otoczeniu.

Wreszcie ona przemówiła tak cicho, że aż pochylił głowę chcąc ją słyszeć:

— Czy może pan coś uczynić, zapobiec...?

Znowu zapanowało milczenie, zdawało się, że to wyszeptane wezwanie o pomoc przebrzmiało bez echa, że nie zostało dosłyszane. Ale Pax pochwyił ,ten szept i kiedy ona oparła się o poręcz fotela ruchem osoby wyczerpanej, on odpowiedział spokojnie:

— Zdaje mi się, że tak.

Klara siedziała cichutko z rękami złożonymi na kolanach.

— To ma pozory nielojalności — rzekła głosem, w którym był wyczuwalny protest przeciw własnym słowom — to może wyglądać nawet na oszustwo. Ale cóż ja mogę zrobić?

— To nie jest nielojalne — rzekł Pax stanowczo. — Niech pani sobie wyperswaduje te skrupuły. Dołożę wszelkich starań, aby pani dopomóc. Może mi pani ufać, chyba nie wątpi pani o tym?

— Już panu zaufałam — odrzekła cichym głosem.

— Niech pani nie żałuje! — zawołał Pax. — Nie opuszczę pani wśród przeciwności.

— Pan nie opuściłby nikogo w potrzebie — rzekła Klara z głębokim przeświadczeniem. — Jestem tego pewna. Tylko... nie zawsze wiadomo, jak postąpić w danej sytuacji. Bywa, że wszelka interwencja jest raczej szkodliwa.

— W innych wypadkach — odrzekł Pax — nieinterweniowanie jest karygodne. Może pani wyjechać z całym spokojem. Ja już przed naszą rozmową miałem w ręku wszystkie nici tej sprawy.

— Czyżby? — zdziwiła się Klara.

— Tak. — Lekkie ubawienie dało się słyszeć w jego głosie. — Ktoś poprosi jutro o urlop, żeby pojechać na polowanie na tygrysy w kierunku Sharajee.

— Och? — Klara była zdumiona. — Czy to już postanowione?

— Zostanie postanowione do jutra — odrzekł Pax bezapelacyjnym tonem.

Mimo woli dotknęła dłonią jego kolana.

— Nie wiem, jak panu dziękować — rzekła drżącym głosem. — Było to dla mnie wielką troską.

— Może się pani już nie martwić — rzekł Pax i ujął jej rękę w swoje dłonie pocieszycielskim gestem. — Teraz chciałbym pani zadać jedno pytanie, o ile mi wolno.

Ręka jej wysunęła się łagodnie z jego uścisku.

— Mam nadzieję, że nie przyczyni mi ono żadnych trudności — rzekła.

— To zależy, jak się pani na to będzie zapatrywać — rzekł Pax puszczając w zamyśleniu dym z papierosa. — Może życzy pani sobie, abym najpierw dowiódł, że zasługuję na zaufanie, jakie pani pokłada we mnie.

— Nie sądzę, żeby to było konieczne — odrzekła Klara — wierzę, że pan spełni to, co pan przyrzeka i co zamierza.

— Dziękuję pani — rzekł Pax. — A zatem teraz na mnie kolej, tak? Muzyka przestała nagle grać, rozległy się oklaski.

Klara wstała, a raczej zerwała się z krzesła i nasłuchiwała.

— Może wejdziemy? — spytała.

Muzyka grała dalej. Pax wstał również i patrzył jej prosto w twarz.

— Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy. Nie musimy wracać na salę, jeśli pani sobie tego nie życzy.

Twój jej była jakby zastygła. — Zdaje mi się, że tutaj jest jeszcze goręcej niż w sali — rzekła.

— W Kapoo będzie lepiej — rzekł Pax.

— Czyżby? Może. — Postąpiła krok naprzód i chciała go wyminąć, ale on zastąpił jej drogę.

— Czy wolno mi będzie przyjechać do Kapoo z wizytą? — spytał. Głos jego brzmiał spokojnie, chociaż inaczej niż zwykle. Usunął się

na bok wypowiedziawszy te słowa. Ale Klara nie skorzystała z tej możliwości przejścia. Pierwszy jej impuls widocznie minął.

Odpowiedziała mu tonem jeszcze spokojniejszym niż jego własny.

— Sądzę, że byłaby to dla pana strata czasu.

— Z jakiego punktu widzenia? — spytał Pax.

— Nie bardzo umiem odpowiadać na tego rodzaju pytania — odrzekła z wolna.

— Czy to ma znaczyć, że mam przyjechać na własne ryzyko? — pytał dalej Pax.

Skinęła głową twierdząco. — To w każdym razie. Uśmiechnął się. — Lubię ryzykować, lubię niebezpieczeństwo.

Roześmiała się z cicha, a w śmiechu tym był odcień smutku.

— Został pan przeze mnie ostrzeżony, prawda?

— Dziękuję pani — powtórzył Pax. — Uczyniła pani to, co... powinna pani była uczynić według mnie.

— Mianowicie? — spytała Klara.

Pax nie odpowiedział. Pełnym kurtuazji ruchem zaprosił ją, żeby przeszła do sali i sam podążył za nią.

WIECZÓR TANECZNY

Wieczór taneczny był podobny do wielu innych, przyjemny dla niewielu, a dla większości nudny i gorączkowy zarazem. Było to urozmaicenie, po którym codzienność lepiej smakuje, jak się kiedyś wyrażono w obecności Paxa. Dużo osób tańczyło kolejno szereg tańców z tą samą partnerką lub partnerem, bo to było najmniej utrudzające. Ale tylko jedna para tańczyła lub siedziała razem bezustannie w ciągu całego wieczoru. Po raz pierwszy postępowali w ten sposób, było to niemałe zuchwalstwo ze strony Yvonne; była to prowokacja ze strony Chrisa, jakkolwiek pokrywali swe wzruszenie lekką rozmową i śmiechem starannie beztroskim.

Od czasu do czasu znikali z sali tanecznej i nikt nie wiedział, gdzie się podziewali. Ale zawsze zjawiali się znowu, gdy brwi podnosiły się już do góry i komentarze zaczynały się sypać półgłosem. Yvonne nigdy nie była tak urocza, jak tego wieczoru. Jej ciemnowłosa uroda miała w sobie coś wschodniego, jak gdyby w jej żyłach płynęła krew hinduska wraz z krwią angielską. Może był to wpływ słońca Indii. Upał zdawał się jej nie przeszkadzać, przeciwnie, potęgował jej żywotność. A Chris Markham był jakby refleksem jej świetności, jej ognia i był błyskotliwy jak nigdy dotychczas. Możliwe, że rozmowa z Paxem zbudziła w nim ducha przekory, że postanowił wychylić do dna czarę rozkoszy, zanim mu ona zostanie odjęta od ust.

Jakiegokolwiek moce nim owładnęły, faktem jest, że był on tej nocy całkiem niepoczytalny. Yvonne i on śmiali się razem, śmiali się w oczy

całemu światu. Pani Risborough, żona pułkownika, nie wyrażała głośno swych poglądów, ale przyglądała się młodej parze, jak gdyby uważała ich zachowanie za niewłaściwe. Była natomiast szczególnie uprzejma dla Klary, której bladość świadczyła, jak bardzo męczył ją podzwrotnikowy upał.

Klara wcale nie tańczyła. Siedziała w cichym kąciku i patrzyła na tańczących z dziwnym, zagadkowym wyrazem w swych ciemnych oczach. Wiele osób mijało ją nie spostrzegając jej obecności. Była taka cicha, taka skromna i nie narzucająca się!

Chris zauważył ją mniej więcej w połowie wieczoru i rzekł ze śmiechem:

— Jak pani szwagierka mnie nienawidzi! Czuję lodowaty powiew, ilekroć przechodzę w pobliżu niej.

— Powinien pan się z tego cieszyć — odparła Yvonne — chciałabym móc to samo powiedzieć o sobie.

Pchnął ją łagodnie ku wyjściu. — Wyjdźmy stąd i chodźmy się czegoś napić. Jak tu uwierzyć, że pani jest taka gorąca, skoro pani tego nigdy nie daje poznać po sobie.

— Ja nigdy nie daję poznać niczego — uśmiechnęła się Yvonne z ironią w oczach i kącikach ust.

Skierował ją w ciemny kąt parku.

— To jest właśnie pani siła — oświadczył. — Grałaby pani na skrzypcach podczas pożaru Rzymu.

— Nawet gdyby kapitan Pax czekał na sposobny moment, aby wydać mnie lwom na pożarcie — zaśmiała się Yvonne. — Czy nie widzi pan tego rzymskiego liktora czekającego przy wyjściu na arenę, ażeby pchnąć nas we właściwym kierunku, o ile byśmy okazali najmniejszą chęć ucieczki?

— O, przeklęty Pax! — rzekł Chris marszcząc czoło.

— Jestem tego samego zdania — przytaknęła Yvonne. — Ale to niewiele pomaga, jak się zdaje. Może on w tych dniach przeklnie i zgubi samego siebie bez niczyjego współudziału.

— On jest dobrym chłopem — rzekł Chris — po co go mieszać do naszej rozmowy?

— Mój drogi — odrzekła Yvonne — nie mieszałabym go do niczego w ogóle, ani mego szanownego małżonka również, gdyby sami nie

narzucali się mojej uwadze, wtrącając się do nie swoich rzeczy. Czy nie zauważył pan ich niedyskrecji? Dziś wieczorem chociażby! — Usiadła na trzcinowym fotelu. — Niech mnie pan poczęstuje papierosem, jak na dobrego chłopca przystało. Proszę najpierw zapalić swojego, to będzie mniej kłopotliwe.

— Cóż zrobił Pax dzisiejszego wieczora? — spytał Chris zapalając papierosa.

Yvonne zaczekała, aż przytknął swego papierosa do jej tytoniu, po czym poklepała go po policzku i zaciągnęła się dymem.

— To jest dobre, przyjemne jak kadzidło. — Puściła kłęb dymu prosto w twarz Chrisa, mówiąc:

— Dotychczas nic nie uczynił Pax, mój rzymski liktor. Ale mam pewność, że uczyniłby, gdyby mógł. Oni są sprzymierzeńcami, wie pan?

— Kto taki? — spytał Chris. Zaśmiała się.

— Mniejsza o to! To nie gra roli. Nie mogą zapobiec temu, co jest nieuniknione. Bawią mnie tylko ich wysiłki. Przynęł się bliżej, zasłaniając ją ręką od dymu.

— Yvonne, o czym pani mówi? Słodki śmiech zabrzmiał znowu.

— Biorę rzeczy ze strony komicznej, ot i wszystko. Oni wydają mi się dziećmi, które z całą powagą usiłują chwycić mole w pełnym blasku słonecznym. Molami jesteśmy my, rzecz jasna. Sądzę, że pan ocenia moje poetyczne porównanie.

— Czuję się trochę donioślejszą figurą niż molem — rzekł Chris. Znowu zaciągnęła się głęboko.

— Naturalnie. Molom zresztą też się nieraz wydaje, że są figurami, jestem tego pewna. Ale bez względu na to, czy mają słuszność i czy pan ma słuszność, jest się tylko częścią wielkiej całości. Po co więc brać zbyt serio samego siebie?

— A pani nie bywa nigdy poważna? — spytał Chris. Potrząsnęła głową.

— Nigdy. Powaga to największy błąd, jaki można popełnić w życiu. Jakie są jej dobre strony, proszę mi powiedzieć? Ona psuje każdą radość.

Chris zaśmiał się. — Jakie to prawdziwe! A świat pełen jest poważnych ludzi.

— Którzy robią, co mogą, aby zakłócić szczęście na świecie — rzekła Yvonne. — Ja ich wręcz nie znoszę. A co słyhać z tym kieliszkiem czegoś mocnego, który mi pan obiecał?

— Zaraz go pan^przyniosę — rzekł Chris. — Tylko że trudno mi opuścić panią choćby na chwilę. Jest pani taka urocza!

— Pochlebca! — rzekła Yvonne ze śmiechem. — Nawet mnie pan nie widzi w tych ciemnościach!

— Ale znam i uwielbiam każdą linię pani ciała! — odrzekł namiętym szeptem.

Starła się zapobiec śmiechem dalszym oświadczeniom.

— Mój drogi, jest pan rozgorączkowany. Powinien pan iść do łóżka. Niech pan wraca do domu i zażyje chininy. I liktorowi niech pan też da proszek!

Przysunął się do niej jeszcze bliżej.

— Proszę o papierosa. Na sekundę chociaż! Yvonne. Najdroższa! Podała mu papierośnicę.

— Proszę nie być natrętnym! Nie lubię tego!

— Natrętnym! — szepnął Chris. — Szalonym raczej! Nie przypuszcza pani chyba, że ja naprawdę domagam się tak papierosa?

Twarz jego dotykała niemal jej twarzy, ale uniknęła jego ust szybkim zwrotem smukłej szyi.

— Śmieszne! — szydziła. — Nie jestem partnerką do tej zabawy. Proszę, niech mi pan przyniesie coś mrożonego i kieliszek likieru. Jeżeli kieliszek będzie duży, podzielę się z panem.

Ramię jego objęło ją wpół. Klęczał przed nią, zanim się opamiętała.

— Yvonne! — błagał cichym głosem — nie igraj ze mną! Mówię poważnie.

— Odejdź! — szepnęła Yvonne. — Dopiero przed chwileczką powiedziałam ci, że nie znoszę ludzi poważnych.

— Czy mnie nienawidzisz? — spytał.

— Nie zadawaj głupich pytań! — rzuciła niecierpliwie. — Chciałbyś raczej wiedzieć, czy cię kocham.

— Czy możesz mi to wyjawić? — spytał.

— Nie wierzę w miłość — odparła Yvonne.

— Nie drażnij mnie!

Zaśmiała się. — Biedny! Jaki wstyd dla niego! Oddaj mi moją papierośnicę, a przestanę się sprzeciwiać!

— Czy pocałujesz mnie, jeżeli ci oddam papierośnicę? — spytał.

— Co za niestosowna propozycja! — rzekła Yvonne. — Wcale nie jestem pewna, że się na nią zgodzę. Idź i przynieś coś do picia. Potem zobaczymy.

— Masz twarde serce — rzekł Chris cofając się.

— Nic podobnego — drwiła — po prostu nie mam serca w ogóle Śmiała się jeszcze, gdy odszedł. Dewizą jej było: wesołość mimo

wszystko i istotnie przezwyciężyła tą bronią wiele trudności. Była to krucha tarcza, ale dotychczas wystarczyła jej wobec życia. Była dość mądra, aby nie odsłaniać nigdy kart; ludzie zastanawiali się, jakiego rodzaju kobietę ukrywa ta ustawiczna wesołość. I teraz nawet pośród ogólnego szemrania na jej flirt z Chrisem zdania były podzielone co do gatunku tego motylka. Zgadzano się tylko co do jednego, a mianowicie że jej małżeństwo z Guy'em Chisledonem było w najwyższym stopniu niedobre. Pani Risborough byłaby jej chętnie okazała życzliwość, gdyby Yvonne była skłonna do przyjęcia wyciągniętej dłoni. Ale Yvonne zdawała się nie odczuwać potrzeby ludzkiej życzliwości. Szła prosto przed siebie, niedbale, beztrosko, me okazując najmniejszego znużenia ani niepokoju, darząc swymi względami młodzież na prawo i na lewo z królewską hojnością, zapewniając sobie w zamian największą ilość hołdów męskich, o jakiej którakolwiek piękna dziewczyna może zamarzyć.

Przyzwyczajona była do podziwu i do zawiści. Życie jej upływało na wzbudzaniu tych dwu uczuć. Za czasów szkolnych też tak było Dziewczęta biły się nieomal o jej przyjaźń, ona zaś była jednakowo wesoła i uprzejma dla wszystkich darząc serdecznością tylko jedną koleżankę, tę milczącą, niepozorną Klarę, która odwzajemniła jej się uwielbieniem, wprowadzającym czasem w zdumienie samą Yvonne.

Przywykła już do polegania na Klarze, do opierania się o nią, gdyż ta, ilekroć nastęrczały się jakiekolwiek trudności była zawsze przy jej boku i brała na siebie trzy czwarte ciężarów i kłopotów. Dla Yvonne życie było czymś idealnie łatwym i prostym. Łagodna, uprzejma, zawsze gotowa do śmiechu, działała kojąco na swe otoczenie. We wczesnych latach me zaznała nieżyczliwości ludzkiej. Nie byłaby wręcz pojęła, że ktoś może być dla niej szorski lub niechętny.

Była sierotą o środkach materialnych dość skromnych, ale zapewniających jej niezależny byt. Żyła beztroskim życiem obrawszy za przyjaciółkę i podporę Klarę Chisledon. Obie zdawały sobie sprawę, że Yvonne jest stworzona do małżeństwa i że wcześniej wstąpi w związki małżeńskie. Toteż Yvonne uważała ich współżycie pod jednym dachem za okres jedynie przejściowy. Było w niej trochę egoizmu, trochę zarozumiałości, jakkolwiek była słodką istotą, ze wszech miar godną przyjaźni. Przy takiej urodzie te wady były zresztą nieuniknione. Zdumiewająca była jej czystość duszy, jej dziewicza skromność, mimo takiego powodzenia i hołdów.

Ale małżeństwo zmieniło ją. Klara uświadomiła to sobie z wielkim smutkiem. Z początku bardzo się cieszyła, że ci dwoje podobają się sobie wzajemnie, ale niebawem spostrzegła, że ten związek nie ma widoków trwałości, że nie da im szczęścia. Starszy brat, którego uważała za wzór wszelkich zalet, gdy dzielił ich wiek i przestrzeń, nie odpowiadał widziany z bliska, jej ideałowi, nie dorósł do rozmiarów tej niszy, którą wybudowała mu jej wyobraźnia. Wypadek samochodowy, któremu uległa Yvonne, przeciął nagle sytuację tak niebezpieczną, tak napiętą, że nawet Klara nie domyślała się jej utajonej grozy. Guy Chisledon wyjechał do Bhanapore w samą porę, Yvonne pozostała pod opieką Klary, nie zdając sobie również sprawy, jak krytyczny dla ich stosunków małżeńskich był moment, w którym zaniemogła.

Wówczas to Klara zauważyła zmianę w bratowej. Jej dziewczęcość, niedbała, beztroska, szczerza w wyrazie, zniknęła bezpowrotnie, zastąpiła ją spokojna kobiecość, pewna siebie i jakby chwilami zbuntowana.

Klara nie usłyszała żadnych zwierzeń. Yvonne nie była naturą analityczną, szła naprzeciw wypadkom z uśmiechem na ustach, żywiłowa jak samo życie. Ale teraz stawała się inna, świadomie zasłaniała się tą niewinnością, która dotychczas była jej cechą wrodzoną.

Nie kryła się ze swą niechęcią do Indii. Nie miała zamiaru jechać do męża. Były po temu pewne powody, o których Klara nie chciała wiedzieć ze względu na siostrzaną lojalność względem brata.

Z ciężkim sercem namówiła Yvonne do podróży i ofiarowała jej swoje towarzystwo.

A teraz wszystko to, czego się obawiała, zagrażało bezpośrednio.

Dusza Yvonne odsłaniała się przed nią. Klara usiłowała chronić przyjaciółkę od wszelkich napaści opinii, od zupełnej, katastrofalnej kompromitacji, ale los zdawał się być nieubłagalny. Przyjaźń z Chrisem Markhamem rozwinęła się tak nagle, tak szybko przeszła w gwałtowne czułe przywiązanie! Nowa komplikacja. Ten flirt przodował dwunastu innym, pomniejszych flircikom, usuwając je stopniowo w cień i nabierając charakteru wyłączności. Co do uczuć Yvonne, Klara nie umiałaby powiedzieć nic określonego. Czy ona kochała, czy też tylko chciała być kochaną, na to pytanie nie było odpowiedzi. Może Yvonne sama nie zdawała sobie jasno sprawy ze swych uczuć, ale było niezbitym faktem, że miłość Chrisa była dla jej żywotności bodźcem nieodzownym już dzisiaj. A zazdrość jej męża była tego rodzaju, że należało jej przeciwstawić bierny opór, lub też strzec się jej. To nie był człowiek półśrodków. Toteż Yvonne wybrała raczej nieufność niż bierność i opór. Ale było to jednoznaczne w wyrazie zewnętrznym: stale odpowiadała śmiechem na jego protesty lub groźne, ponure milczenie i nikt prócz Klary nie widział buntu w jej pięknych, wielkich oczach.

Kiedy Chris wrócił, niosąc pełny kieliszek, wstała i oparła się o filar tarasu. Na jej twarz padał odbłask światła z otwartych okien. Dokoła mej krążyła wielka ćma, jakby przyciągana przez tę dziwną jasność. Odpędziła ją ręką.

— Przepraszam, że tak długo to trwało — rzekł Chris. — Okropny tłok. Musiałem czekać.

— Dlaczego przepraszasz? — spytała szybko. — Ja się cieszyłam

— Z czego? — spytał. Stłumiła głośny wybuch śmiechu.

— Obserwowałam przez ten czas liktora, który nie wiedząc, że jest widziany, usiłował obserwować mnie. Bawiłam się pysznie!

— Och, odejdz od tego okna! — rzekł Chris obejmując ją impulsywnie ramieniem. — Chodźmy za ten róg domu, tam jest naprawdę ciemno!

— Co? Nie możesz znieść mego widoku? — uśmiechnęła się Yvonne.

Ale poszła za nim bez wahania.

— Pij! — rzekł Chris zatrzymując się w miejscu zupełnie ciemnym. — I nie zapomnij o twym przyrzeczeniu!

Piła chciwie, otoczona jego ramieniem, pod koniec wzniosła twarz ku górze, przegięła się w tył z lekkim dreszczem.

— Rozkoszne! Taka byłam spragniona! A teraz wracajmy i tańczmy!

— Wszystko wypić? — zdziwił się Chris.

— Wszystko, do ostatniej kropli. Wyborne było, mój drogi! Nie mogłam się oprzeć łakomstwu.

Odebrał z jej rąk kieliszek i cisnął go w głąb parku; gdzieś w mroku rozbił się o kamienie, słychać było brzęk tłuczonego szkła.

Yvonne wydała lekki okrzyk. Nie miała czasu na wypowiedzenie słówka, gdyż w tejże chwili porwał ją mocno i przyciągnął do siebie. Instynktownie odchyliła się, ale on drugim ramieniem pottrzymał jej głowę i przytulił z dziką namiętnością usta do jej warg. Stali złączeni w długim, nie kończącym się, namiętym pocałunku.

Nikt bodaj oprócz Klary nie byłby uwierzył, że był to ich pierwszy pocałunek.

POWRÓT

W pół godziny później Klara poczuła lekkie dotknięcie kobiecej ręki na ramieniu. Głos Yvonne zabrzmiał tuż przy jej uchu:

— Ja mogę już jechać do domu, jeżeli chcesz.

Klara siedziała leniwie na trzcinowym fotelu i przyglądała się tańczącym parom. Obok niej stał Pax. Rozmawiali niewiele. Teraz odszedł na chwilę przyniósłszy jej lemoniadę. Poszedł po kieliszek cocktailu dla siebie.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się do bratowej, która patrzyła na nią z miłym, czarującym uśmiechem. Twarz jej była lekko zaróżowiona.

— Biedaczka! — rzekła. — Zapewne spałaś. Cóż, pójdziemy? Klara podniosła się. Co się stało Yvonne? Miała jakieś tajemnicze

spojrzenie, jak gdyby wpatrywała się w coś niewidzialnego dla innych.

— Czy śniesz jeszcze? — spytała Yvonne. — Nie powinnaś była czekać na mnie tak długo. Musiałaś się okropnie wynudzić.

— Jestem gotowa do odjazdu — przyznała Klara.

— No, to chodźmy! — rzekła Yvonne. — Wyglądasz tak, jakbyś chciała iść do łóżka. Nie trać czasu na pożegnania. Jutro spotkamy się wszyscy ponownie, a raczej dzisiaj jeszcze!

Lecz Klara przeszła przez salę, kierując się ku pani Risborough, którą pożegnała serdecznie. W drzwiach młode kobiety spotkały Paxa.

— Odjeżdża pani? — spytał. — Pójdę po pani samochód.

— Pożyteczny człowiek! — uśmiechnęła się Yvonne, wsuwając rękę pod ramię Klary. — Czy jesteś strasznie zmęczona? Dlaczego czekałaś?

Klara nie odpowiedziała. Dlaczego czekała? Niełatwo byłoby odpowiedzieć na to pytanie. Nie uważała, żeby jej życie było czymś odrębnym od życia Yvonne. Wiedziała, że Yvonne nie zależy na jej obecności tak jak dąsyniej. A mimo to nie mogła się pogodzić z myślą pozostawienia jej samej na dziesięć dni.

Wyszły przed drzwi kasyna. Samochód zajechał. Pax czekał, ażeby im życzyć dobrej nocy. Klara wymieniła z nim przyjacielski uścisk dłoni. Był dla niej bardzo dobry tego wieczora i odczuwała za to najżywszą wdzięczność.

Yvonne uśmiechnęła się wesoło do kapitana i uśmiechała się jeszcze, gdy samochód ruszył, gdy Paxa już nie było widać.

— Dlaczego nie zaproponowałyśmy mu, że go podwieziemy? — zapytała Klara nagle. — On też zapewne odjeżdża.

— Dlaczegoż miałby odjeżdżać? — odparła Yvonne. — Oni jeszcze nie przestaną tańczyć.

— On nie tańczył — rzekła Klara.

— Nie? Krążył przeważnie dokoła ciebie! — śmiała się Yvonne. — Czy zaprosiłaś go do Kapoo?

— Przestań! — rzekła Klara sucho.

— Moja droga, przestałabyś ty raczej! — rzuciła Yvonne. — Chyba, że chcesz się stać kółkiem w maszynie! On jest bowiem maszyną roboczą, istotą pozbawioną krwi i nerwów, a nie człowiekiem.

— Nie jestem tego pewna — mruknęła Klara.

— Mam nadzieję, że nie zakochałaś się w nim — zawołała Yvonne ze śmiechem.

— Mam wrażenie, że nie zakochałam się w nikim w tym kraju i że mi to nie zagraża — odrzekła Klara. — Jestem opancerzona.

— To bardzo mądre z twojej strony — odrzekła Yvonne. — Nie dziwiłabym się, gdyby ten żołnierz starał się o ciebie. Jesteś typem kobiety, który według niego odpowiada jego zaśnieżonym pojęciom. Dla mnie jest to straszny człowiek.

Klara milczała. Zbyt była zmęczona, aby stanąć w obronie Paxa, gdyby nawet pragnęła to uczynić. Przy tym droga trwała zbyt krótko, aby omówić temat, co do którego panowała taka rozbieżność poglądów.

Yvonne paplała dalej, niedbale, bez związku, aż zajechały przed willę. Klara miała wrażenie, że młoda kobieta bawiła się dobrze na dancingu, ale że poza tymi słowami, pustymi, dowcipnymi niekiedy, kryje się jakaś troska, jakiś cień...

— Sądzę, że postąpiłyśmy nader cnotliwie wracając tak wcześnie — zauważyła przestępując próg domu. — Ciekawa jestem, czy Guy już wrócił.

Poszła do saloniku, naląła sobie trochę wody sodowej i soku pomarańczowego do kieliszka. Gdy tak stała w oświetlonym pokoju, po ciemnościach, panujących za oknami wydawała się nienaturalnie jasna i promienna.

— Boże! Cóż za duszna noc! — rzekła. — Napij się, moja droga! Jestem pewna, że ci tego potrzeba.

Klara naląła sobie szklankę wody sodowej.

— Dlaczego odjechałaś tak wcześnie? — spytała Yvonne i ziewnęła.

— Cnota, moja droga! Czysta cnota i zacność! Ty wyglądałaś jak upiórek, taka byłaś zmęczona i znudzona. A przy tym umówiłam się na ranną przejażdżkę konną. Dobrze, że wyjeżdżasz już w poniedziałek, chociaż mama Bentrige jest nudną, starą kwoką.

— Chciałabym, żebyś i ty pojechała z nami — rzekła Klara. Yvonne potrząsnęła głową ze śmiechem. — Nie bądź głupia! Równie dobrze mogłabym zamknąć się w klasztorze. Tobie potrzebny jest wypoczynek, to co innego, aleja się stąd nie ruszę, dopóki są tu jeszcze jakieś możliwości rozrywki.

Klara nie nalegała. Wiedziała, że Yvonne nie da się przekonać. A przy tym nie jest wykluczone, że Guy będzie wolał zatrzymać przy sobie swoją młodą żonę. Nie bardzo w to wierzyła w głębi duszy. Ale... czy to wiadomo?... Ostatnio w domu nie panowała atmosfera spokoju i harmonii, bynajmniej!

Ciekawa była, czy Guy jest w domu. Już miały się rozstać i iść spać, gdy wtem usłyszały jego kroki na werandzie.

Wszedł zniechęcony do salonu, z pewną zaczepnością w ruchach i sposobie bycia. Wyglądał w mundurze bardzo elegancko, był przystojny, chociaż trochę przyciężki, zbyt masywny. Znać było, że dobiega lat średnich.

Obie kobiety patrzyły na niego z różnym wyrazem twarzy.

Mężczyzna przemówił pierwszy — Tak więc wróciłyście raz w życiu przede mną? Winszuję!

Yvonne z kieliszkiem w ręku wykonała lekki gest powitalny.

— Bardzo jesteś uprzejmy! Ale i ty i my nie wracamy zbyt wcześnie. Czy dobrze się bawiłeś?

— Czy się dobrze bawiłem! — powtórzył Chisledon lekceważąco. — A ty?

— Znakomicie! — oświadczyła Yvonne, podnosząc kieliszek do swych czerwonych ust. — Szkoda, że ciebie tam nie było. Dzisiaj wcale nie było tłoczno!

Piła z pewnym zmysłowym zadowoleniem, a mąż stał na wprost niej i obserwował ją bacznie w niejasnym poczuciu niechęci, której nie mógł się pozbyć tego wieczora w stosunku do pięknej małżonki.

— Dobrze! — rzekła odstawiając kieliszek. — Dobranoc wam obojgu. Nie rozmawiajcie do późnej nocy. Sen piękności służy.

Powiewając chusteczką zwróciła się ku drzwiom. Rodzeństwo patrzyło za nią. Zniknęła, zanim Klara zdążyła odpowiedzieć. Chisledon podszedł do stolika i napełnił kieliszek.

— I cóż? — spytał.

Klara odsunęła się na bok. Usiłowała nie zważać na ilość whisky, jaką Guy dolał sobie do wody. Widocznie w Indiach mężczyźni piją tak mocne trunki. Szkoda tylko, że Guy stale hołduje tej modzie.

Wychylił kieliszek do dna, po czym zwrócił się do niej.

— Przypuszczam, że zachowywała się jak zwykle? — rzekł. — Tańczyła przez całą noc z tym szczeniakiem Markhamem?

Klara machnęła ręką z wyrazem zniechęcenia. — Powinieneś być pójsć z nami — rzekła.

Roześmiał się rubasznie. — Żeby patrzeć na nich, jak tańczą, co? Dziękuję!

— Nie, żeby tańczyć z nią. Ażebym nie dopuścić do niej innych. — W głosie Klary dźwięczała niemal rozpacz.

Chisledon zmierzył ją twardym spojrzeniem.

— Ty się nie ubawiłaś, to widać. Kto był na tym wieczorze? Westchnęła. — O, dużo osób, pani Risborough, państwo Bentrige,

kapitan Crofton, pan Perry i wielu innych.

— Markham był? — nalegał.

— Tak, naturalnie był Markham i kapitan Packersley również. Sądziłam, że wiesz o ich obecności. — Klara przesunęła dłonią po brwiach, jak gdyby wysiłek, jaki czyniła w tej chwili, przerastał jej siły.

Ale brat tego nie widział. — Aha! Pax także tam był? Mówił, że się wybiera. Czy siedzieliście na tarasie?

— Owszem — rzekła Klara — podczas jednego tańca. Dlaczego o to pytasz?

Chisledon skrzywił się. — Tylko podczas jednego? Mało. On liczył na ciebie.

— Pod jakim względem liczył na mnie? — rzekła Klara rumieniąc się nagle.

Wzruszył ramionami.

— Nie zadawaj mi pytań. Dostyc mam własnych kłopotów i własnych spraw na głowie. Jedno mi powiedz: czy Yvonne tańczyła z kimkolwiek oprócz Markhama? Mów prawdę!

— Dlaczegoż miałabym ci nie powiedzieć prawdy? — rzekła Klara. — Ale po co mnie o to pytasz? Yvonne odpowie ci sama.

— Dlaczego ciebie pytam? — powtórzył z głośnym śmiechem. — Ponieważ jesteś pod ręką, skoro chcesz wiedzieć. Ponieważ wiesz równie dobrze, jak ja sam, co się tu święci i odczuwasz taki sam niesmak.

Głos jego ochrypł od krzyku. Patrzył na nią nabiegłymi krwią oczami.

Klara wytrzymała to dzikie spojrzenie z całym spokojem. Wiedziała, że nie sposób przemówić mu do rozsądku w tej chwili. — Nie dramatyzuj drobnych zdarzeń, Guy — rzekła. — Powiem ci wszystko, co będziesz chciał, jutro rano.

Ale doprawdy, nic nie ma do powiedzenia. Nikt nie tańczył bez przerwy. Za gorąco było. Jak widzisz, wróciłyśmy bardzo wcześnie. Teraz idę spać. Dobranoc!

Skierowała się ku drzwiom, ale on błyskawicznym ruchem ramienia zatrzymał ją.

— Usiłujesz mnie oszukać? — spytał.

Patrzyła mu prosto w oczy, zastygła w oporze. — Nie bądź niedorzeczny! Widzisz to samo, co ja widzę. Tylko nie staraj się widzieć rzeczy nie istniejących, dla twego własnego dobra porzuć tę metodę! Puść mnie, Guy, jestem zmęczona.

Stał, wpatrzony w siostrę, jakby był zdumiony jej postawą, wreszcie puścił jej ramię i znów podszedł do stolika z trunkami.

— Sprzysięgliście się wszyscy przeciw mnie — rzekł ponurym, niskim głosem. — I ja, też zaczynam być zmęczony. Klara przystanąła. Nigdy się go dotychczas nie bała, ale tym razem było coś w jego głosie, w jego całej postawie, co przejęło ją dreszczem. Jej nic nie groziło, tego była pewna, ale bezpieczeństwo Yvonne było zagrożone. Takim nie widywała brata nigdy przedtem.

Usłyszała syk syfonu i zobaczyła, jak Guy znowu wychyla do dna kieliszek whisky z wodą. Coś się w niej burzyło. Czy to był jej brat, ten zdiczący, nienormalny człowiek, który świadomie podżegał samego siebie do coraz to większego gniewu nadużyciem alkoholu? Niesmak i strach walczyły w niej na przemian. Ale wiedziała, że wszelki protest na nic się nie zda.

Mimo woli stała jak wryta, zapatrzona w jeden punkt. Nagle zbliżył się do niej.

— Na co czekasz? Zdawało mi się, że chcesz iść spać — rzekł. Głos miał syczący, spojrzenie mroczne. Zrozumiała, że ciąży mu jej

obecność, ponieważ w butelce zostało jeszcze dużo whisky.

Zebrała resztę sił. Coś trzeba było uczynić. Trzeba było zapobiec wykonaniu tego wstrętnego zamysłu. Klara wróciła w głąb pokoju i stanęła pomiędzy bratem a stolikiem.

— Otwórz drzwi, a ja zgaszę lampę! — rzekła.

Znowu wydał dźwięk, ale tym razem nieartykułowany, straszny. Było coś bestialskiego w jego wzroku.

Przystąpiła ostentacyjnie do gaszenia lampy.

— Otwieraj drzwi, Guy, idę za tobą — rzekła.

Mruknął coś niezrozumiałego i skierował się ku drzwiom. Widoczne było, że na razie osiągnęła przewagę. Otworzył drzwi, a ona błyskawicznym ruchem zgasila lampę i pod osłoną ciemności ukryła butelkę w fałdach szerokiego szala, spływającego z jej ramion.

Czy zdołał spostrzec ten manewr, czy go nie widział? Fakt, że popatrzył na nią z chichotem, gdy go mijała. Serce jej biło jak młotem, miotła ją trwoga i rozpacz.

Czy on pójdzie za nią? Czy jest zły? Na pozór nie. Słyszała, jak

wraca do saloniku i wybiega na werandę. Nie zatrzymał się przy stoliku z trunkami.

W kilka minut później usłyszała, że wchodzi do swego pokoju, który prowadził do sypialni Yvonne. Potem — cisza. Natężyła słuch, chcąc pochwycić jeszcze jakieś dźwięki, ale żaden odgłos nie doszedł jej uszu. Głębokie milczenie nocy indyjskich zalegało całą okolicę.

PRAWDZIWA KOBIECI

Klara spała źle tej nocy, wciąż ją budziły niespokojne, trwożące sny. Miała okropne bicie serca, uprzytomniała sobie co godzina z przerażeniem sytuację braterstwa i niemożliwość rozwikłania tego węzła.

Niewątpliwe było, że Yvonne igra z ogniem. Jedynym ratunkiem było kłamstwo, mniemała Klara, ufna w przyrzeczenie Paxa, które pozwoli jej nie kłamać długo. Pax mówił stanowczo, a na jego słowie można było polegać. Usunięcie Chrisa Markhama z widowni było zażegnaniem na krótki czas bezpośredniego" niebezpieczeństwa, ale po pierwsze Chris wróci, a po wtóre Yvonne nie spocznie, dopóki nie znajdzie nowej rozrywki. Taką już miała naturę, a przy jej urodzie z łatwością jej to przyjdzie. Gdziekolwiek się znajdzie, nie zabraknie jej nigdy wielbicieli; Klara pocieszała się myślą, że mało który młody człowiek będzie tak nieopatrny i namiętny jak Chris. Odetchnie, kiedy się dowie, że on jest poza obrębem życia Yvonne. A i Guy z pewnością dozna ulgi. Gdy przypominała sobie ubiegły wieczór i zachowanie się brata, mimo woli przebiegał ją dreszcz. Nieraz już posądzała go o nadużywanie alkoholu i nieumiejętność panowania nad swymi nałogami, ale tej nocy stracił on wszelką miarę i przestał być panem siebie. A stał się taki pod wpływem gniewu, troski. A przyczyną tej troski była Yvonne. Żeby tylko Yvonne chciała to zrozumieć, ilu klęsk można by uniknąć w przyszłości! A przecież sposób bycia Yvonne był najlepszą gwarancją jej moralności. Dopóki będzie się nadal śmiała i obracała wszystko w żart, dopóty nikt nie będzie mógł brać jej na

serio ani wierzyć w powagę jej uczuć. Guy nawet zmuszony będzie się opamiętać i dojdzie do wniosku, że Yvonne tylko się bawi jak dziecko. Usiłowała zapomnieć to spojrzenie Yvonne, te jej oczy zamyślane, zmienione poprzedniego wieczora. Nareszcie udało jej się nie myśleć o tym, gdyż wyczerpanie wzięło górę i usnęła nad ranem głębokim snem. Zbudziło ją dopiero wejście służącego ze śniadaniem.

Zerwała się, gdyż na progu stała Yvonne w amazonce, zarumieniona, z rozjaśnionym wzrokiem, ze szpicrutą w ręku.

— Ty leniuchu! — zawołała na powitanie. — Ja wracam właśnie z przejażdżki. Czy dobrze spałaś?

Klara osunęła się ponownie na poduszki i odpowiedziała twierdząco, bo to było zwięzłe i utrudniało dalszą rozmowę.

Yvonne weszła do pokoju i wskazała usługującemu krajowcowi drzwi rozkazującym ruchem ręki.

— Droga moja, wyglądasz na bardzo zmęczoną. Zdaje mi się, że skłamałaś mówiąc, że dobrze spałaś?

Patrzyła na Klarę przyjaznym wzrokiem, pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

— Przyniosę ci filiżankę herbaty, dobrze? To cię rozbudzi do reszty. Dzisiejszy ranek był cudny. Żywej duszy nie było nigdzie. Tylko w powrotnej drodze mieliśmy przygodę. Ktoś strzelił z rewolweru zza muru, wiesz, obok rezerwuarów. Jestem prawie pewna, że był to ten szalony Hindus z sąsiedztwa. Chris też tak sądził. Ale zobaczyliśmy potem, że on jest zajęty obserwowaniem koni i nie zwraca na nas żadnej uwagi. Masz herbatę, droga moja! To cię orzeźwi.

Podła Klarze filiżankę herbaty, wyrażając uśmiechem całą swą intensywną żywotność. Ale nie znalazła oddźwięku u szwagierki.

— Moja droga, dlaczego jeździsz tą drogą — spytała młoda dziewczyna. — Chris Markham sam jest widocznie szalony, że wybiera takie zakazane drogi, przy których mieszkają szaleńcy i fanatycy.

— Tak, najdroższa, on jest szalony, zupełnie... — Yvonne cedziła herbatę rozchylonymi w uśmiechu wargami. — Zaczynam przypuszczać, że każdy jest szalony na swój sposób i że nie ma w ogóle tak zwanych ludzi normalnych. Jego szaleństwo jest bardzo przyjemną postacią obłędu; biedny chłopiec! Toteż chcąc się pocieszyć po moim wyjeździe udaje się na polowanie na tygrysy.

Klara spojrzała żywo znad filiżanki. Już miała wykrzyknąć: „Dopiero wtedy?“, ale opanowała się w porę; jednocześnie doznała wyrzutów sumienia, tych samych, które dręczyły ją już poprzedniego dnia: zdawało jej się, że postępuje nielojalnie wobec obojga braterstwa.

Yvonne mówiła dalej, jakby sama do siebie, jej głos brzmiał wesoło:

— Postanowiliśmy działać jak najwięcej w najbliższych dniach. Powiedziałam mu, że nie wolno pod żadnym pozorem nie przybyć na wieczór po meczu polo. Byłoby bardzo smutno bez niego, prawda?

— Czy doprawdy ci na nim zależy? — spytała Klara czując swą niezręczność i dziwiąc się, że Yvonne tego nie spostrzega.

Widocznie nie zależało jej na nim, bo w odpowiedzi jej nie było ani śladu zakłopotania. — Byłabym zrozpaczona, naturalnie. Nie ma tu ani jednego młodego człowieka, który by tańczył tak jak Chris — wybuchnęła wesołym śmiechem — ani flirtował w parku tak jak on. Gdyby mi nie szło o ciebie, sądzę, że nie pojechałabym wcale do Kapoo.

— Nie mówisz tego poważnie — rzekła Klara.

Yvonne wypila herbatę podnosząc podbródek do góry. Popatrzyła na Klarę. A w jej oczach, w tych mieniących się oczach przemknął znów ów tajemniczy cień, który Klara widziała w nich ubiegłej nocy.

— Wszyscy jednakowo się wysławiacie — rzekła. — Co myśli człowiek, który mówi poważnie? Czy poważni ludzie biegają dokoła pokoju i tupią nogami, tak jak Guy? Czy też zachowują spokój tak jak ty, spokój, w którym dla mnie jest trochę martwoty?

Klara potrząsnęła głową. W jej głosie była nuta smutku, gdy odpowiedziała bratowej — Mnie się zdaje, że ty nigdy nie jesteś poważna, w żadnej okoliczności życiowej.

— Co za odkrycie! — zaśmiała się Yvonne. — Widocznie moja osobowość wyłącza powagę. Ty i poczciwy stary Guy stanowicie wyrównanie. On jest okropnie serio, prawda? Nie jestem pewna w ostatnich czasach, czy on cię cieszy, że ma mnie za żonę, czy nie? On ma wręcz zastanawiający sposób przyglądania się człowiekowi.

Niejednokrotnie rzucała jakiś komentarz na temat swego małżonka, ale po raz pierwszy wspomniała dzisiaj o jego niezadowoleniu z niej samej. Klara powinna była skorzystać ze sposobności i ostrzec ją. Ale Klara zawahała się, bo najlepszym puklerzem Yvonne wydawała jej się ta beztraska wesołość bratowej. Dopóki ona traktowała tę rzecz

tak lekko, nie mógł ten flircik, oburzający całą kolonię angielską, mieć głębszego znaczenia.

Wreszcie przemówiła ociągając się jeszcze:

— Mnie się wydaje, że on cię tak kocha, iż jest rozpaczliwie zazdrosny o innych mężczyzn, a szczególnie o Chrisa. Yvonne zaśmiała się.

— Wiem. On by najchętniej zamordował biednego Chrisa. Ale zazdrość nie jest miłością, droga moja. Nawet ja wiem o tym. Jest to bardzo, bardzo nędzna imitacja.

Zrzuciła zakieciak z ramion i otoczyła głowę białymi ramionami.

— Niech mnie Pan Bóg strzeże od zazdrości! — zawołała — to istna trucizna, nic więcej.

Ale nawet te wyrazy wymówiła ze swym wiecznym uśmiechem, a dla Klary piękność jej była tak dalece pięknnością doskonałego kwiatu, nie znającego żadnej brzydoty, że po raz wtóry zrezygnowała z ostrzeżenia jej.

Gdy Yvonne wyszła, Klara usiłowała pocieszyć się myślą, że już tylko 10 dni pozostało do całkowitej zmiany układu. A przy tym obietnica Paxa! Klara nie wierzyła, żeby Chris miał zostać na wieczorze urządzonym z okazji meczu polo.

Jej wyjazd byłznaczony na dzień następny. Zajęta więc była dzisiaj przygotowaniami. Nie oswoiła się jeszcze ze zwyczajami tego kraju, polegającymi na zrzucaniu wszelkiej pracy fizycznej na krajowców. Wołała zrobić niejedno własnoręcznie.

Wieczorem, kiedy Yvonne poszła do kasyna na tenisa, Klara pakowała i sprzątała jeszcze swój pokój. Drzwi od werandy były otwarte; młoda dziewczyna wmawiała sobie, że jest trochę chłodniej, niż za dnia. Nazajutrz z samego rana wyjeżdżała z państwem Bentrige. Chciała mieć jak najmniej pakowania w ostatniej chwili. Kazała odejść służącemu i stanęła przy oknie, ażeby zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Usłyszała nagle męskie kroki na stopniach, prowadzących na werandę.

Wychyliła się. Na widok gościa pobiegła w głąb pokoju, poprawiła włosy przed lustrem, po czym wyszła spokojnie na werandę i powitała Paxa na progu.

— Dobry wieczór — rzekł z nieco sztywnym uśmiechem, konwencjonalnie.

Podala mu rękę. — Jestem sama — rzekła — co pana sprowadza? Patrzył jej w oczy trzymając przez chwilę jej rękę w swych dłoniach.

— Sądziłem, że ucieszy panią wiadomość, którą przynoszę: wiadoma sprawa jest załatwiona pomyślnie, może pani wyjechać bez obawy.

— Chris Markham wyjeżdża również? — spytała. Przytaknął. — Jutro z rana. Dopiero przed chwilą zapadła ta uchwała. Chris jest trochę zaskoczony i musi się śpieszyć, żeby zdążyć z pakowaniem.

Klara rozejrzała się dokoła. Na werandzie stały dwa krzesła.

— Siadajmy! — rzekła. — Napije się pan czegoś orzeźwiającego, dobrze?

— Chciałbym raczej otrzymać coś innego, a nie chłodzący napój — odrzekł Pax poważnie. — Czy istotnie wolno mi usiąść? Czy też życzy pani sobie w duchu, żebym się znalazł na drugim krańcu świata?

— Nie jestem aż tak niewdzięczna — odrzekła Klara. Usiadła. On poszedł za jej przykładem, ale robił wrażenie człowieka, który niebawem się pożegna.

— Proszę, niech pani natychmiast zaniecha wszelkiej wdzięczności! — rzekł. — Nie zasługuję na nią i nie zależy mi na niej. Nie przyszedłem tylko po to, ażeby pani udzielić tej wiadomości. Był to raczej pretekst.

— Doprawdy? — spytała Klara niedowierzająco.

— Tak. Chciałem panią zobaczyć — odrzekł Pax. Oparła się o poręcz krzesła patrząc prosto przed siebie.

— Co to jest ten ruchomy punkt tam na dole? — spytała.

— Zapewne Elfryda. Zabroniłem jej pójść tu za mną, ale widziałem, że miała ochotę być nieposłuszna. — Pax mówił powoli, siłąc się najwyraźniej na cierpliwość, znać było, że myśli o czymś innym.

Klara zmrużyła oczy. — Elfryda? To ten pies, który mieszka u pana?

— Tak, to nasz pies — rzekł Pax. — Prawda! Peters został w domu, gdy wychodziłem, tak że nie bardzo rozumiem, jak ona mogłaby się wymknąć za mną. On jest surowszy i baczniejszy ode mnie. — Urwał na chwilę. — Czy pani jest pewna, że tam na dole ktoś się ruszał?

— Nie, pewna nie jestem — przyznała Klara. Wtem przypomniała sobie o obowiązkach gościnności. — Poczęstuję pana papierosem. Zechce pan sięgnąć do tego pudełka.

— Nie, dziękuję — odmówił Pax — o czym to ja mówiłem? — Urwał znowu, gdyż Klara wysunęła nogę gwałtownym ruchem i zdeptała robaka, pełzającego po podłodze.

— Nie żyje? — spytał.

— Mam nadzieję — odrzekła z wyrazem wstrętu i zażenowana zarazem — ja nienawidzę robaków i gadów, a pan?

— Nie mam czasu na nienawiść, a to nie jest moment w żadnym razie — odparł. — Chciałbym te minuty zatrzymać, gdyby to było w mojej mocy.

— Och, niech pan tak nie mówi! — zawołała Klara — Nie trzeba! Pochylił się ku niej. W oczach migotały mu jakieś ogniki, ale usta

były stanowcze jak zawsze.

— Dotychczas tego nie czyniłem. Ale teraz nie opuści mnie pani bez upoważnienia mnie do starania się o jej względy, prawda? To pani przecież nie zobowiązuje do niczego.

Spojrzała mu odważnie w oczy, chociaż powieki jej drżały lekko. — Przypuszczam, że pan żywi błędne mniemanie o mnie — rzekła — a mianowicie sądzi pan, że przyjechałam do Indii, aby wyjść za mąż. Myli się pan: ja nie jestem stworzona do małżeństwa.

— Tym lepiej dla mnie — odrzekł Pax.

Uśmiechnęła się blado. — Może pan tak myśli istotnie, ale to niczego nie zmieni, ja nie ustąpię! Niech pan pamięta o tym!

— O, niech pani nie pozbawia nadziei biednego żebraka! — rzekł Pax. — Przecież on tylko siedzi wyczekujący na progu.

Walczyła z ochotą do śmiechu wywołaną jego niespodziewanym humorem.

Pax patrzył na nią z łagodnym uśmiechem w głębi oczu. Nie był zażenowany, onieśmielony. Był spokojny jak zawsze, zdawał się być panem sytuacji mimo pozornej porażki.

— Pewna jestem — rzekła Klara — że pan znajdzie na innym polu ujście dla swej potrzeby czynu i przywiązania.

Pan jest tak zdolny i energiczny, może pan pracować pożytecznie w każdej dziedzinie.

— Czy pani lubi użytecznych ludzi? — spytał.

Nie spojrzała na niego, starannie unikała jego wzroku. Jakkolwiek zdawał się chwilami żartować, to jednak odczuwała w nim głębokie wzruszenie. Yvonne byłaby świetnie poradziła sobie w tej sytuacji, ale

Klara była nowicjuską. O ile jej pamięć nie myliła, nie zdarzyło jej się jeszcze w życiu, aby mężczyzna spojrzął na nią więcej niż jeden raz: w chwili, kiedy jej go przedstawiono.

— Tak, lubię użytecznych ludzi — rzekła. — Oczywiście nie takich, którzy się nigdy nie mylą, nigdy nie błądzą.

— Czy tacy istnieją? — spytał Pax.

Nie odpowiedziała. Milczenie było chyba najlepszą ucieczką. Ale nie dał jej wymknąć się tak łatwo. Do innego zdążył celu.

— Pani nie należy do tych nieomylnych ludzi, prawda? — zapytał. Potrząsnęła głową gwałtownie. — Och, nie! Ja się mylę bardzo

często. Ja bynajmniej nie jestem nieomylna.

— Nie. I pani nie miewa tego rodzaju pretensji — rzekł. — Mam wrażenie, że jest pani najmniej zarozumiałą osobą ze wszystkich kobiet, jakie znałem kiedykolwiek.

— Dziękuję — odrzekła.

— To nie jest komplement — zapewniał — jest to wyraz mojego najgłębszego przeświadczenia. Pani zasługuje na znacznie więcej, niż życie pani dało dotychczas i niż pani zdołałaby zażądać od kogokolwiek.

Uśmiechnęła się. — Nie wiem, dlaczego pan to mówi, na jakiej podstawie? Nie zdaje mi się, że jestem kopciuszkiem.

— Nie, nie to chciałem powiedzieć — rzekł Pax. — Jest pani przede wszystkim bardzo dobra, że pozwala tak analizować siebie i nie bierze mi za złe tego wdzierania się do pani duszy. Chciałbym tylko, żeby pani zrozumiała, że w pewnych warunkach byłbym znacznie użyteczniej szy niż obecnie, że te możliwości są ukryte w pani osobie.

— A jeżeli ja nie zechcę tego uznać? — spytała Klara.

— Tym bardziej będę musiał walczyć — odrzekł stanowczym głosem.

— Nie wiem, dlaczego pan mówi do mnie w ten sposób. Doprawdy to strata czasu. Z pewnością ma pan ważniejsze sprawy na głowie.

— Zdziwi się pani; nie mam nic ważniejszego — odrzekł Pax. Ale ona upierała się. — Pewna jestem, że pan ma wiele rzeczy

do załatwienia. Ma pan opinię człowieka niesłuchanie pracowitego i odważnego.

— Tak, jestem dzielnym żołnierzem, przyznaję. Czy to się pani podoba?

— O tak! — rzekła z entuzjazmem — Jest to jedyny zawód, który bym obrała, gdybym się urodziła mężczyzną.

— Cieszy mnie to niezmiernie — rzekł Pax rozradowany.

— Jest to coś raczej konserwatywnego, właściwego mojej naturze, to coś, co skłaniałoby mnie do zawodu wojskowego, aniżeli podziw dla munduru, cechujący tyle naiwnych kobiet i dziewcząt. Ale ja jestem wielką konserwatystką, niestety!

— O, niech się pani z tego nie usprawiedliwia! — zawołał Pax gorąco. — To jest najcenniejsza część pani indywidualności. Nie miałem nigdy nadziei, że spotkam kobietę zdolną ocenić urok żołnierki, pani zaś jest właśnie tą kobietą. Zresztą pani jest w ogóle inna... Różni się pani od wszystkich kobiet. Jest pani szczerą i ludzką. Pani może być tylko pomocą, a nigdy przeszkodą. I dlatego...

Urwał nagle, bo Klara patrzyła na niego z błyskiem rozweselenia w oczach, a dla Paxa wesołość była w tej chwili zimnym prysznicem. Zasłonił się więc jak puklerzem swą zwykłą chłodną dystynkcją; zamilkł.

Klara, zamyślona, dokończyła jego zdanie tonem pełnym rozwagi:

— I dlatego postanowiłem i tak dalej... Tak? Jestem typem kobiety nie wchodzącej w drogę nikomu. To ciekawy pomysł, kapitanie, powiedzenie mi tej pańskiej refleksji tak bez ogródek, ale wdzięczna panu jestem za to. To wiele tłumaczy...

Spojrzał na nią oczami, w których nie sposób było teraz wyczytać jego myśli.

— Może pani to interpretować w ten sposób, jeżeli pani się tak podoba — rzekł lodowatym głosem. — Niezupełnie tak to rozumiałem. Ale i ten punkt widzenia istnieje. Uważam za niedopuszczalne mieszanie się kobiety w sprawy zawodowe męża i przeszkadzanie mu w karierze życiowej. Tym bardziej, że to nie daje nigdy szczęścia.

— Naturalnie, zawód musi być na pierwszym planie — rzekła Klara — a kobieta w najlepszym wypadku może być na drugim, chyba że jest ona w szczęśliwym posiadaniu jakiegoś fachu. Sądzę, że w tym wypadku byłaby nieodpowiednia na żonę.

— Jeśli o mnie chodzi, tak — odrzekł Pax stanowczo. Wesołość zniknęła z jej oczu, zastąpił ją wyraz szyderstwa.

— Czy wolno panu udzielić pewnej wskazówki? — spytała. Patrzył na nią uważnie. — Proszę o nią — rzekł.

— Tylko tyle chcę panu powiedzieć: jeśli kiedyś w przyszłości spotka pan właściwą kobietę, odpowiednią dla siebie, o ile to się zdarzy... niech jej pan nie mówi tego wszystkiego, co pan mnie powiedział przed chwilą.

Zrozumiał. Miał w oczach błysk jakby ostrzegawczy, jakby groźny, ale był to tylko błysk.

— Żałuję, że panią obraziłem — rzekł sztywno — nie było to moim zamiarem, może zresztą domyśla się pani, że miałem całkiem inne intencje.

Klara uśmiechnęła się do niego szczerze, mile.

— Nie obraził mnie pan. Otworzył mi pan oczy. Wolę widzieć rzeczy takimi, jakie one są. To upraszcza tak wiele...

— Co to właściwie znaczy, co pani ma dokładnie na myśli? — poprosił spokojnie.

Uśmiechała się ciągle, lecz bez cienia kokieterii.

— To znaczy, że moje pierwsze wrażenie okazało się trafne. Mam nadzieję, że pan spotka na swej drodze jak najprędzej odpowiednią dla siebie kobietę, ale dotychczas nie znalazł jej pan jeszcze, to wiem na pewno.

— I sądzi pani, że ja na tym poprzestaną, że będę to uważał za pani ostatnie słowo? — zapytał Pax wstając z krzesła.

— Mądrość nakazuje panu tak postąpić.

— W takim razie nie jestem mądry i nie pragnę nim być.

— Szkoda! — rzekła. — Do widzenia! Proszę, niech pan nie posądza mnie o niewdzięczność. Usiłuję tylko oszczędzić panu niepotrzebnych przykrości.

Ujął jej rękę i trzymał ją mocno.

— Nie chcę pani wdzięczności — rzekł — jakkolwiek uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby na nią zasłużyć.

Przestała się uśmiechać.

— Obawiam się, że wdzięczność jest jedynym uczuciem, jakim mogę panu służyć, kapitanie — rzekła.

Pochylił się z wolna i podniósł jej rękę do ust.

— Z czasem zdobędę coś więcej — rzekł — do widzenia! Odwrócił się i wyszedł, zanim zdążyła zaprzeczyć.

LEKARSTWO

- Większość ludzi nazwałaby mnie prawdopodobnie szczęściarzem — rzekł Chris Markham gryząc zapamiętałe cybuszek fajki.
- Jesteś szczęściarzem, niezawodnie — odparł Pax. Chris popatrzył na niego z wyrazem przekory.
- Faktem jest, że wyjeżdżam — rzekł.
- Gdy już tam się znajdziesz, będziesz bardzo zadowolony — pocieszał Pax.
- Przypuszczalnie nie znajdę się nigdy oko w oko z tygrysem na przeciąg chociażby minuty — rzekł Chris targając Elfrydę za ucho roztargnionym gestem.
- Ale już same krajobrazy... — rzucił Pax.
- Zdaje się — rzekł Chris gryząc wciąż fajkę — że uważasz mnie za straszego lekkoducha.
- Nie powiedziałem tego — rzekł Pax.
- Czy zawsze mówisz to, co myślisz?
- Pax uśmiechnął się blado. — W każdym razie nie mówię nigdy tego, czego nie myślę.
- Chris ściągnął brwi i patrzył przed siebie.
- Świat to piekielna bestia — odezwał się po chwili. Znowu siedział zamyślony.
- Pax — rzekł nagle — jak myślisz, czy mam się pożegnać?
- Radziłbym ci odjechać bez pożegnania. Czasu jest tak mało, a przy tym...
- A przy tym, wiesz, Pax, ja jej przyrzekłem, że odjadę dopiero

po wieczorze tanecznym, mającym się odbyć po meczu polo, a tymczasem jadę już jutro...

— Mój drogi chłopcze — rzekł Pax stanowczym tonem — nie przypuszczam ani na chwilę, iżby ona dbała o twoje pożegnanie. Nie wyobrażasz sobie chyba, że jesteś jej jedynym flirtem.

Chris przytaknął niechętnie.

— To mnie trochę pociesza. Gdyby ona odczuwała to, co ja, byłoby mi jej bardzo żal, ot i wszystko.

— Nie bądź bardziej szalony, niż chce tego fatum miłosne! — rzekł Pax. — Broń się przed uczuciem. Wiedz, że są osoby, do których miłość nie ma dostępu, istoty niezdolne do kochania.

— To nieładnie z twojej strony — mruknął Chris — nie masz powodów tak sądzić.

— Bogu dzięki — rzekł Pax.

Chris zamilkł. Wiedział, że Pax ma słuszość. Cała ta sprawa wyczerpała go już nerwowo. Uczucie, które początkowo traktował żartobliwie, które było mu raczej rozrywką, przybierało rozmiary dramatyczne, opanowywało go z mocą mu nieznaną. Nie był już panem siebie w obecności Yvonne. Nigdy dotychczas nie był tak dalece niewolnikiem namiętności do kobiety. Jego samego przerażała potęga tej miłości. Z niesmakiem spoglądał na siebie w chwilach zdrowego rozsądku, co prawda nielicznych. Ale uświadamiał sobie, że Pax patrzy na niego pod tym właśnie kątem. Przeważnie jednak burzył się przeciw więzom, jakie przypadkowo krępowały jego i Yvonne, a pożądanie owocu zakazanego nie dawało mu spokoju. Tęsknił do jej ramion we śnie i na jawie, stawało się to manią prześladowczą.

Interwencja Paxa była bolesna jak operacja chirurgiczna bez znieczulenia, ale Chris uznał natychmiast jej konieczność. Trzeba było brutalnie przeciąć ten wrzód. Chris po raz pierwszy uciekał się do takiego środka względem samego siebie, ale instynkt ostrzegał go, że to jest jedyny ratunek. Będzie cierpiał piekielne katusze, już je odczuwał, ale może zdoła po jakimś czasie przewyciężyć tę zgubną namiętność. Przy tym Chris wiedział dobrze, że postępował niewłaściwie, uwodząc żonę starszego oficera i kolegi, uwodząc cudzą żonę w ogóle! Zasłużył na karę i teraz oto przyszedł czas pokuty. Poddawał się z rezygnacją.

Jedyną nieznośną myślą była możliwość cierpienia Yvonne. To mu nie dawało spać. Yvonne za piękna była, ażeby cierpieć. Ona była z innego świata. Nędza ziemskiego padolu nie powinna mieć do niej przystępu. Nie godził się z ewentualnym ściągnięciem jej do poziomu codzienności. Ona była inna. Była czarująca, była istotą wyższego rzędu. niesprawiedliwością było traktowanie jej na równi z innymi śmiertelnikami. Ona nie była zwykłą śmiertelniczką. Między nią a innymi kobietami była taka sama różnica, jak między klimatem podzwrotnikowym a podbiegunowym. I to właśnie go pocieszało. Bo może ta odrębność Yvonne wynosiła ją poza zasięg normalnego ludzkiego cierpienia. Możliwe, że była zbyt szczęśliwą istotą, zbyt czystą, zbyt pogrążoną w marzeniach, ażeby umieć cierpieć tak, jak cierpią inne kobiety. Może miała moc odsuwania od siebie wszelkich niepożądanych wrażeń. Modlił się, żeby tak było naprawdę. Całą duszą pragnął, żeby Yvonne była niezdolna do miłości, ale nie był tego pewien z chwilą, kiedy Pax wyraził to przypuszczenie. Pax nie mógł tego wiedzieć, nie wiedział. Pax zanadto ukochał swój zawód, ażeby jakakolwiek kobieta mogła wywrzeć wpływ na niego. Toteż nie znał kobiet i miłości. Sąd jego był niemiarodajny. Nie można było nawet wymagać zrozumienia ze strony Paxa. Ale w całej tej sprawie okazał bardzo wiele taktu i Chris był mu wdzięczny o tyle, o ile stan jego duszy na to pozwalał.

Odjeżdżał nazajutrz z samego rana, ale ponieważ nie umówił się z Yvonne na konną przejażdżkę, nie będzie na niego czekała. Wspomnieli, że zagrają może w tenisa wieczorem i to mu ciążyło. Ale nie mógł się przemóc, aby iść do niej z pożegnaniem. Wiedział, że jeśli ją zobaczy, ulegnie, zostanie. Jeżeli napisze, to będzie lakoniczny aż do brutalności, albo wpadnie w nastrój nad wyraz niebezpieczny dla jego znekanej duszy, jego roztrzęsionych nerwów. Można by zasadniczo przesłać pozdrowienia przez Paxa, ale wzdrygnął się na tę myśl. Pax był dobrym chłopcem, ale strasznie prozaicznym. Wywiązałyby się z tego polecenia, jak gdyby czytał dokument sądowy. To byłoby mniej niż nic.

Poszedł więc po linii najmniejszego oporu, lekceważąc samego siebie za to postępowanie. Yvonne też nim wzgardzi na pewno, o ile w ogóle zatrzyma przy nim myśl na jedną sekundę.

Może napisze do niej później, gdy już będzie daleko i gdy

wspomnienia będą w nim mniej żywe i mniej dręczące. Zresztą jej przecież na tym nie zależy. Pax tak twierdzi, a Pax zawsze ma słuszość.

Poszedł na górę do swego pokoju, gdzie Peters pakował mu rzeczy z polecenia Paxa. Peters przyglądał się młodemu człowiekowi nie bez sympatii. Dziwił go trochę ten nagły wyjazd, ta wyprawa, do której główny bohater nie okazywał żadnego entuzjazmu. Ale widocznie było to potrzebne, skoro kapitan Pax sprzyjał temu projektowi i kazał Petersowi pomagać panu Markhamowi w przygotowaniach. Wiara Petersa w kapitana była niezłomna.

NAPÓJ MIŁOSNY

Yvonne była sama. Klara wyjechała do Kapoo, a willa wydawała się dziwnie opustoszała. Za oknami panował nieznosny upał. Okiennice były szczelnie pozamykane. Była to najgorętsza godzina dnia.

Yvonne leżała na macie usłanej poduszkami, dokoła niej leżały pisma ilustrowane; na stoliku, tuż pod ręką, stały papierosy. Jej piękna twarz o żywym kolorycie odcinała się ostro od neutralno-ciemnego tła pokoju. Jej smukłe, giętkie ciało udrapowane było w żółtą tkaninę, uwydatniającą prześliczne kształty. Tu i ówdzie prześwitywało białe ciało łydek. Była jakby cudnym kwiatem, który zakwitł na niewdzięcznym gruncie.

Klarę upał pozbawiał wszelkich sił żywotnych, Yvonne natomiast czerpała z niego tym intensywniejsze napięcie energii. Była z każdym dniem bardziej urocza, zawsze gotowa na wszystko, co tchnęło radością życia. Perspektywa samotności nie przygnębiała jej. Pożegnała Klarę z uśmiechem, a teraz była zupełnie zadowolona z otaczającej ją pustki. Upał niebawem minie, ona pojedzie do kasyna, zagra z Chrisem w tenisa. Nie widziała go jeszcze dzisiaj, ale umówili się wczoraj na dzisiejszy wieczór. Po tenisie pójdą razem przy świetle księżyca wzdłuż rezerwuarów i będą mówili o czekającym ich rozstaniu. Yvonne cieszyła się na tę chwilę swobody, z dala od obmowy rodaków.

Wierzyła zresztą w swą gwiazdę. Dotychczas życie nie nastęczało jej zbyt trudności.

Zapewne, Guy... ho, ale on był za kulisami, a skoro tylko wychodził z domu, zapominała o jego istnieniu. Nie doceniała znaczenia Guy'a w swym życiu. Z wyjątkiem paru wypadków, które jej dały do myślenia,

uważała za najlepszą i całkiem bezpieczną metodę ignorowanie go zupełnie. Małżeństwo nie dało jej szczęścia, ale nie warto było się nad tym zastanawiać i psuć sobie radości, którą można czerpać z rozrywek, z orszaku wielbicieli. A przy tym Chris...

Przeciagnęła się z rozkoszą, przyglądając się z upodobaniem swym pięknym ramionom. Westchnęła głęboko. Tak, Chris był nagrodą za tuzin niesympatycznych małżonków. Ale nie byłaby go nigdy poznała, gdyby nie wyszła za mąż za Guy'a, tak że wszelkie żale na ten temat byłyby daremne i nielogiczne.

Życie bez Chrisa nie wchodziło już teraz w rachubę. Dla niego pozostała tu aż do meczu polo, a potem miała nadzieję, że on uzyska kilkutygodniowy urlop i przyjedzie do Kapoo. To byłoby szczytem pomyślności, bo Guy'a tam nie będzie, pozbędą się tych ustawicznych scen zazdrości, tego złowieszczego wzroku. Będą wolni, wolni jak to powietrze górskie, którym będą oddychali. Nie będą zmuszeni oglądać się za siebie. Yvonne nie czyniła tego dotychczas, jak również nie pragnęła nigdy niczego z taką siłą. Brała rzeczy tak, jak się zdarzały z tym swoim uroczym, porywającym śmiechem, któremu nikt się nie opierał. Tym bardziej cieszyła się teraz perspektywą tych kilku tygodni szczęścia; już nie tylko przyjemności, rozrywki, lecz szczęścia! O Guy'a mniejsza. Zresztą, skoro ona mu daje wszystko to, czego ma prawo od niej żądać, co go obchodzą jej sprawy osobiste?

Ogarnęła ją senność. Z rozkoszą poddała się temu słodkiemu zmęczeniu. Jeżeli teraz odpocznie, tym intensywniej będzie używać przyjemności sportowej, tym mocniej reagować będą jej zmysły na tę czarowną noc z Chrisem. Sen nie dał na siebie czekać: ostatnim wrażeniem, jakie dotarło do jej świadomości, był zapach drewnianego pudełka do papierosów, stojącego obok niej. Same papierosy również były aromatyczne. Dostarczał ich Yvonne ordynans Guy'a. Klara nie byłaby ich tknęła, ale Klara nie wie, co jest dobre. Ma przesady, nie lubi Wschodu, nie dowierza ludziom, Yvonne natomiast przepada za wonnościami, za muzyką Wschodu, przyswaja je sobie, jest już dziś zespolona z nimi, odczuwa zmysłową rozkosz w zetknięciu z bujnością wschodnią, z tutejszym wyrafinowaniem. Piękne łydki wyprostowały się powoli. Ramiona opadły wzdłuż ciała. Leżała jak doskonały posąg. Tylko falowanie piersi zdradzało,

że ten posąg żyje. Tak, pyszny smak mają te papierosy. Byle nie zapomnieć... nie zapomnieć... zabrać je ze sobą... odjeżdżając...

W cztery godziny później obudziła się, a raczej została zbudzona ze snu. Ktoś otworzył gwałtownie drzwi i wszedł do pokoju. Rozejrzała się zdumiona dokoła. Po zapadającym zmroku poznała, że zasnęła. Nie było Klary, która by była weszła po cichu i zbudziła ją ostrożnie.

Ujrzała na wprost siebie swego męża, który stał patrząc na nią. Trzymał jeszcze klamkę.

— Witaj, Guy! — zawołała — Muszę wstać.

— Całe popołudnie w domu? — spytał. — Co za zmiana! Usłyszała szyderstwo w jego głosie, ale pominęła je milczeniem. Nie

warto zwracać na to uwagi. Guy jest Guy'em, zawsze będzie szorstki, ilekroć jest w złym humorze, co się nierzadko zdarza.

— Tak, całe popołudnie — odrzekła unosząc się na łokciu. — Leniwa jestem! A obiecałam zagrać w tenisa w kasynie.

— Nie miej wyrzutów sumienia! — dorzucił. — Nie sądzę, żeby zauważono twoją nieobecność.

Najwyraźniej był usposobiony bardzo agresywnie.

— No, teraz trzeba wstać w każdym razie — rzekła Yvonne, sięgając po pantofle.

Zatrzasnął nagle drzwi za sobą i podszedł bliżej.

— Teraz nie możesz już grać w tenisa — rzekł.

Roześmiała się. — Mniejsza o to. Wypoczęłam znakomicie, to ważniejsze. Ale już pora przebrać się, bądź co bądź. Staął przy niej i patrzył na nią z góry.

— Jesz obiad ze mną dziś wieczorem — rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Yvonne nie stawiała mu czoła. Wykonała ręką obojętny gest i zakryła kolana żółtą tkaniną.

Pochylił się ku niej znięcka i odrzucił jedwabną materię tak brutalnym ruchem, że się rozdarła. Po czym zaśmiał się śmiechem złym, wulgarnym.

— Po co się ubierać w ogóle? Czy to nie wystarcza?

— Sądzisz? — spytała Yvonne jakby od niechcienia. — Łatwiej cię zadowolić niż innych ludzi. Nie zdaje mi się, żeby nasze miasteczko pochwaliło ten strój.

— Co nas obchodzi to przeklęte miasteczko? — odrzekł przysuwając się do niej coraz bliżej. — Zameżną kobietę powinien obchodzić tylko sąd jej męża. On jeden liczy się w jej oczach.

— Co za przestajrzałe poglądy? — uśmiechnęła się Yvonne. Położyła dłoń na piersiach, zasłaniając przed nim swą nagość. — No, w tym stroju Ewy jednakże nie zasiądę do obiadu, pomyśl o służbie. Odejdź, Guy'u, proszę i pozwól mi się ubrać.

Stał wciąż pochylony nad nią.

— Ubierzesz się, jeżeli zechcę — rzekł dysząc ciężko.

— Nie bądź nedorzeczny! — rzekła Yvonne. — Idź i ubierz się do obiadu, ty również, bo się spóźnimy!

— Cóż to szkodzi!? — spytał. — Czy nie wolno nam robić, co nam się podoba w naszym własnym domu?

Roześmiała się lekko. — Spodziewam się. Ale czas najwyższy, żebym wstała, o ile nie masz nic przeciw temu. Może byś poszedł do salonu i przyniósł mi kieliszek martini. Na herbatę za późno.

Ta prośba oderwała jego uwagę od niej. Czy przewidziała to? Wyprostował się ociężale.

— Dobra myśl! — przyznał. — Nigdy nie jest za późno na kieliszek czegoś dobrego, prawda? Dobrze, włóż na siebie coś ładnego, skoro już chcesz koniecznie przebrać się! Ten żółty kolor ogromnie lubię, do twarzy ci w nim tak, jak w niczym innym. Podobasz mi się w tym szlafrocuku.

Wyszedł zostawiając drzwi otwarte. Yvonne wzruszyła ramionami, wstała i poszła zamknąć drzwi. Potem zapaliła lampę i zaczęła się ubierać wieczorowo.

Na jej pięknej twarzy nie było żadnego wyrazu, gdy stała przed zwierciadłem. Zresztą niewielką wagę przykładła dzisiaj do swego wyglądu. Mąż nie wracał. Może i to przewidziała. Szybko włożyła na siebie bursztynową suknię, stosownie do gustu, jaki wyraził przed chwilą, a kiedy już była gotowa, zgasiła lampę i wyszła ze swej sypialni. Otwierając drzwi salonu, posłyszała głos swego męża, łającego hinduskiego służącego, Ghulama. Znowu wzdrygnęła się lekko.

Stół był nakryty na dwie osoby. Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady papierosy. Zapaliła papierosa i stanęła w otwartym oknie, wychodzącym na werandę, pograżoną teraz w ciemnościach.

Noc była mroczna i parna. Księżyc późno wschodzi w tych krajach. Stała milcząca puszczając dym przed siebie.

Gdyby Klara nie była wyjechała, stałyby tak razem gawędząc o tym i owym.

Przerwała w końcu milczenie; wydała rozkaz Hindusowi, aby jej przyniósł kieliszek likieru. Po chwili stał przed nią z tacą w ręku.

Podniosła do ust napój, ale w tejże chwili rozległ się za oknami dziwny krzyk. Ręka jej zawisła tuż przy wargach. Był to krzyk pantery, ale zadźwięczał niewypowiedziane złowrogo. Może to odezwał się jakiś duch pokutujący od dawna, wcielony w to zwierzę, protestujący przeciw srogiej krzywdzie?

Yvonne czekała chwilę, ale nic już nie mąciło ciszy nocnej. Wychyliła do dna swój kieliszek i wróciła w głąb pokoju. Była bledsza niż zwykle, ale na pozór spokojna. Wzięła do ręki gazetę i usiadła na fotelu na biegunach.

W kwadrans później jej mąż otworzył drzwi w swój raptowny sposób i wszedł do stołowego. Był we fraku. Chwiał się trochę idąc, a na jego twarzy widniał zaczepny uśmiech. Oczy miał zasnutę mgłą, spojrzenie podejrzliwe. Zdawał się szperać wśród przedmiotów, na które spoglądał.

— Przykro mi, że dałem ci czekać — zauważył niedbale. — Ale gdy jesteśmy sami, możemy się nie spieszyć, co? Yvonne spojrziała znad gazety.

— Aha, jesteś gotów? No, to jedźmy.

Ton jej i spojrzenie nie zdradzały żadnego wzruszenia. Nie patrzyła na niego mówiąc.

Ale mężczyzna utkwiał w niej wzrok pełen żądy. Gdy go mijała, dotknął palcami jej obnażonej szyi.

Drgnęła i zrzuciła ten palec, jakby sądziła, że to natrętny owad, którego odpędza. W następnej sekundzie siedzieli na wprost siebie przy stole.

Podczas obiadu prawie nie rozmawiali. Yvonne trzymała jeszcze w ręku gazetę i od czasu do czasu udzielała mężowi wiadomości, chociaż nie okazywał wielkiego zainteresowania nowinami. Pił dużo i z takim skupieniem, jakby to była w tej chwili najważniejsza rzecz. Ale Yvonne nie zwracała na to najmniejszej uwagi. On ukradkiem spoglądał ku niej; tego również nie widziała.

Kiedy skończyli obiad i służący wyszedł z jadalni, Guy odezwał się:

— Jeżeli masz zamiar wyjść dzisiaj z domu, to zaniechasz tego projektu. Ów szalony Hindus kręci się podobno w tych stronach i nie chcę, żebyś sama chodziła po ciemku. Możesz go spotkać. Czas najwyższy, żeby go zakuli w łańcuchy, wtedy będziesz mogła włóczyć się do woli.

Nie był to zwrot pełen galanterii, ale Yvonne nie okazała urazy. Uśmiechnęła się przelotnie i odrzekła:

— Już raz do mnie strzelał, ale zdaje się, że nie jest dobrym strzelcem. Ja się go nie boję.

— Nie o to chodzi — odrzekł mąż — chodzi o to, że ja ci zabraniam wyjść dzisiaj. Zrozumiano?

— Zrozumiano wybornie — odrzekła Yvonne z lekkim drżeniem w głosie, które mogło uchodzić za tłumiony śmiech.

Zmarszczył brwi słysząc to.

— A gdzie padł ten strzał, o którym mówisz, chciałbym wiedzieć? Wstała od stołu nie odpowiadając na pytanie i podeszła do stolika,

na którym stała maszynka do czarnej kawy. Zwykle przyrządzała kawę Klara. Yvonne zajęła się przygotowaniami, zwrócona do męża plecami.

Obserwował ją z wyrazem złości i podziwu zarazem. Ale Yvonne nie widziała go. Przyrządzała kawę starannie, a kiedy woda zaczęła się gotować, cofnęła się o krok z papierosem w ustach, z rękami opartymi o poręcz krzesła stojącego przed nią. Patrzyła na płomień tłący się pod szklanym naczyniem.

Było w jej spojrzeniu coś dziecięcego. I to może zażegnało wiszące nad nią niebezpieczeństwo. Oczy Guy'a Chisledona przybierały stopniowo łagodniejszy wyraz. Wyjął cygaro z pudełka, które służący postawił przed nim i zapalił je. Zapach rozszedł się niebawem po całym pokoju. Białe ramiona Yvonne wzdrygnęły się lekko, ale nic nie powiedziała: nie cierpiała cygar. Guy wiedział o tym.

Kilka minut upłynęło. Maszynka warczała z cicha. Guy palił cygaro patrząc przed siebie. Zapomniał bodaj nawet o obecności żony, która stała bez ruchu, zwrócona do niego plecami. Cisza za oknami była wręcz oszałamiająca, otulała zmysły, przytębiała, usposabiała do snu.

Nagle ciszę tę przeciął powtórnie ryk pantery. Chisledon zaklął i podniósł się ociężale.

Yvonne postąpiła krok naprzód i zaczęła nalewać kawę do filiżanek. W ruchach jej było coś gorączkowego i rozpaczliwego, jak gdyby to wycie wytrąciło ją ze zwykłej równowagi. Nie było to zgodne z jej naturą, nie zwykła ruszać się szybko, lub okazywać jakiegokolwiek wzruszenie.

W kilka minut później odwróciła się z dymiącą filiżanką w ręku i postawiła ją na stole przed miejscem męża. Spojrzał na nią bystro.

— To dla mnie?

— Tak, jeżeli sobie życzysz — odrzekła Yvonne.

Już odchodziła ku stolikowi, na którym stała maszynka, ale on wyciągnął ramię za nią. Przy czym zamykał i otwierał dłoń, podobnie jak dzikie zwierzę otwiera i zamyka paszczę.

— To napój miłosny, tak? — spytał. — Czy coś innego? Śmiech jego brzmiał mściwie, niepokojąco.

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć — odrzekła Yvonne obojętnie.

Znowu stała plecami do męża, nalala sobie filiżankę kawy, poszła ku oknu, rozsunęła firankę i usiadła w pobliżu.

— Chodź tutaj! — rzekł Guy. Siedziała nieruchomo jak posąg.

— Chodź tutaj! — powtórzył. — Nie widzę potrzeby wystawiania się na pociski wariata.

— Nic mi nie grozi, jestem pewna — odrzekła Yvonne.

— Chodź tutaj! — rozkazał po raz trzeci.

Odeszła wolnym krokiem od okna z filiżanką w ręku. Firanka opadła za nią z szelestem.

Guy zgasił cygaro. Ostro dym nappełnił cały pokój. Yvonne usiadła na trzcinowym fotelu, na którym czytała przed obiadem i znów wzięła gazetę do ręki. W postawie jej, niedbałej i spokojnej na pozór było coś, co mówiło, że oczekuje jakiegoś zdarzenia.

Kilka minut upłynęło. Zaczęła pić kawę.

Mąż jej przestał patrzeć w dal, jakby był w transie hipnotycznym i zwrócił się ku niej. — Kawa mi wystygła — rzekł, biorąc do ręki filiżankę i niosąc ją do ust.

Skosztował. Skrzywił się. Pociągnął drugi łyk, wczuwając się uważnie w smak napoju.

— Ta kawa nie ma zwykłego smaku — rzekł.

— Przyrządziłam ją ściśle według metody Klary — odrzekła Yvonne nie podnosząc oczu.

Guy Chisledon powąchał kawę. Yvonne opróżniła swoją filiżankę i odstawiła ją na stolik.

— Dla mnie ma ona ten smak co zawsze. Może twoje cygaro inaczej dziś smakowało.

Zapaliła papierosa i puszczała kłęby dymu jak osoba, której myśl już odbiegła od przedmiotu.

Guy wypił kawę, nie narzekając już więcej na jej dziwny smak. Na dnie zostawił troszkę. Rozparł się w swym fotelu i palił cygaro ze zmysłową rozkoszą.

W kwadrans później Yvonne złożyła gazetę i podniosła się po cichu. Niedopałek cygara wypadł z ręki Guy'a i leżał na macie u jego stóp. Schyliła się, podniosła go z podłogi i położyła na spodku, przy niedopitej filiżance.

Następnie przez kilka sekund stała patrząc na niego. Oddychał głośno i ciężko. Oczy miał zamknięte, usta szeroko otwarte.

Błady uśmiech przemknął po jej twarzy i zniknął. Bez szmeru podeszła do okna balkonowego.

Czerwona firanka znowu się rozsunała, a potem zwisała w miękkich fałdach. Guy Chisledon był sam w pokoju, śpiąc spokojnie na swym fotelu.

PRZEBUDZENIE

Yvonne nie spieszyła się zbyt. Było późno, ale Chris czekał znacznie dłużej, a księżyc dopiero wschodził. Mogą wędrować przez całą noc, o ile on zechce. Guy prześpi prawdopodobnie do samego rana. Tak zwykle bywało, gdy nadużył trunków lub narkotyków, a potem sam z tego żartował, aby ukryć zmieszanie. Służący hinduski poszedł na drugi kraniec miasteczka do swej rodziny, tak że w willi oprócz Guy'a nie było nikogo.

Szczęście, że do Chrisa było tak blisko. Tylko kilkanaście kroków do willi, którą zamieszkiwał wraz z Paxem. Ale Pax nie będzie wiedział o dzisiejszej wyprawie. Pax nie był ich powiernikiem. Chris będzie na nią czekał z końmi w ciemnościach pod drzewami. Nieraz przemykali się tamtędy nad morze, nie widziani przez nikogo. Uśmiechała się do samej siebie na myśl, że nie jest to po raz ostatni. Jeszcze sporo dni upłynie, zanim odjedzie do Kapoo.

Wieczór spędzony w domu nie należał do najprzyjemniejszych, ale w gruncie rzeczy z Guy'em można sobie było dać radę. Przespawszy się po owej kawie, będzie zapewne rozsądniejszy, ale Yvonne byłaby wołała, żeby był wypił całą zawartość filiżanki. Sytuacja byłaby znacznie pewniejsza.

Tymczasem była wolna, zupełnie, cudownie wolna, mogła robić, co jej się podoba. Na myśl o czekającym ją galopie przy boku Chrisa czuła ogień w żyłach. Przebiegła przez ogródek do swego pokoju i spojrzała w zwierciadło.

Zaśmiała się cichym, uszczęśliwionym śmiechem. Takiej przyjemności nie zazna tam na górze, w Kapoo.

Przebrała się w amazonkę i zgasiła lampę. Przypomniała sobie, że w pokoju Guy'a znajduje się duża latarka elektryczna. Jemu nie będzie potrzebna, a zresztą ona wróci do domu, zanim on się obudzi. Na palcach wsunęła się do jego sypialni.

Znalazła latarkę na stoliku i wzięła ją. Jednym susem była znów u siebie. Przyzwyczała się do ciemności. Zauważyła przy tym, że za oknami robiło się coraz widniej. To księżyc, ogromny księżyc nocy podzwrotnikowych rzucał blask na rozległą równinę. Nie będzie potrzebowała latarki, księżyc wystarczy. Położyła ją więc na stole obok lampy i wzięła do ręki szpicrutę.

W willi panowała śmiertelna cisza. Cisza przejmująca dreszczem. Yvonne była z natury odważna, ale dzisiaj coś ją trwożyło. Zapragnęła nagle bliskości Klary, chociaż jej obecność byłaby raczej przeszkodą do wykonania tego śmiałego planu. Klara była zdrową, prostą naturą i nie byłaby rozumiała tego dziwnego nastroju. Yvonne panowała nad sobą, aby nie drzeć na całym ciele, przez chwilę zawahała się nawet, czy ta przygoda warta jest takiego ryzyka. Lecz przypomniała sobie, że Chris czeka na nią, że już raz go rozczarowała dziesięjszego wieczora. Nie może mu dać czekać daremnie po raz drugi. Zresztą czego tu się bać? Guy z pewnością prześpi najbliższe cztery godziny, a ona wróci, zanim on się obudzi.

Co do drugiego niebezpieczeństwa — szalonego Hindusa — to nie było się nad czym zastanawiać. Chris myśli o niej, zmieni marszrutę w razie potrzeby, a ona podda się bez zastrzeżeń jego woli. Byle już być przy nim.

Niedorzecznością byłoby czekać dłużej. Nie było na co. Umówiona godzina dawno minęła. Podeszła do okna, zdobyła się na odwagę i w następnej chwili była już poza obrębem werandy.

Tak, księżyc wschodził szybko, ale obłoki przysłaniały go tu i ówdzie. Niemniej latarka była zbyt cenna. Zresztą niedaleka droga była przed nią.

Niebawem posłyszała szczekanie Elfrydy, czującej prawdopodobnie bliskość pantery. Przyśpieszyła kroku, aby Chris nie czekał już dłużej z cierpliwością taką, jak wierność tego szczekającego psa. Okrucieństwem byłoby dać mu czekać jeszcze kilka minut.

Prześlizgnęła się wśród drzew, potknęła się o drut, dzielący obie

posesje. Drut zadźwięczał, a ona drgnęła przerażona. Była niedorzecznie zdenerwowana, a przecież nie było najmniejszego powodu po temu. Guy śpi, są dane, że będzie spał przez kilka godzin.

Wreszcie stała przed willą, w której mieszkał Chris. Elfryda gotowa rzucić się na nią. Chociaż z tego, co słyszała o tym psie, trudno było przypuszczać, żeby ją wziął za panterę. Dokoła było ciemno i okropnie, przeraźliwie cicho. Zdawało się, że cała atmosfera jest w napięciu oczekiwania. Czowała działanie jakichś utajonych mocy; była dziwnie, zastanawiająco wystraszona.

Natężyła wzrok i słuch chcąc wywnioskować z pewnych znaków, że Chris jest w domu i czeka na nią. Nie słysząc i nie widząc niczego, zaczęła się posuwać wzdłuż muru.

Może stoi z końmi przy drodze i tam ją oczekuje! Doszła do miejsca, gdzie spodziewała się go zastać: pusto! Coś ją ostrzegało z góry, że tak się stanie, tak że nie doznała rozczarowania. Niezawodnie Chris jest gdzieś niedaleko.

Dziwiło ją tylko, że nie było słychać odgłosu kopyt końskich.

Uszła jeszcze kilkanaście kroków, minęła bramę wjazdową i wyszła na drogę. Nigdzie go nie było. Zrozumiała, że coś stanęło mu na przeszkodzie i pokrzyżowało plany. Ale dlaczego nie dał jej znać?

Poszła w dół szosy. Noc była upalna, męcząca, ale jej popołudniowa drzemka uczyniła ją odporną na senność. Nie tęskniła bynajmniej za łóżkiem. Całą noc byłaby mogła jeździć z Chrisem.

Ale najwidoczniej coś się zmieniło. O przejażdżce nie było mowy. Nieprzewidziane okoliczności zatrzymały go. Może miał nocną służbę. Może nawet napisał do niej bilecik, a jego służący zapomniał go jej doręczyć. A może, przyszło jej nagle na myśl, ten Hindus, który ją wyminął przed chwilą, niósł list od Chrisa do jej willi. W takim razie zostawił go na werandzie. Trzeba wracać i zajrzeć tam. Niepożądane byłoby, aby jej mąż przeczytał to pismo.

Szybkim krokiem skierowała się ku domowi.

Znów usłyszała kroki, ale tym razem nie był to Hindus. Chcąc go ominąć i ukryć się przed jego wzrokiem, skrzyła gwałtownie w lewo tak niefortunnie, że wpadła niemal w ramiona zdumionego Petersa, który właśnie wychodził z willi swego pana. Wydał lekki okrzyk, ale zanim zdążył przywitać Yvonne, ta zniknęła jak cień, pozostawiając go pogrążonego w zadumie na środku drogi.

Yvonne zaś biegła szybko do siebie. Weźmie latarkę i przeszuka werandę, ażeby ustalić, czy nie ma tam listu od Chrisa. O ile to niebezpieczeństwo zostanie zażegnane, nie ma powodu trwożyć się
● cokolwiek. Doznała rozczarowania, zapewne, ale nadarzą się niebawem inne sposobności. Była zbyt pogodnego usposobienia, ażeby się przejmować drobnymi przeciwnościami. Panowania swego była pewna, nic nie mogło zachwiać jej władzy nad Chrisem. Nie wątpiła ani przez chwilę, że Chris był bardziej rozczarowany niż ona sama. Tak pocieszając się, nieświadomie zresztą, dobiegła do werandy. Po cichu weszła na stopnie, drżąc znów ze strachu. Dlaczego? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Weszła do swego pokoju i zaczęła szukać latarki. Księżyc rzucał snop światła na stół, na którym ją położyła przed wyjściem, o czym pamiętała z całą dokładnością. Drżącymi rękami zapaliła lampę po to tylko, aby się upewnić o tym przerażającym fakcie: latarki nie było. Służącego nie było w domu, nikt nie mógł zatem wejść do jej pokoju. A jednak fakt był oczywisty: latarka zniknęła. Szukała jej w gorączkowym napięciu nerwów, ale daremnie. Wszystkie inne przedmioty leżały nie ruszone, w największym porządku. Tylko latarka zniknęła. Dlaczego? Gdzie?

Nagle odezwał się dźwięk jakby kaszlu, "dochodzący z pokoju jej męża. Przerazenie jej doszło w tym momencie do paroksyzmu.

Nie był to kaszel. Były to raczej odgłosy człowieka dotkniętego chorobą morską. Co się stało? Obudził się mimo wszystko? Opium zawiodło. Przypomniała sobie, że nie wypił do dna swej kawy. Czuła, że omdlewa ze strachu. Za wiele budowała na swym pomysle, bezkrytycznie zaufała losowi. Po raz pierwszy szczęście nie dopisało jej. On nie spał, był w przyległym pokoju i był chory.

Dawka była niewystarczająca, a może alkohol, którego tyle wypił przedtem, zniweczył działanie narkotyku.

Mniejsza z jakich przyczyn, faktem było, że się obudził. Tak więc on był tym, który wszedł do jej pokoju i zabrał latarkę.

Myśli jej tłoczyły się do mózgu w szalonym tempie. Odkrył jej nieobecność. Za chwilę, kiedy wymioty ustaną, otworzy znów te drzwi

i zastanie ją tutaj w amazonce.

On musi wyciągnąć słuszny wniosek, odpowiadający rzeczywistości.

Nie pomogą przysięgi i zaprzeczenia. Nie pomoże milczenie, jej zwykła broń. Wykrył prawdę. Jedną tylko była deska ratunku. Zrzucić z siebie czym prędzej amazonkę i włożyć natychmiast tę żółtą suknię leżącą na łóżku, suknię, którą miała na sobie podczas obiadu. Słaba nadzieja, żeby jej uwierzył, żeby nie domyślił się prawdy, ale bądź co bądź jedyna szansa. Momentalnie odrzuciła szpicrutę, która upadła na łóżko bez szmeru i gorączkowymi ruchami zdarła z siebie czarną suknię, otworzyła szafę i wrzuciła byle gdzie amazonkę i dessous. Po czym podbiegła do łóżka i porwała żółtą toaletę wieczorową, chcąc ją wciągnąć, jak zawsze na nagie ciało. Wtem uwagę jej zwrócił jakiś szmer i jakieś światełko, mocniejsze niż dotychczasowe oświetlenie pokoju. Mąż jej stał na progu w drzwiach otwartych na oścież. W ręku trzymał latarkę elektryczną, którą oświetlał jaskrawo jej obnażoną postać. Twarz jego była sinobiała, a w oczach miał szatański błysk. Yvonne po raz pierwszy w życiu sparaliżował strach. Stała jak wryta, wpatrzona w niego rozszerzonymi oczami. Suknia wypadła jej z rąk i leżała u jej stóp. On zaś posuwał się powoli naprzód, zmierzając ku niej z podniesioną latarką w ręku.

NA DNIĘ KIELICHA

Doszedł do niej. Była jeszcze wciąż sparaliżowana przez dziki lęk. Na widok tej bezbronności uśmiechnął się szatańskim uśmiechem.

— Tak więc — rzekł — chciałaś mnie uspić narkotykiem, a sama poszłaś do swego kochanka?

Nie odpowiedziała. Nie mogła mówić. Usta jej były suche, zeszywniałe. Instynktownie ułożyła je do uśmiechu. Był to jedyny wysiłek samozachowawczy, na jaki się zdobyła. Kiedy się o nią starał, mówił jej nieraz, że uśmiech jej może działać cuda.

Ale tu się nie przydał. W oczach jego pogłębił się jeszcze szyderczy wyraz, a rysy twarzy wykrzywiły się jakby w przedśmiertnym spazmie. Gorączkowym ruchem porwał ją za ramię.

— Gdzie byłaś? — spytał.

Chciała odpowiedzieć, ale nie mogła. Z jej ust wydobył się tylko jakiś nieartykułowany dźwięk. Ta twarz, podobna do najohydniejszej maski napępiała ją niewysłowionym lękiem. Straszne to było być uwięzioną w uścisku tych żelaznych palców. A jednocześnie te pytania! Wprawdzie amazonki nie miała na sobie, nie mógł więc dowieść jej niczego; wyglądało, że zaczyna się rozbierać i zdjęła właśnie suknię obiadową, ale... jeden szczegół zdradzał ją.

Tym szczegółem była szpicruta leżąca na łóżku. Jej złota gałka połyskiwała w świetle latarki. Nie mogła oderwać oczu od tego punktu. Po chwili on poszedł spojrzeniem za jej wzrokiem.

Usłyszała jego śmiech. W tejże chwili odrzucił latarkę, wciąż jeszcze zapaloną i porwał z łóżka szpicrutę.

— Tak — szydził — teraz się skwitujemy! Miarka za miarkę. Wstyd za wstyd!

Był to czyn szaleńca. Zrozumiała to w nagłym błysku, który przeszył jej mózg. Alkohol i opium pozbawiły go przytomności. A to było jej dziełem, w znacznej części przynajmniej. Nie wychylił do dna czary, jaką mu przygotowała, a teraz cała gorycz zwracała się przeciw niej.

Odzyskała wreszcie głos i zdobyła się na dziki krzyk rozpacz i protestu:

— Guy! Guy! Niemożliwe! Nie zrobisz tego! Nie wiesz sam, co robisz!

— Nie wiem, co robię? — zasyczał drwiąco. — Robię to, co powinienem być i co pragnąłem uczynić już niejednokrotnie i od dawna. Złapałem cię na gorącym uczynku i teraz zapłacisz za wszystko. Nie ma w całym domu żywej duszy, tak że możesz krzyknąć i płakać, ile ci się podoba.

I rozpoczęła się straszna kara. Szpicruta była wprawdzie lekka, ale miała giętkość węża, owijała się dokoła drżącego z bólu ciała, wpijała się w nie, a Yvonne była bezsilna, nie mogła się uwolnić z żelaznego uścisku tych palców, chociaż szamotała się rozpaczliwie. Ciął ją niemiłosiernie i bez przerwy, tak że cała była niebawem jakby w ogniu, jakby poparzona najokrutniej. Słyszała swój własny, histeryczny krzyk, dziki wrzask, a jednocześnie miotła się jak szalona, aby się wyrwać z jego dłoni. Ale on śmiał się tylko na głos z jej daremnych usiłowań i w dalszym ciągu znęcał się szpicrutą nad jej wijącym się ciałem. Nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl, która stała się jej ocaleniem. Razy stawały się rzadsze i trochę mniej dotkliwe.

Dysząc, wyrwała mu się nareszcie i zobaczyła, że jest śmiertelnie blady i chwieje się na nogach. Wyglądał upiornie. Mimo trwogi i straszliwego bólu w całym ciele patrzyła na niego zaskoczona. Odzyskał równowagę, zanim upadł; odrzucił od siebie szpicrutę gwałtownym ruchem. Następnie niepewnym krokiem wybiegł do swego pokoju.

Niebawem postłyszała, że znów choruje.

Nie czekała na jego powrót i na dalszy ciąg egzekucji. Była pijana lękiem i bólem. W ciągu tych piekielnych kilku minut, które dla niej były wiecznością, straciła wszelkie panowanie nad sobą, wszelką zdolność rozumowania, wszelkie człowieczeństwo niemal. Jedyńą jej

myślą była ucieczka. Była jak zwierzę napiętnowane rozpalonym żelazem. Mniejsza o to, dokąd pójdzie. Instynkt nią kierował. Narzuciła na siebie suknię wieczorową, nie wiedząc, że to czyni. Ucieczka była jedynym jej celem. Niebyło dokoła nikogo, kto by ją mógł uwolnić, wyrwać z rąk tego maniaka. Gdy odzyska siły, porwie ją znowu, zacznie się nad nią znęcać jeszcze brutalniej, a może nawet ją zabije.

Wyskoczyła oknem i uciekała co tchu, aby już nie słyszeć tych okropnych odgłosów dochodzących z sypialni mężczyzny. Wreszcie przekroczyła furtkę i biegła, biegła prosto przed siebie, na oślep...

Instynkt i panika zawiodły ją do pobliskiej willi. Wpadła na werandę, a widząc jakieś migocące światełka z wewnątrz, zaczęła wołać nieludzkim głosem:

— Chris! Chris! Chris!

Jakaś postać wyłoniła się z półmroku i szła ku niej. Rzuciła się gwałtownie w czyjeś ramiona, nie wiedziała czyje, ale po sposobie przyjęcia jej drżącego ciała zrozumiała od razu, że to nie Chris odpowiedział na jej wołanie. Podtrzymał ją, pozwolił jej tulić się do siebie. Zaklinała, aby jej nie pozwolił zabić, aby jej bronił, aby ją ratował.

Była bliska ataku nerwowego i niebawem jej słowa przeszły w okropny szloch, który zdawał się pozbawiać ją sił do tego stopnia, że nie mogła się utrzymać na nogach. Ale on spokojnie skierował ją do oświetlonego pokoju podtrzymując ją mocnym ramieniem. Siatka chroniąca od moskitów opadła za nimi, a Yvonne rzuciła się na łóżko Paxa i niebawem straciła przytomność.

Pax stał przy niej. Gdy otworzyła oczy, chwyciła go za obie ręce i znów zaczęła się tulić do niego z taką mocą, że nie mógł się od niej uwolnić. Była jak ci tonący, którzy czepiają się drugiej osoby i razem z nią idą na dno. A wyrwać się im, to znaczy skazać ich z zimną krwią na śmierć w nurcie.

Stał więc nieruchomo przy niej czekając, aż minie ta rozpacz, aż młoda kobieta uspokoi się i wytłumaczy mu, co się stało. Na wszelki wypadek miał wzrok utkwiony w oknie, chcąc dostrzec zawczasu ewentualny pościg wroga za Yvonne.

Ona zauważyła w końcu tę postawę i sama zaczęła się wpatrywać w gęstą firankę z wyrazem przerażenia.

— O, co zrobimy, jeżeli on przyjdzie tutaj? — wyszeptała.

— Nie przyjdzie — odrzekł Pax stanowczo — może być szalony, ale nie do tego stopnia. Zresztą jesteśmy przygotowani na przyjęcie wroga.

Wskazał rewolwer, leżący na stoliku pod lampą. — Czy już lepiej się pani czuje? Co się pani zdarzyło?

Pojęła błyskawicznie, że on myśli, iż to ten obłąkany Hindus jej zagraża, ale na razie była zbyt wyczerpana, aby opowiadać. Może zresztą na dnie jej duszy było coś, co ją powstrzymywało od zwierzeń. Nigdy potem nie zdała sobie z tego sprawy. Ale była już trochę spokojniejsza, chociaż czuła bezwład w nogach. Drżąc jeszcze rozluźniła uścisk swych palców dokoła ramienia Paxa.

— Tak, lepiej mi. Gdzie... gdzie jest Chris? — spytała. Popatrzył na nią poważnie.

— Chris wyjechał dziś z rana na polowanie — rzekł.

— Wyjechał! — Słowa te zabrzmiały jak krzyk zranionego zwierzęcia. Wyglądała jakby miała zemdleć powtórnie.

Pax pochylił się ku niej, żeby ją podtrzymać, ale nic nie mówił. Żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy, chociaż Yvonne wpatrywała się w niego rozpaczliwie, aby pochwycić tą drogą jakąś wiadomość.

— Co ja zrobię? — jęknęła wreszcie. — Co ja mam robić?

— Niech pani zaczeka chwilkę, aż siły powrócą — radził. — Przełękła się pani, ale to był może fałszywy alarm. Może pošlemy po pani męża, o ile pani przypuszcza, że jest w domu.

Odrzuciła tę propozycję gwałtownym gestem. Jej śmiertelnie blada twarz wzniesiona była ku Paxowi w niemym błaganiu.

— Och, nie! Nie! Co by powiedział, gdyby mnie tutaj zastał? Och! Co to jest? Co to jest?

— To tylko pantera — uspokajał ją Pax. — Słyszałem ją i przedtem. Niech się pani nie lęka! Naprawdę nie ma powodu.

Drżała jak listek, a on położył dłoń na jej ramieniu, aby ją uspokoić. Niewątpliwie panika jej była szczerą, nie udawaną, bez względu na przyczynę i uzasadnienie. Zauważył jej pomiętą i krzywo włożoną suknię wieczorową i doszedł do wniosku, że walczyła z kimś po drodze, albo że bez pamięci uciekała, przedzierając się przez krzewy, nie mogąc trafić do ścieżki w swym obłądnym strachu. Na jednym jej ramieniu

widniała czerwona smuga, która mogła pochodzić z uderzenia batem, ale naturalnie nie przyszła mu nawet do głowy taka możliwość, pomyślał, że i to również jest wynikiem jakiejś szalonej ucieczki na oślepie.

— Niech pani poleży spokojnie przez chwilę — rzekł — nie zdaje mi się, żeby się pani miała czego obawiać. Ja panią zostawię samą i wejdę tu za kilka minut. Dowiem się z pewnością, że się pani czuje dobrze.

Yvonne zsunęła się z łóżka i ukryła twarz na materacu.

— Nigdy już więcej nie mogę wrócić do domu! — jęknęła.

— Nonsens! — odrzekł Pax praktycznie. — Niech się pani czegoś napije. Przyrządzę pani cocktail. To pani przywróci równowagę.

W duszy był rad, że jemu, a nie Chrisowi przypadło w udziale pocieszenie Yvonne. Pewien był, że przyczyną jej chwilowego rozstroju była pantera. Był zdania, że należy ją ocucić z tego szału, a ukojoną, normalną, zaprowadzić jak najrychlej do domu.

Jeżeli Guy Chisledon był jeszcze w kasynie, Pax pozostanie z Yvonne do jego powrotu. Nawet Klara nie może więcej wymagać od niego, a Yvonne sama będzie mu prawdopodobnie wdzięczna nazajutrz za takie rzeczowe, chłodne potraktowanie całej sprawy.

Wprawdzie zdanie Yvonne mało ważyło w jego oczach! Nie pochwalał jej postępowania i był rad, że udało mu się wypłatać Chrisa z tego niebezpiecznego flirtu. Wdzięk jej nigdy nie przemawiał do jego zmysłów. Zawodowe zajęcia pochłaniały go całkowicie; nie miał czasu na zaloty. A przy tym przy boku Yvonne była zawsze Klara, Klara ze swymi wiernymi oczami i uczciwą duszą. Według Paxa żadna inna kobieta nie zasługiwała na sekundę bodaj uwagi. Zdawał sobie sprawę, że inni mężczyźni nie podzielają tego zdania i to go raczej cieszyło. Jego własne zdanie było niezachwiane i wystarczało mu w zupełności.

Poszedł do sąsiedniego pokoju po cocktail dla niej. Pewien był, że za chwilę będzie mógł jej przemówić do rozsądku. Za dobry znak poczytywał jej bierność; widziała, że odchodzi, a nie stawiała przeszkód. Fakt, że służby nie było w willi o tej porze, nie przeszkadzał mu. Pax był na to za chłodny, za prozaiczny. Nie lubił wprawdzie Guy'a Chisledona, ale uważał go za dość rozsądnego człowieka, aby mu nie wziął za złe tego sam na sam ze swą żoną, gdyby przypadkiem wstąpił teraz. Yvonne doznała okropnego wstrząsu, nic

więc dziwnego, że szukała schronienia w najbliższej położonej willi. Cóż naturalniej szego?

Wtem z sypialni doszedł go okropny krzyk. Głos Yvonne. Lampa, którą zostawił zapaloną i która przyświecała stamtąd i jemu, zgasła. Na werandzie natomiast widać było światelko jakiejś latarki, ruszającej się miarowo w lewo i w prawo, w dół i do góry.

Wtem zgasło światło w pokoju, w którym pozostawił Yvonne a jednocześnie rozległ się ponowny krzyk i zaraz potem odgłos wystrzału rewolwerowego. Wystrzał z jego własnego rewolweru. Małe światelko również zgasło. Następnie dał się słyszeć straszny jęk, odgłos padającego ciała, walki... A potem przeraźliwa cisza... A jeszcze później dziwny kaszel, a raczej rżenie, oddech człowieka, rozpaczliwie szukającego powietrza.

Pax wskoczył z werandy przez okno do sypialni.

— Gdzie pani jest? — zawołał. — Yvonne! Czy jest pani ranna? Imię jej całkiem naturalnie nasunęło mu się, chociaż dotychczas

nigdy go nie używał.

Odpowiedział mu słaby głos zdławiony przerażeniem.

— Strzeliłam tylko do latarki, tylko do latarki! Nie mogłam go chyba zabić? Co?

— Niech mi pani da rewolwer! — rozkazał. Dotknął jej ramienia. Było lodowate.

Nie poruszyła się. Stała jak wryta. Dotknął jej ręki, palców. Również sztywne, jakby zamarzły.

— Niech mi pani odda rewolwer! — powtórzył z naciskiem. Nie poruszyła się. Rozluźniła uścisk zesztyniałych palców.

Odebrał jej broń.

I znowu rozległ się w ciemnościach jej szept:

— Ja tylko strzelałam do latarki! Tak się przeraziłam. Tak okropnie... Widział mnie...

— Niech pani tu pozostanie! — rozkazał Pax.

Podszedł ku oknu werandy. Odsunął gęstą zasłonę i spojrzał w dół.

U jego stóp leżało ciało Europejczyka, człowieka rasy białej, jego własnej rasy. Głowa złożona była na drgających konwulsyjnie ramionach. O krok dalej leżała elektryczna latarka.

Pax stał sekundę bez ruchu ze ściśniętą krtanią. Z wysiłkiem przyklęknął i pochylił się nad leżącym. Głowa uniosła się lekko, po czym znów opadła. Dał się słyszeć ponownie ten sam dźwięk: rżenie konającego.

— To ja, Packersley... Pozwól, że udzielę ci pomocy, majorze! — rzekł.

W odpowiedzi na te słowa ranny usiłował podnieść się i zaczął się okropnie miotać: ile razy zdołał się dźwignąć, tylekroć opadał ciężko na podłogę, bezwładny. I znów dźwigał się po upływie sekundy i znów opadał.

— Przestań! — rozkazał Pax, pochylając się nad nim jeszcze bardziej. — Leż spokojnie, majorze! Tracisz siły. Ja się postaram o ratunek.

Odpowiedział mu głos, który był raczej rykiem zranionego zwierza niż dźwiękiem ludzkim.

— Ty... diable!... Zabrałeś mi żonę!... A teraz dobiłeś mnie!

— Majorze! — odrzekł Pax siląc się na spokój. — To jest nieszczęśliwy wypadek. Twoja żona szukała tu schronienia. Myśleliśmy, że to obłąkany Hindus.

Okropny głos odezwał się znowu, już mniej wyraźnie:

— To jest... to kłamstwo... które umyśliliście...?

Przy tym ostatnim słowie całym ciałem wstrząsnął straszliwy dreszcz, po czym nastąpił gwałtowny skurcz i ciało zeszywniało. Pax położył rękę na sercu majora.

W chwilę później wstał z klęczek. Miał na sobie tylko piżamę, bo ze względu na upał rozebrał się dziś wcześniej.

Czuł, że jest cały wilgotny, że ta wilgoć przecieka przez cienki jedwab.

Wrócił do sypialni.

— Gdzie pani jest? — spytał. Odpowiedział mu łkający głos Yvonne.

— Co się stało? Czy odszedł?

— Umarł — odrzekł Pax.

Wydała głuchy jęk. Leżała na łóżku zemdlona.

Pax nie przypomniał sobie, gdzie położył zapalniczki. Rozchylił zasłonę. Światło księżycy zajrzało jej pod zamknięte powieki. Otworzyła oczy. Pax pochylił się nad nią. Teraz przyszedł moment wyjawienia nagiej prawdy. To jedno może jej przywrócić energię.

— To nie był krajowiec. To był pani mąż — rzekł.

Rzucała się na łóżku. Księżyc osrebrzał jej złotą szatę, biel jej ramion i szyi.

Wybuchnęła nagle płaczem.

— Wiem! Wiem! Przyszedł tu za mną. Dałam mu opium, ażeby usnął. Ale to go tylko przyprawiło o wymioty, doprowadziło go do szału. Porwał mnie... bił mnie... Dlatego uciekłam. Wiedziałam... wiedziałam... że on pogoni za mną... Aleja tylko strzeliłam do latarki... żeby zgasła... ażeby on mnie nie mógł widzieć...

Była bliska ataku hysterii, ale w tym człowieku pochylonym nad nią było coś, co wzbudzało ufność i nakazywało spokój. Leżała i jęczała cicho. Przemówił zimnym, miarowym głosem:

— Wiedziała pani, że to pani mąż.

Nie było to pytanie, a mimo to czuła, że musi odpowiedzieć. Bo miała wrażenie, że on czyta w jej duszy, że nie ma przed nim ucieczki.

— Wiedziałam! Wiedziałam! Ale sądziłam, że Chris jest tutaj, że on mnie ocali, że mnie stąd zabierze. Guy był obłąkany, mówię panu! Obłąkany! Dałam mu opium, ażeby spał, a tymczasem otrujęm go mimo woli. Pił przedtem dużo trunków i narkotyk zawiódł. A przy tym nie wypił wszystkiego. To nie moja wina!

— Nie pani wina! — powtórzył Pax.

Coś poruszyło ją w tych słowach. Zerwała się z krzykiem. Nagle przytuliła się do niego z rozpaczliwym błaganiem czepiając się jego pidżamy drżącymi, niepewnymi rękami.

— Nie zrobiłam tego... nie zrobiłam tego!... — głos jej przechodził w spazm. — Tylko do latarki strzelałam, do jego elektrycznej latarki. Nie chciałam go zabić! Nie przypuszczałam ani przez chwilę, że go zabiję. Nie może pan powiedzieć, że to moja wina. Nikt tego nie powie! Pax! Rozumie pan? Niech pan powie, że pan zrozumiał!

— Tak, zrozumiałem — rzekł Pax.

Odsuwał ją wciąż od siebie, łagodnie, lecz systematycznie. — Ale niech mnie pani nie dotyka. Nie wolno mnie dotykać. Powinna pani to zrozumieć.

— Nie mogę być sama ani chwili — odrzekła łkając i czepiając się znów jego ramion, chociaż ją odsuwał wszelkimi sposobami. — Jestem przerażona. Przerażona! Paxie, ratuj mnie!

— Dobrze — rzekł biorąc ją za rękę i trzymając ją z dala od siebie. — Uratuję panią, jeśli zdołam. Ale niech mi pani nie uniemożliwia tego trudnego zadania. Czyż nie widzi pani, że jestem cały unurzany we krwi?

— O! Jakież to okropne! Jakie okropne! — krzyknęła i cofnęła się cała drżąca, kryjąc twarz w dłoniach. — Jakie to straszne! Boże wielki! Co oni pomyślą?

Pax pochylił się ku niej i potrząsnął nią, jak gdyby była mężczyzną. Coś go poruszyło i pchnęło do natychmiastowej, energicznej akcji. Może wzruszyła go jej bezradność, a może ocenił powagę sytuacji.

— Tak, to jest straszne — rzekł. — Ale niech pani uważa i nie zapomina! Jeden jest tylko sposób ocalenia pani. Ja strzeliłem. Sądziłem, że to jest Mirza Khan, obłąkany Hindus. Pani też tak myślała. Rozumie pani? Przybiegła pani do mnie o pomoc. I ja strzeliłem w pani obronie. Czy pani to zapamięta? Czy pani się nie zapłacze w zeznaniach? Słowa jego były zbyt ważne, ażeby mogła ich nie słyszeć; jego dłoń, na jej ramieniu działała kojąco. Przestała szlochać i leżała drżąca, uległa.

— Czy oni panu uwierzą? — wyszeptwała.

— Owszem, uwierzą — odrzekł z niezachwianą stanowczością. — Gdyby mnie pani nie była dotykała, byłbym mógł to urządzić lepiej, wyłączyć panią z tej sprawy całkowicie. Ale teraz nie mogę. A więc pani rozumie? Męża pani nie było w domu, gdy pani wyszła. Przeleżała się pani po drodze i przyszła pani do mnie. Ja dałem strzał. Rozumie pani? Ja dałem strzał.

— Tak — szepnęła — rozumiem. Dlaczego pan to powtarza? Wyprostował się, puścił jej ramię. Twarz jego była poważna, zimna, jak tarcza księżycy za oknem.

— Dlatego — rzekł szorstko — że... niebawem będziemy kłamać.

NIĆ PRZEWODNIA

Crofton, komisarz okręgu siedział oparty na krześle i patrzył przed siebie szklanymi oczami, które niczym nie zdradzały jego wielkiej inteligencji. Był to mężczyzna lat około 50, który położył niemałe zasługi na wojnie, a zaraz potem wstąpił do służby kolonialnej i wyjechał do Indii. W Bhanapore Europejczycy przyjęli go z pewną rezerwą, a krajowcy z wielką uniżonością. Z czasem jedno i drugie zmieniło się do pewnego stopnia. Europejczycy przyjmowali go teraz serdecznie, jako właściwego człowieka na właściwym stanowisku, a krajowcy zginali kark przed nim bez uśmiechu. Kapitan Crofton bez widocznego wysiłku wyrobił sobie opinię u jednych i u drugich. Był to ocieężały, tęgi mężczyzna o cienkim, łagodnym głosie, który często towarzyszy poważnej tuszy. Podczas upału wycierał bezustannie czoło i szyję czerwoną, jedwabną chustką; nigdy się nie spieszył. Umiał przesiedzieć bez ruchu, tak jak teraz, kilka godzin w ciągu dnia.

Ale tym razem nie siedział bezmyślnie. Był bardzo zatroskany, chociaż nie dawał tego poznać po sobie.

Zapukano dwukrotnie. Przeniósł wzrok na otwierające się drzwi.

— Proszę, panie pułkowniku! — rzekł.

Pułkownik Risborough wszedł wprowadzony przez krajowca, który natychmiast zniknął zamykając drzwi.

Crofton dźwignął się z krzesła z wyciągniętą dłonią.

— Jak się pan miewa, sir? Proszę, zechce pan spocząć. — Wskazał krzesło.

Dłonie ich zetknęły się na przeciąg krótkiej chwili; pułkownik

Risborough usiadł na wprost Croftona. Był to szczupły, mizerny mężczyzna w sile wieku o sposobie bycia spokojnym i grzecznym. Cechy te nie zawodziły w nim nigdy. Nieraz mówił rzeczy oczywiste, ale umiał je podać zajmująco tak że nie wyczuwało się w nich komunału.

— Niewesoła historia, Crofton.

— Niezwykła historia — odrzekł komisarz. Patrzył prosto w oczy gościowi. Ale ten nie reagował na to badawcze spojrzenie. — Przypuszczam, że nic więcej nie wykryto?

Pułkownik Risborough potrząsnął głową.

— Słyszałem tylko, że panna Chisledon wraca natychmiast, powinna przybyć lada chwila. Do jej przyjazdu moja żona nie odstąpi, rzecz jasna, pani Chisledon.

— Aha! — rzekł Crofton. — A ona, pani Chisledon, wciąż jest w tym samym, opłakanym stanie?

— Zdaje mi się, że doktor dał jej silny środek usypiający. Uważał to za najbardziej wskazane. Obawiał się zapalenia mózgu. — Pułkownik Risborough rozparł się wygodnie na krześle, splótł dłonie. — Dreszczowa historia — rzekł. — Trudno mi wprost uwierzyć, że to się stało. Ale Packersley jest prawy, prawy i czysty jak lza. Na nim może pan polegać.

— Obawiam się, że w moim zawodzie nie wolno mi polegać na nikim — odrzekł Crofton swym słodkim głosem. — On z pewnością... ma nadzieję, że jego zeznanie będzie przyjęte za dobrą monetę.

Pułkownik wyprostował się ze stalowym błyskiem w oczach.

— W tej właśnie sprawie przychodzę — rzekł. — Czułem, że pan nie jest zadowolony. Crofton, to nie jest przepisowe, ale... wiesz, jak dalece obchodzi mnie to śledztwo i dlatego chciałbym, żebyś mi wyjawiał poufnie swój pogląd na sprawę.

— Nie mam co do tego najmniejszych skrupułów, sir — odrzekł. — Nie jestem zadowolony z zeznań, przyznaję, a to dlatego, że Packersley nie mówi całej prawdy. O tym jestem najgłębiej przeświadczony.

Pułkownik Risborough zaprotestował niemym gestem.

— Wiem... wiem... — mówił Crofton. — Panu tak się wydaje. Ale musi pan pamiętać o jednym: w moim zawodzie należy przesiewać wszystko, a jeżeli zdarzają się twarde ziarna, które nie przechodzą przez sito, trzeba je oddzielić i rozgnieść bardzo starannie.

Pułkownik Risborough przemówił z pewną stanowczością, która nie zamaskowała bynajmniej jego wzruszenia i trwogi:

— Jest to mój najdzielniejszy oficer, Croftonie. Jeżeli ten człowiek nie jest uosobieniem prawości, stracę całą wiarę w ludzi w ogóle.

Crofton nie zdradził swych uczuć ani jednym drgnieniem twarzy.

— Istnieją okoliczności — rzekł — w których mężczyzna może, będąc nieskazitelnie uczciwym, przemilczeć prawdę, nie chcąc popełnić karygodnej niedyskrecji.

— Nie w tym wypadku — odrzekł gwałtownie pułkownik — pan wie, jakie plotki krążyły w ostatnich czasach. Pax nie ma z tym nic wspólnego.

— Możliwe. — W głosie Croftona zabrzmiała nuta sceptycyzmu. — Ale... rozumiem... hm... to on naprowadził młodego Markhama na drogę cnoty.

— Uczynił to dla dobra chłopca — zaprotestował pułkownik — ja sam przyczyniłem się do wyjazdu Markhama. Przeprowadziliśmy to w możliwie najkrótszym czasie.

— Hm... — mruknął znowu Crofton. — Dokoła osoby Markhama i pani Chisledon toczyły się wszystkie rozmowy. To wiem. Ale... czy pan przypuszcza, sir, że pani Chisledon nie była poinformowana o wyjeździe Markhama?

— Owszem, z pewnością ją zawiadomił! Ale dlaczego nie mamy wierzyć wersji Packersley'a, iż przybiegła do niego po opiekę? Był jej najbliższym sąsiadem.

Pułkownik z widocznym wysiłkiem panował nad głosem. Patrzył na martwą twarz policjanta z wyrazem rozpaczki. Okrągłe oczy Croftona pochwyciły to spojrzenie z pewną sympatią.

— Widzi pan, sir — rzekł — musimy rozpatrywać tę sprawę z każdego punktu widzenia, oświetlić ją jak najwszechstronniej. Wiemy... mamy na to dowody, że major Chisledon spędził ów wieczór w swej willi. Packersley opowiada, że pani Chisledon przeleżała się czegoś, jakoby tego tajemniczego krajowca, którego nikt inny nie widział ani nie słyszał. Może to i prawda. Ale i tego trzeba by dowieść. Przypuśćmy, że tak było. A zatem doznała lęku... coś ją przestraszyło. Pobiegła w nieobecności męża schronić się u Packersley'a. Możliwe. Kreślę w tej chwili prawdopodobny przebieg sytuacji. Otóż Packersley

nie jest typem człowieka, który przerazi się byle czym i to tak dalece, że zacznie strzelać na oślep nie patrząc, kto jest ewentualną ofiarą. Rozumie pan, do czego dążę, panie pułkowniku? Pan zna go lepiej niż ja. Czy według pana jest to człowiek zdolny do strachu i do takiego nieopamiętania? Pułkownik przetarł ręką czoło.

— Sądzę, że tutaj nie ma reguł — rzekł — każdy człowiek jest do tego zdolny, gdy coś zakłóci chwilowo jego równowagę.

— Przedstawiam panu tylko szereg możliwości — ciągnął dalej Crofton nie zmieszany. — A teraz rozpatrzmy rzecz z innego punktu widzenia. Major Chisledon nie był szczególnie opanowanym i łatwym człowiekiem, nie był również abstynentem, nieprawdaż? Może być, że podpisał sobie, zdrzemnął się po obiedzie. Pani Chisledon była zapewne zdenerwowana, albo nudziła się. Faktem jest, że udała się, jak wiemy, do willi Packersley'a, może nie zaraz po obiedzie, bo jego służący, Peters był przy swym panu, aż wybiła godzina powrotu do baraków. Peters oświadcza, że nikogo nie widział. — Crofton urwał i dodał bardzo słodkim głosem — Tak on twierdzi. Szczerze mówiąc, nie dowierzam Petersowi. Mam przekonanie, że jest on typem człowieka, który by to prawdopodobnie powiedział w każdym wypadku.

— To niepocziwe przypuszczenie — rzekł pułkownik zmęczonym głosem człowieka, który zdaje sobie sprawę, że wszelkie jego uwagi i argumenty są daremne.

— Dobrze, panie pułkowniku, nie kwestionujemy zatem jego zeznania. Na nieszczęście po jego odejściu pani Chisledon miała czas prześlizgnąć się wśród krzaków do Packersley'a. I to na pewno uczyniła, wcześniej czy później. Mam dowody, że przeszła tamtędy, a nie przez furtkę.

— Nie widzę, jaką różnicę dla sprawy stanowi droga, którą obrała pani Chisledon — rzekł pułkownik tym samym zmęczonym głosem.

Crofton przytaknął. — Tak, zapewne... Ale z tego stanowiska rzeczy biorąc, trzeba skrzętnie notować wszelkie szczegóły. A zatem odmaluję panu dalszy przebieg wieczoru według odwrotnego domniemania: pani majorowa przyszła do Packersley'a. On rozebrał się już i leżał w łóżku, czytając przy świetle lampy; miał pod ręką nabity rewolwer na wypadek

napaści Mirzy Khana lub pantery. Nie wiem po co. Fakt, że był nabity i leżał przy łóżku, na stoliku. I cóż zaszło? Chisledon budzi się w domu; nie znajduje żony przy swym boku. Ma powody, lub mniema, że ma powody do posądzania jej o obecność w domu Packersley'a. Jest jeszcze pod wpływem działania alkoholu. Idzie więc, uzbrojony w elektryczną latarkę. Wchodzi na werandę willi, widzi lampę w sypialni, zbliża się do progu. Zostaje zastrzelony i umiera na werandzie.

Gdy Packersley nareszcie wzywa pomocy, przybywamy i zastajemy tych dwoje powalanych krwią. Pani Chisledon leży na łóżku kapitana.

Pułkownik Risborough przerwał te wywody.

— Po co pan uprzytamnia sobie i mnie to wszystko? Nie widzę celu. Opowiadanie Packersley'a jest dość jasne. Dlaczego niewiarygodna się panu wydaje historia o obłąkanym Hindusie, który jak wiadomo, kręci się wciąż w sąsiedztwie? Zdaje mi się, że pan błądzi po omacku, doszukując się tu przestępstwa.

— O, nie! — rzekł Crofton nieco niższym głosem. — Nie doszukuję się w tym zdarzeniu cech przestępstwa. To nie mój zwyczaj. Jeżeli Mirza Khan był gdzieś w pobliżu, to zmienia postać rzeczy i Packersley ma poważne szanse uniewinnienia. Ale widzi pan... Mirzy Khana nie było nigdzie...

— Co pan ma na myśli? Skąd pan to wie? On się tu błąka po całych dniach i nocach — pułkownik rozejrzał się niechętnie dokoła.

Ale Crofton przyjął to ze spokojem.

— Wiem z pewnością, sir. Nie mógł się wałęsać już nigdzie, ponieważ zakuliśmy go w kajdany na dwie godziny przed tymi zdarzeniami, o których mowa. Przydybaliśmy go w okolicy rezerwarów.

— Pojmaliście go? — Pułkownik wyprostował się. — Dlaczego nie wiedziałem o tym wcześniej?

— Nikt nie wiedział — odrzekł Crofton grzecznie — to był mój wyraźny rozkaz.

— A dlaczego? — w pytaniu tym był odcień niecierpliwości, której pułkownik nie starał się już ukryć.

Crofton odrzekł łagodnie:

— Dlatego, że dowiedziałem się o tej historii Chisledona, zanim skończyłem z Hindusem, sir. Przeczulem, że on będzie zaplątany w zeznania i tak też się stało. Odczekałem rozmyślnie...

Pułkownik Risborough podniósł się. Był bardzo blady, ruchy miał ociężałe jak człowiek dotknięty ciężkim ciosem.

— Przysięgam, Croftonie — rzekł — że budujesz wielki gmach na bardzo kruchym fundamencie.

Crofton przytaknął i podniósł się również z krzesła z gestem szacunku.

— Słusznie, słusznie! I fundament pewnie się zawali — rzekł tonem pocieszenia. — Ale to mój zawód, sir. Muszę spełnić swój obowiązek.

Pułkownik odwrócił się. Widać było, że drży.

— Jeżeli pan wykryje prawdę — rzekł — Pax będzie uratowany. Za to dałbym głowę.

— Jeżeli wykryję prawdę... — odrzekł Crofton z wolna — tego tylko pragnę. Ale czy mi się uda?

PIĘTA ACHILLESOWA

Major Nicholls stał przy łóżku Yvonne i patrzył na nią ze smutkiem. Leżała jak piękny posąg, ledwo oddychając. Po drugiej stronie łóżka siedziała pani Risborough, zmęczona, zwiędła. Doglądała chorej.

Oczy jej utkwione były w twarzy doktora. Od szeregu godzin czuwała przy Yvonne. W wyrazie jego twarzy nie było nic, co by ją mogło uspokoić. Sam był zaniepokojony. Pochylił się nad łóżkiem i zsunął kołdrę z nieruchomej twarzyczki. Przez kilka sekund stał tak w milczeniu i bacznie jej się przyglądał.

Wreszcie wyprostował się i spotkał pytający wzrok pani Risborough.

— Sądzę, że wkrótce się obudzi — rzekł. — Może pani zechce wezwać mnie wtedy powtórnie.

— Natychmiast zatelefonuję po pana doktora — zapewniła go pułkownikowa.

— Dziękuję. — Rozejrzał się dokoła. — Panna Chisledon jeszcze nie przyjechała?

— Jeszcze nie. Ale jest w drodze. Niebawem przybędzie. — W głosie pani Risborough dźwięczała nerwowa nuta, charakterystyczna dla ludzi, którzy nie dospali.

Popatrzył na nią z sympatią.

— Im szybciej, tym lepiej — rzekł. — Mam nadzieję, że przybędzie tu, zanim pani Chisledon się obudzi. To by było niezmiernie pożądane.

— Tak, one się ogromnie przyjaźnią — przytaknęła pani Risborough. — Ale boję się tego wstrząsu dla Klary. Ona nie należy do silnych natur, biedaczka.

— Będziemy o nią dbali, będziemy ją pielęgnowali — rzekł major Nicholls. — Nie będzie mogła naturalnie pozostać tutaj. Żadna z tych pań tu nie pozostanie. Ale o ile ją znam, panna Klara sprostą i tej sytuacji.

Pułkownikowa westchnęła. — Będzie to dla niej strasznym ciosem.

— O to mi szło, aby tej to wszystko wydało się przykrym snem — major Nicholls wskazał oczami postać leżącą na łóżku. Wzrok jego był ciepły, miękki. Należał on do wielbicieli Yvonne. — Gdyby to mogło naprawdę być snem! Ale niestety, zbudzi się i będzie zmuszona spojrzeć w oczy strasznej prawdy. Crofton nie da jej spokoju.

— To ją może zabić — rzekła pani Risborough. — Czy nie może pan zapobiec przesłuchaniu tej nieszczęśliwej? Potrząsnął głową powątpiewająco.

— Trudna sprawa. O ile pani Chisledon nie zdoła dać świadectwa prawdzie, biedny Packersley odpokutuje srodze swoją chwilową nierozwagę. Zobaczymy... zobaczymy... nie traćmy nadziei.

Zwrócił się w stronę wyjścia. — Na razie nic więcej zrobić nie mogę. Tragiczna historia! Niech pani koniecznie wezwie mnie, skoro tylko ona się obudzi! Będę w każdej chwili gotów do drogi.

Odszedł, a pani Risborough westchnęła znowu. Tragiczna historia, zaiste! Zupełny spokój śpiącej kobiety zdawał się potęgować jeszcze tragizm sytuacji. Pułkownikowa nigdy nie pochwałała postępowania Yvonne, ale teraz litość dla chorej wypełniła po brzegi jej serce. Wszelkie inne uczucia pierzchły. Yvonne wyglądała jak cudny posąg wykuty na czymś grobie. Z twarzy jej zniknęły rumieńce. Czarne rzęsy stanowiły ostry kontrast ze śmiertelną białością policzków. Była może piękniejsza niż kiedykolwiek, ale była to piękność nienaturalna. Miała ów przedziwnie uduchowiony charakter, będący przywilejem zmarłych. Tak samo wyglądałaby, gdyby jej spleść dłonie na piersiach na wieczny spoczynek.

Noc zapadła. Służący wszedł z zapaloną lampą, zaciągnął firanki w oknach. Pani Risborough siedziała pogrążona w myślach. Przypomniała sobie zmarłego, Guy'a Chisledona, który został pochowany tegoż dnia z honorami wojskowymi, a który jeszcze wczoraj kroczył wyprostowany uliczkami miasteczka z arogancją właściwą takim ludziom: zarozumiałym i prymitywnym. Ale taki był pełen życia,

tak pewny siebie! Nie mogła się pogodzić z myślą o nim jako o nieboszczyku, ani z myślą o Yvonne jako o wdowie. Z kolei zastanowiła się nad Paxem. Dla niego jest to straszne! Niezrozumiałe zdarzenie. To całkiem do niego niepodobne działać tak pod wpływem impulsu. Ze strony Chrisa Markhama byłoby to mniej niejasne. Chris był impulsywny, w gorącej wodzie kąpany. Ale Pax!

Znowu westchnęła. Jej nawet wydawało się to wszystko bardzo dziwne. To zeznanie zasługiwało na wiarę tylko dlatego, że pochodziło od Paxa. Dużo czasu upłynie zapewne, zanim Yvonne będzie mogła dorzucić swoje wyjaśnienia. Jeżeli nie potwierdzi jego zeznania... strach pomyśleć!

Co powie o tym Klara? Biedna Klara, pędząca z Kapoo, ażeby zająć swe miejsce przy boku żony zmarłego brata! Klara kochała Guy'a, a od niedawna zadzierzgnęła się wyraźnie nic głębszej sympatii pomiędzy nią a człowiekiem, z którego ręki padł Guy! Okropne, zaiste! Pani Risborough przymknęła oczy i usiłowała odpocząć od myślenia.

Warczenie motoru w oddali zwróciło jej uwagę. Co to jest? Może ktoś jedzie do kasyna, a może Klara nadjeżdża. Tak, to jest samochód. Jeżeli to Klara, to podróż jej odbyła się w wyczerpującym tempie. Jaka ona będzie zmęczona! Czy aby starczy jej sił?

Warczenie przybliżyło się się coraz bardziej. Ucichło. Tak, zajeżdżali przed bramę. Żeby tylko major Nicholls zdołał przeprowadzić swój plan i wysłać obie młode kobiety w góry. Ale w takim razie Pax pozostanie sam. A to... to by pociągnęło za sobą następstwa, o których wołała nie myśleć.

Aha, samochód zatrzymał się. Rozległ się szmer, szept i przez szparę pod drzwiami przedostało się światelko. Pani Risborough podniosła się cicho. Jednocześnie drzwi się otworzyły i na progu stanęła Klara, bardzo blada istotnie, ale raczej badawcza niż zrozpaczona.

Pani Risborough z trudem zapanowała nad swym wzruszeniem.

— Droga moja! — rzekła — Jakże się cieszę, że cię widzę! Klara szła prosto przed siebie. Zaledwie na sekundę przystanąła,

aby przyjąć pocałunek powitalny. Skierowała się do łóżka i uklękła przy nim.

— Co to znaczy? — spytała.

Pani Risborough zniżonym głosem opowiedziała jej o sztucznym

uśpieniu bratowej przez doktora. — Sądził, że to złagodzi wstrząs. Bał się o mózg. Ale ona śpi dłużej, niż przypuszczał. Myślę, że niebawem się obudzi.

Klara trzymała jedną rękę Yvonne w swoich dłoniach. Przez chwilę usta jej spoczęły na tej ręce. Wreszcie podniosła oczy:

— Słyszałam tylko o samym fakcie — rzekła. — Ale nie wiem, jak się to stało. Czy może mi pani powiedzieć, co tam zaszło?

— Opowiem ci wszystko, moja droga — rzekła pani Risborough. — Ale jesteś zapewne okropnie zmęczona po tej długiej podróży. Może byś się czegoś napiła, coś zjadła?

Klara wstała. Nie zastanawiała się nad swym zmęczeniem. Nowe siły w nią wstąpiły. Jej panowanie nad sobą wydawało się pani Risborough czymś nienormalnym. Mniemała, że Klara będzie potrzebowała opieki, pociechy, a tymczasem widziała przed sobą kobietę zrównoważoną, gotową być podporą drugich. W oczach Klary był wyraz dumy i odwagi.

— Czuję się zupełnie dobrze — rzekła. — Miałam przy sobie w drodze chłodzące napoje. Proszę, niech mi pani opowie, co pani wie o tym zdarzeniu. Niech mnie pani nie oszczędza! Wolę wiedzieć wszystko. Powinnam to wiedzieć jak najwcześniej.

Pani Risborough spojrzała w stronę łóżka.

— Mam nadzieję, że ona śpi naprawdę? — spytała.

— Ona jest pogrążona w całkowitej nieświadomości — odrzekła Klara — widocznie jest wyczerpana nerwowo.

— Nic dziwnego — westchnęła pani Risborough — biedaczka! Wszystko to działo się w jej obecności. Mogło ją też zabić samo wrażenie.

Klara zdjęła kapelusz i odgarnęła włosy z czoła. Miała wyraz zdecydowany, rezolutny.

— No i jak się to stało? — nalegała.

Pułkownikowa zawahała się, po czym zaczęła opowiadać. Była zbyt zmęczona i oszołomiona, ażeby łagodzić szczegóły.

Klara wysłuchiwała całego opowiadania nie zdradzając ani jednym drgnieniem swych myśli.

— Najgorsze jest to, że nikt nie może potwierdzić zeznań Packersley'a — ciągnęła dalej pani Risborough, ocierając łzę od czasu do czasu. — Tylko Yvonne będzie mogła powiedzieć, jak to było, czym na pewno uwiarygodni słowa tego zacnego kapitana. Nikomu wierzyć

się nie chce, że on działał tak impulsywnie. Ale przecież był w pidżamie i nie był przygotowany na żaden atak. Usłyszawszy kroki na werandzie, zaskoczony, dał ognia... najwyraźniej stracił głowę. A przecież nikt by się tego po nim nie spodziewał, wręcz przeciwnie, po każdym innym raczej, ale nigdy po Paxie!

— A zatem było już późno. On już był w łóżku. — Głos Klary brzmiał bardzo dziwnie. — Yvonne poszła do niego wtedy, kiedy już wszyscy spali.

— Chyba nie, moja droga! Yvonne była ubrana w suknię wieczorową. Kiedy nareszcie Packersley znalazł doktora, ten zastał ją na łóżku, zbroczoną krwią, a biedny major Chisledon leżał martwy na werandzie. Droga moja, przebacz mi, że ci mówię te straszne rzeczy.

— Muszę je wiedzieć — rzekła Klara. Mówiąc to natężyła słuch. — Kto to może być?

— Doktor albo mój mąż — odrzekła pani Risborough. — Tak, to Bazyli. Czy chcesz się z nim zobaczyć, droga moja? Czy może ja mam odejść?

— Owszem, chciałabym z nim pomówić, jeżeli pani pozwoli. Wrócę tu za chwilę.

Przy ostatnich słowach już była za drzwiami sypialni. Pułkownika Risborough, podobnie jak jego żonę, uderzył jej wygląd rzeński i energiczny.

Podążyła mu ręką na powitanie, ale nie traciła czasu na żadne formułki grzecznościowe. — Przed paru minutami przyjechałam — rzekła. — Yvonne jeszcze śpi. Pani Risborough jest przy niej. Czy pan się zgadza... czy wolno mi pomówić z panem zaraz?

Popatrzył na nią z wyrazem głębokiego współczucia.

— Naturalnie! O ile zdołam się pani przysłużyć czymkolwiek, będę nad wyraz szczęśliwy.

Na jej ustach zjawił się przelotny uśmiech wdzięczności.

— Wiem. Jest pan bardzo dobry. Otóż pani Risborough opowiedziała mi cały przebieg zdarzenia. Przedtem znałam tylko sam nagi fakt. Wydaje mi się to dość proste, ale może nie wszystko jeszcze wiem. Chciałabym, żeby pan mi opowiedział z kolei, jak się to stało. To był wypadek, okropny wypadek, prawda?

Pułkownik Risborough próbował się uśmiechnąć, ale dało to tylko bolesny grymas.

— Do tej pory nic jeszcze nie wiadomo — rzekł wymijająco.

— Ale chyba zeznanie Paxa wystarcza — spytała Klara. — Nie ma przecież powodu do wątpliwości.

— Mam nadzieję, że nie — odrzekł pułkownik. Rzuciła mu błyskawiczne spojrzenie.

— Dlaczego pan tak stawia sprawę? Muszę wiedzieć, muszę się dowiedzieć wszystkiego! Niech pan nie upiększa faktów dla mnie! Mnie tego nie potrzeba, doprawdy jestem mocna.

— Znam pani męstwo — odrzekł, a po chwili dodał jakby mimo woli — obawiam się, że pani będzie musiała zdobyć się na wielki hart ducha.

— A zatem coś ukrywacie — rzekła. — Byłam tego pewna. Proszę, niech pan będzie szczery w stosunku do mnie! Niech mi pan powie prawdę! Mnie się ona należy, czyż nie?

— Ma pani słusność — odrzekł pułkownik z ciężkim sercem. — Otóż kapitan Crofton oświadczył mi dzisiaj, że nie poprzestanie na zeznaniu kapitana Packersley'a. O ile więc zeznanie pani Chisledon nie będzie identyczne, na Paxa padnie poważne podejrzenie. Jest to, z góry zaznaczam, punkt widzenia Croftona, a nie mój. Ale nie mogę zamykać oczu na tę możliwość i musiałem go upoważnić do konfrontacji obojga w najkrótszym czasie.

— Jakiej konfrontacji? — spytała Klara bezdźwięcznym głosem.

— Pani Chisledon i Paxa. Do tej chwili na Paxa nałożony został areszt domowy. Dopiero po ukończeniu śledztwa wiadomy będzie jego dalszy los.

Klara stała wyprostowana, nie zdradzając już niczym wzruszenia. Pytała dalej z chłodem, który pokrywał wszelkie uczucie:

— Czy to znaczy, że posądzają go o rozmyślne zamordowanie Guy'a?

Przytaknął. — Zachodzi możliwość... — rzekł znowu. Klara zachowała zimną krew.

— Jakież byłyby przyczyny?

Zawahał się. — Trudno mi pani odpowiedzieć na to pytanie.

— Tu nie ma miejsca na skrupuły! — rzekła szorsko. — Proszę, niech pan odpowie!

— Ma pani słusność — przyznał znowu — chodzi więc o to przede

wszystkim, jak długo pani Chisledon bawiła u kapitana Packersley'a. Cała rzecz w tym, czy istotnie pobiegła do niego gnana trwogą, czy też było to umówione rendez vous. Mirza Khan został uwięziony, zanim zaszły wiadome wypadki. Na nieszczęście Pax zeznał, że to on był zapewne przyczyną panicznej trwogi pani Chisledon i że strzelił na oślep w tym przeświadczeniu. Może to i prawda, może nie. Ale wątpliwość nie jest usunięta.

Chris Markham również był nieobecny dzięki Packersley'owi właśnie. Czyżby to miała być zmowa?

— Zmowa?... — powtórzyła Klara z szeroko otwartymi oczami. — Pan ma na myśli stosunek miłosny między Paxem a moją bratową?

— Jest to możliwość, która, mam niepłonną nadzieję, okaże się tylko teoretyczna.

— Na pewno taka się okaże — rzekła Klara z drzeniem w głosie. — Ja mogę tego dowieść, pułkowniku i to natychmiast. Między tymi dwojgiem nie istniało nic, co by przypominało chociażby flircik salonowy. Pax nigdy się w niej nie kochał. Wysłał stąd Chrisa Markhama na moją prośbę oraz dla dobra Chrisa. Ale głównie dlatego, śmiem twierdzić, że ja go o to prosiłam. Nie chciałam wyjeżdżać z tą udręką w duszy... A zresztą powiem panu, dlaczego on to zrobił dla mnie: bo mnie kocha.

— Boże wielki! — rzekł pułkownik zaskoczony.

Ciągnęła dalej, jakby nie był jej przerwał. — Wyznał mi swoją miłość, zanim wyjechałam. Byłam zdziwiona. Ale tam rozważałam to sobie i postanowiłam przyjąć jego oświadczenia.

— Moje kochane dziecko! — rzekł pułkownik. Uśmiechnęła się blade.

— Czy to się wyda potworne, że chcę wyjść za mąż za człowieka, który na skutek straszliwej pomyłki zabił mego brata? Ja jestem innego zdania. Z mego punktu widzenia jest to jeden powód więcej do zajęcia lojalnego stanowiska wobec niego.

Głos jej drżał znowu, ale raczej radością niż smutkiem. Pułkownik patrzył na nią osłupiały. Była to nieoczekiwana komplikacja. Co powie Crofton?

— A zatem, widzi pan, nie może być mowy o miłości między nim a Yvonne. Prawdę powiedziawszy, zniechęcało mnie do niego jego zbyt

krytyczne odnoszenie się do mojej bratowej. Nie doceniał jej. Zdaje mi się, że ta ewentualność odpada zatem stanowczo?

— Czy pani chce przez to powiedzieć, że pani jest jego narzeczoną? — spytał pułkownik, wciąż jeszcze oszołomiony.

— Chcę powiedzieć, że się z nim zaręczę — odparła Klara mocnym głosem.

— Ale, moje dziecko — mówił z widocznym zakłopotaniem — może byś zaczekała trochę? Czy to nie byłoby mądrzej... przezorniej? Rzeczy mogą wziąć zły obrót. Nigdy nie wiadomo. A wtedy...

— Rzeczy nie wezmą złego obrotu — rzekła Klara dźwięcznym głosem. — On nie ma wrogów i nie popełnił świadomie nic złego. Dlaczego miałabym się cofnąć? Czy nie byłoby to wyrządzeniem mu wielkiej krzywdy?

— Trudno mi odpowiedzieć. — Pułkownik był wciąż jeszcze tak zaskoczony, że nie mógł zebrać myśli. — Dalsze śledztwo nas oświeci. Od zeznania pani Chisledon zależy wszystko.

— O ile ona będzie w stanie zeznawać.

— Właśnie. Tego się obawiam. Ale mam nadzieję, że pani, drogie dziecko, nie poweźmie żadnego przedwczesnego postanowienia. Mogłaby pani tego gorzko żałować. Czuję się obecnie odpowiedzialny za pani czyny i za pani osobę — dodał, usprawiedliwiając się.

— Jaki pan dobry — rzekła Klara i wyciągnęła do niego rękę — ale niech się pan mną nie kłopotce. Nie jestem dzieckiem i rozważyłam tę sprawę z każdego punktu widzenia.

Zatrzymał jej rękę w swych dłoniach patrząc na nią bacznie.

— Czy pani biedny brat wiedział o tym? — zapytał.

— Tak. Powiedział mi, że Pax liczy na mnie z pewnością. — Mówiąc to spojrzała mu prosto w oczy.

— I pochwalał ten zamiar? — pytał dalej pułkownik.

— Nie rozmawialiśmy o tym. Wiem tylko, że Pax nie liczy na mnie daremnie. Pozwoli pan, że pójdę do niego teraz? W głosie jej brzmiał rozkaz. Puścił jej rękę.

— Naturalnie, skoro pani tak postanowiła. Ale ja radzę czekać.

— A ja — odparła Klara odwracając oczy — uważam, że już za długo dałam mu czekać. Czy zechce pan uprzedzić panią pułkownikową? Wrócę niebawem.

PAS BEZPIECZEŃSTWA

To, że jego własne zeznanie zostało zakwestionowane, nie zgorszyło bynajmniej Petersa. Tym gorzej dla nich, jeżeli im się ono nie podoba. W ów pamiętny wieczór pozostał przy boku kapitana do późnej nocy. Potem opuścił go i wrócił do baraków. Po drodze nie spotkał nikogo. Taka była treść jego zeznania. Nie, panowie, nie widziałem pani Chisledon ani w willi, ani nigdzie w pobliżu. W ogóle nie widział jej tego dnia. Z pewnością nie było jej na szosie, gdy szedł do baraków. Byłby ją dostrzegł. Słyszał natomiast wycie pantery. Elfrydy również. To zapewne przeraziło panią Chisledon, z paniami nigdy człowiek nie wie, co je wystraszy. Nerwy ich są wieczną niespodzianką. Nie, panowie, on sam nie cierpiał nigdy na nerwy, ale widział ich skutki dokoła siebie. Nie, kapitan nie okazywał nigdy zdenerwowania, ale może był to tylko wynik jego silnej woli, która widocznie zdradziła go tego wieczora. Nie panowie, nie zauważył nic szczególnego w zachowaniu się kapitana. Nie może nic dodać do słów powyższych, bo wszystko byłoby zmyśleniem.

Te ostatnie wyrazy powtórzył kilkakrotnie tonem człowieka grzecznego, który żałuje, że nie może zająć swych słuchaczy, udzielając im bardziej interesujących szczegółów. Gdy się znalazł sam, mrugał do samego siebie, przypominając sobie swe zeznania. Nikt na świecie nie zmusi go do wyjawienia czegoś, co mogłoby zaszkodzić jego ukochanemu kapitanowi. Co zaszło w willi owej nocy przed zabójstwem majora Chisledona, to właściwie nie obchodzi nikogo. Muszą poprzestać na wyjaśnieniach kapitana, albo... niech się powieszają!

Tymczasem mruczał gniewnie, bo niejasna sytuacja, w jaką był uwikłany jego pan, wstrząsała nim do głębi. Wciąż nadśluchiwał pod drzwiami. Ale drzwi były zamknięte i nic nie było słyhać. Pax siedział w sypialni, a u jego stóp leżała cichutko Elfryda.

Ściemniło się. Akbar zapalił lampę. Peters nie wiedział, czy kapitan wyjdzie wieczorem, czy nie. Na wszelki wypadek przygotował mu mundur galowy. Czyż mógłby się znaleźć ktoś, kto by nie chciał Paxa przy swym stole, kto by się wzdragał z podaniem mu ręki? Nie, to niemożliwe!

Rozległo się głośne szczekanie Elfrydy. Widocznie poczuła obecność gościa.

Istotnie ktoś wszedł na stopnie werandy. Peters usłyszał jednocześnie z tym odgłosem spokojny głos kapitana:

— Cicho, moja mała! To gość po prostu.

Elfryda przestała szczekać, a zaraz potem rozległ się głos kobiety:

— Czy mogę wejść? Peters skoczył. Znał ten głos.

Widocznie kapitan skoczył również, bo Peters usłyszał, jak się zrywał.

— Miss Chisledon!

Znowu odezwał się głos kobiety, niezwykle słodki głos:

— Tak, Klara. Przed chwilą przyjechałam. Czy mogę wejść?

— Naturalnie, miss — odrzekł Peters machinalnie, całkiem oszołomiony. Zapomniał nawet podsunąć krzesło. Pax stał nieruchomy na progu i patrzył na nią, ona zaś podeszła do niego z uśmiechem i ujmując jego nie wyciągniętą ku niej rękę, uścisnęła ją z wyrazem dobroci.

— Chciałabym pomówić z panem — rzekła. — Czy możemy rozmówić się sam na sam?

— Oczywiście — rzekł Pax.

Jego ogorzała twarz niewiele zdradzała z jego uczuć. Nie uśmiechał się. Ale jego ręka, również opalona i bardzo szczupła, trzymała jej dłoń niemal kurczowo. Było to zapewne nieświadome.

Elfryda okazywała wielką radość na widok Klary, przymilała się, kręcąc ogonem.

— Wejdziemy do pokoju! — rzekł Pax.

W pustym nieomal pokoiku, który Pax i Chris nazywali salonem, Klara przystanęła i spojrzała kapitanowi prosto w oczy.

— Pax, strasznie mi przykro przez wzgląd na pana, że się tak stało.

— Dziękuję — odrzekł Pax sztywno.

— Znam przebieg dramatu dzięki państwu Risborough. Przyszłam, aby panu powiedzieć, że moja wiara w pana jest niezłomna... bezwzględna.

— Dziękuję — powtórzył Pax, a jego oczy, chociaż nie wyrażały wzruszenia, spojrzały prosto w jej źrenice.

Klara schyliła się nagle i zaczęła głaskać Elfydę, która najwyraźniej zebrała o pieśczętę.

— Idź, mała leżeć! — rzekł Pax. — Niech pani siada, miss Chisledon, dobrze? Bardzo ładnie z pani strony, że pani przyszła.

— To się rozumiało samo przez się — odparła.

Usiedli i milczeli przez długą chwilę. Wreszcie Klara podniosła oczy i uśmiechnęła się z zakłopotaniem i niewysłowioną słodyczą zarazem.

— Pax, przyszłam, aby panu coś powiedzieć i mam nadzieję, że pan to weźmie z jak najlepszej strony.

— Słucham panią! — rzekł Pax. Wyciągnęła rękę, która lekko drżała.

— Nie, nie tym tonem! Niech pan siada tutaj, bliżej mnie! Spełnił jej życzenie, ale już nie dotknął ponownie jej dłoni.

Twarz

jego była w półcieniu. Niczym nie objawiał najłżejszego wzruszenia.

— Czy pan palił? — spytała Klara. — Niech pan sobie nie przeszkadza!

— Nie paliłem, dziękuję — odrzekł Pax.

— Sądzę, że mnie pan właściwie zrozumie — zaczęła Klara powoli. — Nie twierdzą i nie mogę twierdzić, że ten okropny wypadek nie wstrząsnął mną do głębi. Upłynie dużo czasu, zanim się uspokoję. Dopiero po kilku dniach uświadomię sobie cały rozmiar naszego nieszczęścia, wiem o tym z góry. Ale to nie może zmienić moich uczuć względem pana, panie Paxie. Wiem doskonale, że pan się zaopiekował Yvonne z myślą o mnie. To, co się stało, było do pewnego stopnia rezultatem tej myśli właśnie.

— Nie sądzą, żeby to był właściwy punkt widzenia — rzucił Pax.

— Przed wyjazdem przyrzekł mi pan, że będzie pan myślał o losach

Yvonne, że mogę być o nią spokojna. Wiedział pan, że się trwożę i chciał pan oddalić ode mnie troskę i zgryzotę, prawda?

— Jest to zadaniem mężczyzny — odpowiedział Pax.

— Czyżby? — uśmiechnęła się blado. — Wiem, dlaczego pan jest taki małowówny. Ale to się na nic nie zda. Za daleko się pan posunął przed moim wyjazdem.

— Nie rozumiem — rzekł Pax podnosząc brwi do góry.

— Wytlumaczę to panu. Już to samo powiedziałam pułkownikowi Risborough. Może powinnam była zacząć od pana. Ale nie uważam, żeby to było rzeczą ważną, komu najpierw objawiłam moją wolę. Nie oświadczył mi się pan wyraźnie przed kilku dniami, ale dał mi pan do zrozumienia, że chciałby pojąć mnie za żonę. Niestety, nie byłam wtedy zachęcająca, ale od tej pory dużo przemyślałam, a powiadają, że kobieta widzi rzeczy jasno dopiero wówczas, gdy je przetrawi. Otóż przetrawiwszy, postanowiłam, Paxie — głos jej drżał lekko — przyjąć pańskie oświadczenia. Przyszłam, aby panu to powiedzieć.

Mówiła z całkowitą prostotą, jak człowiek pewien słuszności swoich słów. Pax siedział bez ruchu. Jeżeli był zaskoczony, to nie okazywał tego.

Gdy Klara przestała mówić, zaległo długie milczenie. On nie zdawał sobie sprawy, ile ją ono kosztuje, gdyż siedziała spokojnie z przymkniętymi oczami.

Wreszcie rzekł bez najmniejszego wzruszenia:

— Wdzięczny jestem pani. Powinna pani była tak postąpić. Ale ja właśnie powinienem postąpić odwrotnie.

— Dlaczego? — spytała Klara.

— Obawiam się, że już w ogóle nie będę mógł proponować nikomu małżeństwa. Siedziałem tu pogrążony w rozmyślaniach przez cały dzień. Jedyłą moją pociechą był fakt, że nie posunęły się dalej sprawy między nami dwojgiem.

— Absurd — rzuciła Klara. — Za daleko pan się posunął w każdym razie, aby się móc cofnąć. Ja również miałam czas do rozmyślań od chwili mego wyjazdu.

Pax wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Niech pan nie myśli — dodała — że ja nie rozumiem, co pan odczuwa. Owszem. Ale tego rodzaju uczucia, niech mnie pan źle nie

sądzi, są już dziś nie na czasie. Dzisiaj ludzie żenią się i mają nadzieję, na niczym zresztą nie opartą, że będzie dobrze.

Ostatnie słowa wymówiła prawie szeptem. Błada jej twarz zbieleła zupełnie, ale żywość oczu była ta sama, intensywniejsza może niż kiedykolwiek. Świeciły jak dwie latarki.

Oczy te przykuły go, gdy podszedł do niej. Przystanął.

— Czy pani uprzytomniła sobie, w jakiej jestem sytuacji? — zapytał zniechęcony.

— Uprzytomniłam sobie wszystko — odrzekła bez wahania. — Grozi panu fałszywy sąd ludzki, ale ja pana osądziłam trafnie. Gdyby tak nie było, nie przyszedłbym tutaj. Niech pan posłucha. Ja jestem człowiekiem serio, mówię bardzo poważnie. Niech mnie pan trzyma za słowo, proszę! To, co się stało, to potworne zdarzenie nie... nie powinno mieć dalszego ciągu... jeszcze okropniejszego... Ja wierzę panu, wierzę Yvonne i wszyscy muszą się o tym dowiedzieć!

Przerwał jej z gwałtownością, nad którą przestał już panować.

— Więc to jest pani jedyny motyw! Nie zgadzam się! Podniosła rękę do góry.

— Zaraz! To nie od pana zależy. To moja rzecz! Czy zgodziłby się pan na moją propozycję, gdybym pana kochała?

— To się nie stanie — powtórzył nie odpowiadając na jej pytanie. — Ja wręcz powiem, dlaczego pani chce mnie za narzeczonego, powiem to publicznie.

— Dobrze — odrzekła z całym spokojem. — Ludzie będą pana tym więcej szanować.

Załamał ręce bezradnie. Zaległo znowu ciężkie milczenie. Pax biegał po pokoju. Klara siedziała cichutko i czekała. Wreszcie stanął przed nią.

— Klaro, ukochana — rzekł kładąc jej dłoń na ramieniu — to jest najszlachetniejszy czyn w pani całym życiu. Ale ja nie mogę się na to zgodzić. Czy wyobraża pani sobie, że ja, mężczyzna, oficer, zasłaniam się wobec opinii kobietą, i to kobietą, która mnie nie kocha?

Głos jego brzmiał miękko. Ta nuta właśnie wzruszyła ją tak dalece, że łzy jej trysnęły z oczu. Widziała go jak przez mgłę. Stał pochylony nad nią i uśmiechał się łagodnie.

Czuła dławienie w krtani. Z trudem wydobyła głos.

— Nie dbam o to, co pan o tym pomyśli. Bo to samo powiedziałby pan, gdyby pan wierzył w moją miłość. Widzi pan, to jest konieczność i na tym koniec.

— Czyżby? — spytał Pax. — I pani przypuszcza, że ja zaciągnę dług wdzięczności wobec kogoś, komu jestem obojętny?

Nie zważała już na to, czy on widzi jej łzy, czy nie.

— Nie zna mnie pan — rzekła. — Ja nie ustąpię. Zresztą nie pora mówić teraz o uczuciach. Grunt, że ja wierzę w pana zeznanie. Strzelał pan w obronie Yvonne. Było to pańską powinnością.

— Powinnością? — spytał Pax patrząc jej bystro w twarz, podnosząc brwi jeszcze bardziej.

Przytaknęła skwapliwie.

— Tak jest, powinnością. Stwierdzę to moim czynem i zobaczymy, czyje zdanie przeważy w tym wypadku.

— Czy pomyślała pani o dalszej przyszłości? — spytał cichym głosem. — O tym, co będzie, kiedy groza przemienie, jak mija wszystko?

— Pomyślałam o tym także. Na razie mówię tylko o terażniejszości, bo to jest dostatecznie absorbujące. Przyszłość jest w ręku Boga.

— Czy dlatego nie obawia się jej pani? — spytał. Z prostotą odrzekła — Tak.

Skłonił się.

— Droga pani — rzekł — jest pani największej miary człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu. To jest zapewne ów boski pierwiastek w pani, ten blask podobny do światła pięknej lampy. Ale ja nie mogę przewyciężyć pewnych rzeczy... Żałuję... Nie mogę...

Klara stłumiła westchnienie i wstała.

— Nie pytam pana, czy pan może coś przewyciężyć w sobie. W tej chwili to, co pan robi, jest bez znaczenia. Ma znaczenie to, co ja postanowiłam i z czym nie myślę się ukrywać. A teraz odchodzę. Do widzenia!

Wyciągnęła rękę ku niemu, on zaś wpatrzył się w tę rękę nie dotykając jej i stał jak zahipnotyzowany.

— Klaro — rzekł nagle — Klaro, jesteś szalona! Uśmiechnęła się.

— Nie sądzę. Może pan był szalony, gdy oko pana spoczęło na mnie z upodobaniem po raz pierwszy. Ale ja się nad tą kwestią wcale

nie zastanawiam, rozumie pan? Nie czas na te rozważania. Nie oglądamy pasa bezpieczeństwa, gdy życie człowieka jest w grze, tylko mu rzucamy ten pas bez namysłu, bez wahania.

Naraz poczuła jego usta na swej ręce. Stał schylony przed nią. Usłyszała jego zduszony głos:

— Klaro, na miłość boską, niech mi Bóg dopomoże! Niech mi Bóg pozwoli odegrać moją rolę do końca!

— Bóg dopomoże panu — odrzekła Klara z powagą. — Musimy stanąć oboje w zaprzęgu, Paxie. Musi mi pan pomóc uratować Yvonne.

Dreszcz go przeszył. Wyprostował się, jakby chcąc się bronić przeciw złej mocy.

— Och, Yvonne! — rzekł dziwnym głosem.

— Tak, Yvonne — z naciskiem powtórzyła to imię. — Musimy jej pomóc. Dla niej jest to straszne przejście. Czyż pan tego nie uznaje?

Przetarł dłonią po czole.

— Żałuję — rzekł niemal sucho — ale nie widzę doprawdy, co mogę więcej uczynić dla pani Chisledon.

— Odpowiem panu: może mi pan dać do noszenia ten pierścień, sygnet pański. To pomoże...

— Mój sygnet! — powtórzył, orientując się stopniowo. — Ażeby pani mogła go nosić na palcu dla dobra Yvonne, czy tak?

— Tak — przytaknęła — dla dobra Yvonne, jeżeli pańskie własne dobro nie jest dla pana dostatecznym argumentem.

Patrzył na nią z tym niezwykłym natężeniem, jakiego dotychczas nie widziała w niczym wzroku.

— A zatem gotowa jest pani to potwierdzić, że zaręcza się pani ze mną jedynie dla dobra Yvonne? — rzekł z wolna.

— Dobrze, w takim razie zgadzam się.

Zdjął sygnet z palca i podał go Klarze. — Niech go pani nosi, ale pod jednym warunkiem...

— Jakim? — spytała Klara. Odebrała z jego rąk pierścień, ale nie wkładała go na palec. Stała w postawie wyczekującej.

— Pod warunkiem następującym: da mi pani słowo honoru, że wolno mi będzie zastąpić go obrączką, skoro tylko znajdę się w odpowiedniej po temu sytuacji.

— Ach! — wyrwał się mimowolny okrzyk z ust dziewczyny.

Pax ciągnął dalej nieugiętym tonem:

— Prosi mnie pani o zgodę na rzecz niedozwoloną w mym pojęciu. Prosi mnie pani o to dla dobra swej przyjaciółki. Dla ratowania siebie nigdy bym się nie zgodził na podobną propozycję. I w tym tkwił pani błąd. Ale z chwilą, kiedy wchodzi w grę interes osoby trzeciej, kobiety, uczynię to dla pani... tylko dla pani... dla nikogo więcej... pod warunkiem wyżej wymienionym. Cóż pani na to?

Rozmyślała intensywnie, wreszcie podniosła oczy ku niemu:

— Przyjmuję ten warunek — odrzekła swym ciepłym, spokojnym głosem i wsunęła sygnet na trzeci palec lewej ręki. Po czym podniosła dłoń ku górze, jakby chciała mu pokazać ów pierścień na swym palcu, a jednocześnie złożyć przysięgę.

Bez pośpiechu, bez widocznego wzruszenia zwróciła się ku wyjściu.

— Do widzenia! — rzuciła i zeszła wolnym krokiem ze stopni werandy.

UCIECZKA

— Nie rozumiem — rzekł major Nicholls — wprawdzie ludzie w różnym stopniu reagują na opium, ale ten sen trwa już niezwykle długo.

— Może to na skutek wstrząsu — rzekła Klara.

Była północ. Siedziała przy łóżku Yvonne, przy którym pani Risborough spędziła tyle godzin. Rozebrała się i narzuciła na siebie bladoniebieski szlafrok, w którym wyglądała bardzo młodo. Doktorowi wydawała się chwilami wątlym dzieckiem.

— Powinna pani też się położyć — rzekł. Uśmiechnęła się.

— Dziękuję, doktorze. Nie usnęłabym. Położę się na tym szezlongu. Będzie mi tu bardzo wygodnie.

— Nie powinna pani zostać sama z chorą — rzekł.

— Ghulam jest w domu. Kazałam mu pozostać na noc. A przy tym mogę pana osiągnąć telefonicznie, skoro tylko zajdzie potrzeba. Ale nie przypuszczam... Ona śpi tak spokojnie. Będzie chyba wypoczęta i rześka, gdy się obudzi.

— Tak, tak — przytaknął major Nicholls — gdy się nie przerywa snu, chory budzi się zazwyczaj rażny i wypoczęty. Pani Chisledon powinna być normalna po obudzeniu. Puls jest dobry. Byle tylko nie nastąpiły dalsze wstrząsy.

— Nad tym będziemy czuwali — odrzekła Klara rezolutnie. — Ja jestem teraz przy niej.

— Tak. I to mnie cieszy. Ale czy pani nie jest nerwowa? Czy nie wolałaby pani jednak, żebym spędził noc tu, przy paniach?

— Nie, doprawdy dziękuję, majorze. Jestem pewna, że Yvonne obudzi się zdrowa. W przeciwnym razie Ghulam zatelefonuje do pana. — Klara mówiła jak człowiek, którego niełatwo wyprowadzić z równowagi. — Zresztą — dodała — Pax mieszka o dwa kroki stąd.

— Aha! — major Nicholls urwał nagle i przyjrzał jej się z nie ukrywanym zdziwieniem. — Tak, oczywiście, w pobliżu mieszka Pax... — mówił usiłując się opanować.

Klara patrzyła na niego swymi śmiałymi, jasnymi oczami.

— Wiadomo panu zapewne, że jesteśmy zaręczeni, prawda? — zapytała.

Lekarz był zakłopotany.

— Czyżby? — odrzekł. — Tak, słyszałem... Miałem nadzieję, że to nieprawda.

— Dlaczego? Wzruszył ramionami.

— Okropna sytuacja dla pani! — mruknął. Klara potrząsnęła głową przecząco.

— Ja inaczej na to patrzę, majorze. Dla niego jest to straszne, ale dla mnie... nic się nie zmieniło.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

— Stanowczo — dodała jeszcze poważniejszym tonem — to zupełnie tak, jakby Pax przejechał Guy'a, prowadząc samochód. Wypadek może się zdarzyć każdemu. Nawet Paxowi.

Major Nicholls wydał jakiś nieokreślony dźwięk. Dostrzegł sygnet na jej palcu. Wolałby go nie widzieć.

Klara zarumieniła się lekko. To milczenie ciążyło jej. To było gorsze niż wypowiedziana głośno nagana.

— Zdaje mi się, że pan patrzy trzeźwo na rzeczy — rzekła. — Nie pojmuję pańskiego punktu widzenia.

— Nie — odrzekł major. — Nie może pani tego zrozumieć, ani pani, ani ja, jak można się omylić i wziąć Europejczyka za Hindusa. I to na tę odległość.

Stało się. Mimo woli wyrzekł te słowa. Może to nie jego rzecz, ale jak tu pozostawić tę jasnooką, ufną dziewczynę w nieświadomości faktów? On widział zwłoki biednego Chisledona i ustalił, z jakiej odległości strzelono do niego!

Czekał z ciekawością i zażenowaniem na jej odpowiedź. Nie żałował swego czynu. Miał nadzieję, że nie postąpił zbyt brutalnie. Tego by nie chciał. Należało się liczyć przede wszystkim ze zdrowiem Yvonne, a jej Klara była nieodzowna. Ale widok tego sygnetu na palcu dziewczęcia wstrząsnął nim do głębi. Bardzo lubił i cenił Paxa dotychczas, ale to nie powód, żeby być biernym świadkiem jego zaręczyn w takim momencie! I to z siostrą człowieka zabitego przez niego! Nie uważał się za ciasnego, za małodusznego, ale przecież... wszystko ma granice. Wreszcie rozległ się po tym długim, przytłaczającym milczeniu chłodny głos Klary:

— Szkoda, że pan to powiedział. Tak pan myśli? Jeżeli pan posądza go o zabójstwo, należy przedstawić dowody winy, a tych nie ma. I zapomina pan widocznie, że mój brat niósł w ręku latarkę elektryczną. Blask zasłaniał go i do pewnego stopnia oślepiał osoby idące mu naprzeciw. Jest to latarka rzucająca niezmiernie silne światło. Znam ją dobrze, bo mu ją podarowałam.

Majorowi zrobiło się nagle bardzo nieprzyjemnie.

— Żałuję istotnie, że to powiedziałem — rzekł — nie powinienem był zabierać głosu. A zatem wezwie mnie pani w razie potrzeby! Jestem gotów na każde zawołanie. — Z tymi słowami pożegnał ją.

Patrzyła za nim i wzdychała cicho. Odwróciła się i zobaczyła Yvonne leżącą bez ruchu wprawdzie, ale z oczami szeroko otwartymi i utkwionymi w niej, Klarze.

Jednym susem była przy niej.

— Kochanie moje! — wyszeptała — Nareszcie się obudziłaś! Yvonne poruszyła jedną ręką.

— Czy spałam? — zapytała ziewając — Zdawało mi się, że ty odjechałaś...

Klara ucałowała ją.

— Istotnie, kochanie, ale wróciłam, ażeby cię pielęgnować.

— Czy byłam chora? — spytała znów Yvonne.

— Nie bardzo. — Klara namyślała się przez chwilę. — I nic ci nie będzie. Ja na to nie pozwolę.

— Tyl — uśmiechnęła się Yvonne tym swoim nieodparcie czarownym uśmiechem. — Czy masz moc usuwania mikrobow?

W takim razie jesteś bardzo mądra. Ale powiedz mi, czy ja miałam gorączkę? Czuję się tak, jakbym miała podwyższoną temperaturę.

— To znaczy jak, kochanie?

— Takie mam okropne sny, gdy zamykam oczy. Śniło mi się, że Guy umarł, że kilka osób, między innymi ty i Pax twierdziło, że ja jestem winna.

— Nikt by tego nigdy nie powiedział o tobie, droga moja — odrzekła Klara spokojnie.

— Naprawdę? Ludzie mówią czasem straszne rzeczy — mówiła Yvonne patrząc przed siebie. — Ten sen był bardzo plastyczny — dodała otrząsając się. — Uciekałam przed kimś, przed jakimś brutalem, wtem zobaczyłam Paxa i uciekałam pod jego opiekę. A on zastrzelił tego człowieka, który mnie gonił, a potem okazało się, że to nie Hindus, jak zrazu mniemałam, że to był... Guy!

— Biedna maleńka! — rzekła Klara.

Wyraz twarzy Yvonne uległ zmianie. Zamknęła oczy i śmiertelna bladość okryła jej policzki.

— Klaro! — zawołała — Nie mów mi, że to prawda!

Klara podała jej filiżankę z lekarstwem stojącą w pogotowiu na stoliku.

— Wypij to, moja droga! — prosiła łagodnie. — To ci dobrze zrobi. Yvonne ani drgnęła. Leżała jak posąg z ramionami zwisającymi wzdłuż ciała.

Klara schyliła się i podsunęła rękę pod poduszkę.

— Wypij lekarstwo, maleńka! — prosiła serdecznie — I nie myśl o niczym. Polegaj na mnie! Ja cię nie opuszczę. Yvonne wypila zawartość filiżanki. Twarz jej odzyskiwała powoli normalną barwę, a gdy Klara ostrożnie zaczęła wysuwać swe ramię spod poduszki, otworzyła oczy ponownie. Widać było, że zmora senna już się stała dla niej rzeczywistością.

— Klaro! — szepnęła przerażona. — Klaro! To nie była moja wina! Klara przytuliła ją mocno.

— Naturalnie, maleńka, że to nie była twoja wina. Niczyja wina w ogóle, jeżeli nie biednego Guy'a. Mam wrażenie, że on był trochę niepoczytalny owej nocy.

— On zawsze taki był z nadejściem nocy — jęknęła Yvonne.

Klara ukłękła przy łóżku.

— Nie powinnam była odjeżdżać — rzekła.

— Ale teraz już nie odjedziesz, powiedz! — błagała chora, uczepliwszy jej się oburącz. — Przrzeknij, że nie odjedziesz!

— Nigdy!... Nigdy! — odrzekła Klara. — Kochanie, nie drżj! Nikt cię nie potępia. Któż mógłby cię potępiać?

— To była moja wina — mówiła Yvonne kryjąc twarz na szyi Klary, — Sądziłam, że to Hindus. Pax również tak myślał. Zdawało nam się, że to Mirza Khan.

— Tak, moja droga, tak, wiem. Była to okropna pomyłka. Biedny, kochany Guy!

Yvonne skurczyła się cała i przytuliła się mocniej do szwagierki.

— Nie zdaje mi się, iżby on nie żył... On jest tutaj... goni mnie... On będzie mnie ścigał przez całe życie... O, Klaro, co ja zrobię? Co mam zrobić, poradź! — Wybuchnęła głośnym płaczem.

— Yvonne — rzekła Klara — starajmy się być rozsądne. Pamiętaj, że Guy cię kochał. Jeżeli istnieje życie pozagrobowe, to on wie z pewnością, że to była fatalna omyłka.

— On mnie kochał? — zawołała Yvonne. — On dbał tylko o moje ciało!

— Skądże! — szepnęła Klara zmieszana.

— Tak! Tak jest! — Yvonne drżała od stóp do głowy. — Wiesz dobrze, że mam słusność. Jediną odmianą miłości, jaką znał, była zazdrość.

— Nie mów tak, droga moja — rzekła Klara. — Teraz nie wolno tak mówić o nim, bez względu na to, co myślałaś w przeszłości. Wspominajmy go z miłością!

— Nie wiem, czy się na to zdobędę — szepnęła Yvonne z płaczem. — Klaro, nie opuszczaj mnie... nigdy... więcej...!

— Nie odstąpię cię na krok, kochanie — przrzekła Klara. — Będę cię strzec od wszelkich przeciwności i niebezpieczeństw.

— Och, jak mi dobrze z tobą! — wyszeptała Yvonne. Opadła na poduszki.

— Zmęczona jesteś — rzekła Klara.

— Tak. Będę teraz spać. Czy nie zechciałabyś spać tu, przy mnie? Raźniej mi będzie.

— Dobrze, małeńka.

Znowu rozległ się łkający głos Yvonne:

— Klaro, ja już nigdy nie ośmielę się usnąć.

— Zawsze będę przy tobie, moja droga — odrzekła Klara łagodnie i stanowczo zarazem.

— Zawsze byłaś i jesteś ucieczką strapionych — szepnęła chora.

DOCHODZENIE

— Jeżeli wolno mi będzie porozmawiać z nią chwileczkę — rzekł Crofton ze słodkim uśmiechem — dołożę wszelkich starań, aby jej nie zdenerwować.

Klara przyglądała mu się ze wstrętem. Coś ją ostrzegało przed tym człowiekiem. Odnosiła się do niego z całą ostrożnością.

— Nie mogę pozwolić nikomu na rozmowę z nią bez zgody majora Nichollsa — odparła stanowczo.

— W porządku. Widziałem się z Nichollsem. — W głosie Croftona zabrzmiała nuta tryumfu. — Powiedziałem mu po przyjacielsku, o co mi chodzi. Uważa on, że nie ma powodów do obaw.

— Widocznie oszalał — stwierdziła Klara sucho.

— Zdaje mi się, że chciałby po prostu jak najrychlej ją stąd wywieźć i panią również.—Przyjrzał jej się z wyrazem sympatii. —Nieszczęśliwy to zbieg okoliczności, że trzeba było przerwać pani wywczasy, miss Chisledon!

— Nie to jedno było nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności — odrzuciła. — Niewiele rzeczy szczęśliwych zdarzyło się tu w ostatnich czasach.

— To prawda — przyznał. — Bogowie nie mają dziś w ogóle licznych ulubieńców, chociaż prawdę powiedziawszy, do niedawna poczytywałem za ich ulubienicę panią Chisledon.

Klara zapanowała nad lekkim dreszczem. Z całego serca pragnęła, żeby ten człowiek już odszedł. Ale nie było to najwidoczniej jego zamiarem. Stał przed nią jak duży pies, który nie wyobraża sobie, że jego obecność nie jest mile widziana.

— Gdybym mógł się z nią zobaczyć na przeciąg pięciu minut chociażby — rzekł — w pani obecności, rzecz jasna! Muszę jej tylko zadać dwa lub trzy pytania. Nic zasadniczego zresztą. Doprawdy może się pani nie lękać. — Czy jego spoczęły na sygnecie, widniejącym na lewej ręce Klary. — Czy wolno mi powinszować pani?... — zapytał.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy uśmiechnęła się.

— Ma pan na myśli moje zaręczyny z Paxem? Bardzo to mile z pańskiej strony.

— Nie! — odrzekł Crofton — Jest to raczej pięknie z pani strony!

— Dlaczego?

— Gdybym ja był na miejscu Paxa, nie przyjąłbym takiej ofiary. Zaczerwieniła się gwałtownie.

— Tu nie ma mowy o ofierze! Pax był zresztą przeciwny ogłoszeniu naszych zaręczyn w tym momencie.

— Mogę go zrozumieć — mruknął Crofton.

— Po co więc te insynuacje?

— Insynuacje? — powtórzył Crofton — Ja tylko powiedziałem to, co myślałem. Ale to drażliwy temat. Nie mówmy już o tym. Życzę pani najszczerzej dużo pomyślności.

Nie zdobyła się na podziękowanie. Jego przyjacielski ton zdawał się ukrywać jakieś straszne, wrogie zamiary.

Tchnął obłudą. Czowała, że w oczach tego człowieka jej zaręczyny z Paxem wyrządziły kapitanowi więcej krzywdy niż dobra. W duszy jej zrodziła się dręcząca obawa, że może on miał słuszość, broniąc się przeciw jej szlachetności.

— A zatem chce pan koniecznie widzieć się z Yvonne. To pana właściwie tu sprowadziło, nie co innego. Ostrzegam pana, iż ona jest bardzo osłabiona. Wątpię, czy otrząsnęła się już dostatecznie z wrażenia, ażeby móc udzielić jasnych, wyczerpujących wyjaśnień. Ta okropna noc wciąż jeszcze jest dla niej jakby potwornym snem.

— Może ja zdołam jej dopomóc w zebraniu myśli, w odnalezieniu pewnych faktów — odrzekł Crofton. — Ale niechże pani nie patrzy na mnie z taką trwogą! Nie powiem niczego, co by mogło ją wytrącić z równowagi. Zapytam tylko o parę szczegółów bez wielkiego znaczenia, o takie szczegóły, których nawet Pax nie może mi wyjawić. Klara nie dowierzała mu, ale faktem było, że nie mogła ukryć przed nim Yvonne. Należało więc zgodzić się na to, co było nieuniknione.

— Pójdę do niej i uprzedzę ją o pańskiej wizycie — rzekła.

— Niech jej pani nie straszy! — wołał za nią Crofton. — Nie ma najmniejszego powodu do obaw.

Nie odpowiedziała. Poszła wolnym krokiem do sypialni bratowej.

Zastała ją leżącą na poduszkach, bladą i mizerną. Oczy miała podkrążone, cała postawa zdradzała wyczerpanie.

Uśmiechnęła się na widok Klary.

— Kto, kochanie? Kapitan Crofton? On chce się widzieć ze mną? Dobrze, naturalnie, jeżeli to jest konieczne! Czy wyglądam tak, że mogę się pokazać komukolwiek? — Usta jej drżały przy tych słowach.

— Wyglądasz jak zawsze uroczo — rzekła Klara czule. — On chce ci zadać parę pytań w związku z tą okropną nocą. Czy nie zmęczy cię to zanadto?

Yvonne westchnęła. — Przypuszczam, że podołam. Ty będziesz przy mnie, prawda? Przyrzeknij.

— Na pewno, moja droga. — Klara pochyliła się, aby poprawić pled. — Ale zanim go tu wpuszczę, chcę ci coś powiedzieć.

— Co! Ty także! — jęknęła Yvonne. Klara patrzyła jej prosto w oczy.

— Nic sensacyjnego, kochanie! I dotyczy to mnie, nie ciebie. Nie zdążyłam ci tego oznajmić dotychczas, ale chcę, żebyś się o tym dowiedziała ode mnie samej. — Podsunęła Yvonne pod same oczy swą lewą rękę z sygnetem Paxa.

— Jestem zaręczona z Packersley'em.

— Klaro!

— Tak jest. Oświadczył mi się, zanim wyjechałam do Kapoo. Nie powzięłam wówczas decyzji. Ale wczoraj widziałam się z nim i dałam mu odpowiedź przychylną. Nie chciał o tym słyszeć w obecnych warunkach, proponował, żeby zaczekać, ale ja się na to nie zgodziłam. Kilku osobom wspomniałam już o naszych zaręczynach, tak że teraz całe miasteczko wie o tym z pewnością. Crofton również wie. Nie życzyłam sobie, żeby on pierwszy udzielił ci tej wiadomości.

Yvonne patrzyła na Klarę z dziwnym wyrazem w swych podkrążonych oczach.

— Wiesz chyba, że on... mnie nienawidzi? — rzekła wreszcie.

— Nie wiem nic podobnego — odrzekła Klara stanowczo — i nie

wierzę w to. Ale on przeżywa ciężkie chwile i nie opuszczę go, podobnie jak nie opuszczę ciebie. Rozumiesz mnie?

— Niezupełnie. Dlaczego on przeżywa ciężkie chwile? Czy mu nie wierzą na słowo?

— W takich wypadkach obowiązani są do szczegółowego śledztwa — tłumaczyła Klara. — Wiem, że jest to tylko szereg formalności, ale niemniej są one przykre dla Paxa. Trzeba raz na zawsze ustalić jego niewinność, żeby nie ciążył na nim cień żadnego podejrzenia.

Yvonne zaczęła drżeć na całym ciele.

— Jakiego podejrzenia? — spytała. — Klaro, czy ukrywasz coś przede mną?

— Nie, kochana — Klara chwyciła ją za rękę — mówię ci wszystko, jakkolwiek chętnie oszczędziłabym ci dalszych zmartwień. Wiem dobrze, że Pax zastrzelił biednego Guy'a przez pomyłkę, ale są ludzie, którzy wyrażają wątpliwości... Trzeba im dowieść prawdy słów Paxa, który... do czasu wyświecenia sprawy podlega aresztowi domowemu.

— Aresztowi! Za co? — Yvonne wyprostowała się nagle. — Nie myślą przecież, na Boga, że on zrobił to rozmyślnie?

— W każdym razie długo tak myśleć nie będą — odrzekła Klara z pozornie niezachwianym spokojem. Przyglądała się bacznie twarzy przyjaciółki, bardziej niespokojna o jej zdrowie w tej chwili niż kiedykolwiek. — Wiedzą, kim jestem i jakie mam poglądy... no i jestem siostrą Guy'a.

Yvonne opadła z powrotem na poduszki.

— Klaro! — rzekła — Boję się!

— Nie masz czego. Staraj się po prostu odpowiadać jak najzwężlej i jak najspokojniej na pytania kapitana Croftona. Nie ukrywaj niczego, kochanie, a prawdy nie należy się bać nigdy.

— Nie jestem tego pewna — jęknęła Yvonne. — Oni mogą... źle interpretować moje słowa.

— Ja będę na straży — uspokajała ją Klara. — Będę prostować każde twoje słowo, gdybym uważała to za konieczne. Nie bój się, maleńka! Nie bój się!

Yvonne patrzyła na nią sarnimi oczami.

— I ty naprawdę zamierzasz wyjść za mąż za Paxa? — spytała.

— Tak, maleńka. Ale na razie nie mówmy o tym. Crofton czeka. Czy mogę go tu wprowadzić?

— Ach, nie wiem, nie wiem! — Na twarzy Yvonne zjawił się wyraz panicznej trwogi. Piękne rysy ściągnęły się jakby w udrećce fizycznej. — Klaro czy to konieczne? Klaro, oni mnie zabijają!

— Kochana! — rzekła Klara błagalnie, pochylona nad nią — Tylko parę minut. Dla Paxa jest to niezmiernie ważne. Yvonne drżała i ścisnęła kurczowo rękę Klary. Ale stopniowo stawała się spokojniejsza. Może udzielał jej się spokój młodej dziewczyny.

Wreszcie skinęła głową przyzwalająco.

— Dobrze, kochanie! Wprowadź go. Ale niech mnie długo nie męczy. Powiedz mu to!

— Dobrze, maleńka — przyrzekła Klara łagodnie i wyszła cichym krokiem z sypialni.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Yvonne zeskoczyła z łóżka, podbiegła do szufladki w swej toalecie. Wyjęła stamtąd szybkim ruchem pudełko od zapalek, otworzyła je, wysypała na dłoń parę drobnych, białych kryształków. Wrzuciła pudełko do szufladki, zamknęła je. na kluczyk i bez szmeru wróciła do łóżka.

OGNIWO

— Nie chciałbym pani przeszkadzać — rzekł kapitan Crofton zatrzymując rączkę Yvonne w swoich dłoniach. — Pani wie przecież, jak bardzo jest mi pani sympatyczna, Mrs Chisledon. Ale wyjaśniłbym chętnie parę kwestii, a tylko pani zeznanie zdoła mnie oświecić.

Yvonne popatrzyła na niego spod swych ciężkich powiek, odpowiedziała coś niezrozumiałego i wysunęła swą dłoń z jego uścisku. Klara przyniosła mu krzesło. Sama usiadła po drugiej stronie łóżka.

— Widzi pani — ciągnął dalej Crofton — usłyszałem zeznanie Paxa, ale nie wiem, co pani o tym myśli. Musiałbym porównać punkt widzenia obojga państwa na te same zdarzenia, aby ustalić ostatecznie, że Pax się nie myli, o czym zresztą nie chcę wątpić.

Yvonne leżała nieruchoma. Tylko pierś jej falowała. Klara obserwowała ją byстрыm okiem nie zwracając już teraz uwagi na Croftona.

Ten zaś zdawał się mówić raczej sam do siebie:

— Zeznanie kapitana Packersley'a dotyczy dopiero tej chwili, kiedy pani zjawiała się u niego. Co się zdarzyło przedtem? Otóż tu właśnie potrzebna mi jest pani pomoc.

Urwał.

— Więc? — zapytała Yvonne. Głos jej był nieco ochrypły. Mówiła, jakby się zwracała do kogoś niewidzialnego.

— Chciałbym wiedzieć, jaką postać przybrała w pani oczach przyczyna owego strachu, który panią zawiódł do willi Paxa. Czy pani była sama?

Yvonne mrugnęła lekko powiekami.

— Tak, sama — odrzekła tym samym, bezoosobowym tonem.

— Była pani sama — rzekł Crofton łagodnie dla dodania jej otuchy — a pani mąż? Gdzie on był?

— Nie wiem — odrzekła Yvonne.

— Obiad zjadł z panią?

— Tak, jedliśmy obiad razem. — Odpowiadała machinalnie, jakby się nauczyła lekcji na pamięć.

Klara patrzyła na nią ze wzrastającym zastanowieniem, ale nic nie mówiła, nie przerywała dochodzenia Croftona.

— A po obiedzie wyszedł? — podsuwał sędzia śledczy Yvonne.

— Tak.

— A pani?

— Ja zostałam tutaj.

— Czy pani była czymś zajęta?

— Przeglądałam czasopisma.

— Czy zauważyła pani, że mąż wychodzi?

— Nie zwracałam na to szczególnej uwagi.

— To znaczy, że wychodząc był całkiem normalny?

— Co to znaczy: normalny?

— Mam na myśli, hm... że nie był pod wpływem alkoholu? Dreszcz ją przeszył. Milczała, brwi jej podnosiły się coraz wyżej. — Niech się pani mnie nie obawia — rzekł Crofton łagodnie.

— Czy to szlachetnie... według pana?

— Hm... rozumiem. Nie będę nalegał... Rozumiem wybornie. Przejdźmy do następnego punktu. Mąż pani wyszedł.

Pani pozostała tutaj. Jak długo? — Nie pamiętam.

— Czy zechce pani opowiedzieć mi, co się stało?

— Jest to jakby zły sen — zaczęła Yvonne niepewnym głosem. — Tak mi trudno przypomnieć sobie szczegóły.

Palłam papierosy i czytałam przez dłuższą chwilę... było gorąco... wyszłam trochę przed dom. Księżyc świecił. Ale nie jestem tego pewna... Na ziemi widniały cienie... Czarne cienie... Usłyszałam głos jakiegoś krajowca, potem ryk pantery. Wtem zobaczyłam tuż przed sobą twarz jakiegoś Hindusa. W ręku coś trzymał... tak, widocznie księżyc świecił... bo widziałam

wyraźnie jakiś przedmiot w jego rękę. A potem ujrzałam jego oczy... W oczach tych był szatan... uciekłam... uciekłam, ratując się przed śmiercią! — Oczy jej były rozszerzone panicznym przerażeniem. Łamiąc ręce zawołała — Kłęk! Klaro!

— Tu jestem, moja droga. — Klara ujęła natychmiast obie jej dłonie, ściskając je mocno w swoich. — Nie bój się! Nie ma czego!

Yvonne opadła na poduszki.

— Nigdy tego nie zapomnę... szepnęła. — Och! Żebym mogła! Klara z wyrzutem spojrzała na Croftona.

— Kapitanie, to są tortury, czy pan tego nie widzi?

— Żeby tylko pani Chisledon zdołała mi opowiedzieć resztę owej pamiętnej nocy; to by mogło uratować tak wiele.

— Spróbuj, kochanie — szepnęła Klara pochylając się nad chorą. — Skończmy z tym!

Yvonne złamanym głosem rzekła:

— To było okropne. Nie wiedziałam, co czynię ze strachu. Biegłam i biegłam prosto przed siebie, a on mnie gonił jak myśliwy upatrzoną zwierzynę!

— Biedaczka! — szepnęła Klara. — A cóż potem się stało?

— Potem wpadłam do willi, do Paxa. Chris Markham wyjechał. Był tylko Pax...

— Nie było Petersa? — spytał Crofton z pozornym roztargnieniem.

— Nie, już poszedł do baraków. Widziałam go na drodze przed bramą, zanim to się zdarzyło. — Słowa te wymknęły się Yvonne mimo woli. Dręczyła ją dziwna gorączka, chęć powiedzenia całej prawdy wbrew szalonej trwodze, jaka ją ogarniała co chwilę.

Lecz Crofton nie dał po sobie poznać, jak dalece się ucieszył.

— I Peters panią widział? Nieprawdaż?

— Tak — rzekła niedbale. — Ale to było przedtem. To nie ma nic wspólnego z ową nocą. Dopiero po tym spotkaniu ujrzałam przed sobą tego szaleńca. To był chyba Mirza Khan. Tak też poinformowałam Paxa. On wyszedł na werandę, mnie umieścił w pokoju. Na stoliku leżał rewolwer. Poszedł po wódkę dla mnie. Wtem... wtem... ktoś przyszedł... rozległy się kroki na werandzie... ktoś podszedł pod samo okno, a Pax strzelił... poprzez firankę...

Urwała z głośnym jękiem i zasłoniła twarz rękami.

— Wcale nie starał się przekonać, kto to jest? Od razu strzelił?

— Tak. Byliśmy pewni, że to Mirza Khan. Wszystko działo się w błyskawicznym tempie. Nie było czasu do namysłu... przynajmniej w naszym pojęciu... Pan rozumie?

— Tak jest — odrzekł Crofton podnosząc się ociężale. — Bardzo pani dziękuję, mrs Chisledon. Bardzo pani jestem zobowiązany. Przepraszam, że panią niepokoiłem, ale to na razie wszystko.

Zwrócił się ku drzwiom. Twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia. Postąpił parę kroków, gdy wtem został przywołany przez Yvonne. Usiadła na łóżku odsuwając Klarę na bok. Miała błędny wyraz twarzy.

— Co pan chce powiedzieć przez to: na razie? Co ja... mogę więcej? Czyż nie powiedziałam wszystkiego? Wszystkiego?...

— Niech się pani uspokoi. Powiedziała mi pani wszystko to, czego oczekiwałem. Ale to wystarczy na razie, gdyż poproszę panią jeszcze po pewnym czasie o przeczytanie protokołu, który sporządzę na podstawie pani zeznania i o pani podpis, o ile mój tekst będzie pani odpowiadał. W przeciwnym wypadku wprowadzimy niezbędne sprostowania. Wtedy dopiero pani rola będzie skończona. Jak pani widzi, nie jest to szczególnie alarmujące. Klara pochyliła się nad drżącą bratową i objęła ją w pól.

— Leż spokojnie, maleńka, uspokój się. Nikt ci nic nie zrobi, biedactwo!

Yvonne, posłuszna jak dziecko, pozwoliła się ułożyć na poduszkach i zamknęła oczy. Przestała drzeć.

Klara i Crofton wyszli z sypialni. Popatrzyli na siebie badawczo.

— Żałuję — rzekł kapitan — że ją tak poruszyłem, ale muszę spełnić mój obowiązek. Zresztą nie sądzę, abym był bezwzględny.

Klara odpowiedziała mu bardzo poważnie:

— Musi pan wziąć pod uwagę, że ona jest niezdolna do trzeźwego sądu o tak niedawnych, a tak dla niej tragicznych wypadkach. Ale mam nadzieję, że jej zeznanie jest jednobrzmiące z zeznaniem Paxa. To chyba nie ulega wątpliwości.

— Tak, zapewne, miss Chisledon. Jeden tylko drobiazg jest tym ogniwem, którego szukam nadaremnie, a które, jak mi się zdaje, znalazłem dzisiaj.

— Co takiego? — spytała zaskoczona.

— Szczegółik, maleńki fakcik, ale te fakciki liczą się właśnie. Otóż: ona widziała Petersa, słyszała pani?... I Peters widział ją.

— Cóż z tego? — rzekła Klara szczerze zdziwiona. Zaczynała się bać tego człowieka o nieprzewidzianych, niezrozumiałych pomysłach.

Crofton uśmiechnął się lekko.

— Peters — zauważył — jest wiernym sługą swego pana, a nie jest bodaj zbyt dalekowzroczny. A no, zobaczymy.

— Co zobaczymy? — Klarze zaczynało się udzielać zgorączkowanie Yvonne. — Kapitanie Croftonie, co pan ma na myśli? Na co, czy na kogo pan poluje?

— Na nic i na nikogo, niech się pani nie obawia! — odrzekł Crofton. — Staram się tylko uporządkować fakty.

— Ale co ma znaczyć pańskie zastanawianie się nad jej spotkaniem z Petersem? — dopytywała się Klara, dziwnie zaniepokojona. — Pax powiedział już panu wszystko, Yvonne także. Guy, który by mógł powiedzieć to samo, wierzę w to święcie, nie żyje. Jak więc pan może dowiedzieć się czegokolwiek więcej? A przy tym czego tu się dowiadywać, skoro cała rzecz jest tak jasna, tak oczywista?

Crofton skinął głową potakująco.

— Tak jest. Nie wtajemniczonym musi się tak wydawać. Ale widzi pani, ja muszę mieć w ręku wszystkie nici tego zdarzenia. I zdaje mi się, że je mam, ale to nie wystarcza. Muszę mieć pewność, że je mam... wszystkie!

— Nie rozumiem — szepnęła Klara.

— Nie? No, to wytłumaczę pani, że teraz przesłucham po raz drugi Petersa. To uprości wiele rzeczy. Bo, widzi pani

— dodał z przelotnym uśmiechem — on zapewnia, że nie widział nikogo.

— Ależ... pan nie może brać na serio słów Petersa — odrzekła Klara z wysiłkiem.

— Toteż przyjmuję je, jak pani widzi, z zastrzeżeniem — odparł Crofton i pożegnał ją.

Klara patrzyła za nim z obawą i niechęcią w oczach. Po czym, panując nad drzeniem, które ją ogarniało, wróciła do sypialni Yvonne.

ŁASKA

— Tysiące ludzi, lepszych ode mnie siedziało w więzieniu za mniejsze przestępstwa — rzekł Pax na pół cynicznie, paląc papierosa.

— Człowieku opamiętaj się! — zaprotestował Chris Markham. — Nie możesz tej sprawie przeciwstawić obojętności.

— Nie jestem pewien, czy to nie jest właśnie najlepszy sposób — odrzekł Pax poważnie.

— Dlaczego? Nie wolno ci dopuścić, abyś był oskarżony o morderstwo! — wołał Chris niemal z rozpaczą. Pax strząsnął popiół z papierosa.

— To niezupełnie ode mnie zależy—rzekł powoli. — Niekoniecznie trzeba być oskarżonym o morderstwo... wystarcza, że się jest uważanym za mordercę bez dowodów dostatecznych do wyroku skazującego...

— Człowieku, wyprowadza mnie z równowagi spokój, z jakim mówisz o tym wszystkim.

— Miałem czas to przemyśleć — rzekł Pax.

Zmarszczki dokoła jego oczu świadczyły, że więcej czasu zużył w ostatnich czasach na myślenie niż na spanie. Chris przyglądał mu się z niejasnym uczuciem niezadowolenia.

— Ja bym był pełen najlepszej nadziei na przyszłość, gdybym był na twoim miejscu — rzekł.

— Dziwi mnie to.

— Jeżeli chcesz, a raczej, jeżeli mnie upoważnisz, oznajmię wszem i wobec, że flirtowałem z Yvonne, a to przyczyni się niemało do zdjęcia z ciebie wszelkich podejrzeń o zazdrość w stosunku do zmarłego majora.

— Nie chciałbym, żebyś to uczynił. To tylko osłabi wiarę w zeznania Yvonne jako świadka.

— Ona nie będzie zeznawać w żadnym razie. Nicholls powiada, że jest niezdolna do rozmowy na ten temat: wyczerpanie nerwowe.

— To możliwe. Crofton już się z nią widział, ale niewiele się dowiedział. Byłby mnie chyba zawiadomił o wyniku tej rozmowy, gdyby była dała pozytywny rezultat.

— Przekłęte śledztwo! — mruknął Chris gniewnie. — Jest to tak oczywisty przypadek, ta cała nieszczęsna historia... Dlaczegoż nie dać wiary twemu słowu i nie uznać sprawy za zamkniętą?

— Nie moja rzecz być sędzią w tej kwestii — odrzekł Pax spokojnie. Chris zerwał się.

— Pójdę do Croftona. Muszę się go wypytać o szczegóły śledztwa!

— Nie radziłbym ci — rozległ się chłodny głos Paxa. — W ogóle nie pojmuję, po co przyjechałeś na wieść o tym zdarzeniu. Jestem zdania, że im dalej będziesz się trzymał od tych powikłań, tym lepiej dla wszystkich.

— Dlaczego?

— Możesz mimo woli przyczynić się do dalszych komplikacji. Niech sami zbadają, czy moje zeznanie jest prawdziwe.

— Ale tu chodzi o ciebie... o ciebie! — pinił się Chris. Smętny uśmiech rozjaśnił na chwilę ponurą twarz Paxa.

— Moją jedyną pociechą był fakt twojej nieobecności tutaj podczas tej tragicznej nocy — rzekł. — Chciałbym, żebyś jeszcze teraz był w dżungli.

— Jakże bym mógł? — spytał Chris.

— Zapewne, rozumiem... Ale skoro już tu jesteś, powiedz, czy ci mówiono o moich projektach matrymonialnych?

— O czym?...

— Widzę, że nie wiesz o niczym. To wywrze na tobie wrażenie. Panna Chisledon... Klara... zaszczyciła mnie przyjęciem moich oświadczeń.

— Co?!...

— Sądziłem, że już o tym słyszałeś. Ona wiedziała, że pragnę ją pojąć za żonę. Wyjechała do Kapoo, nie dając mi stanowczej odpowiedzi. Teraz wróciła i żąda ogłoszenia naszych zaręczyn.

— Na Boga! — wykrzyknął Chris. — Co ją skłania do tego?
— Tego nie wiem. Czy pojąłeś już kiedykolwiek, dlaczego jakaś kobieta przyjmuje oświadczyzny danego mężczyzny?
— Mój drogi przyjacielu! — rzekł Chris klepiąc Paxa po ramieniu. — Jestem bardzo rad, że będziesz szczęśliwy. Ona jest nad wyraz subtelną dziewczyną, zawsze byłem tego zdania.
— Dziękuję! — odrzekł Pax nie podnosząc oczu. — Chris, mam do ciebie prośbę. Wyświadczysz mi wielką łaskę...
— Wszystko, czego zechcesz...
— Zapomnij o tym, co było przed twoim wyjazdem... Uważaj to za zamknięty rozdział. Dobrze?
— Mam nadzieję — odrzekł młody oficer rumieniąc się — że będę miał dość taktu, aby nie wszczynać tego flirtu w obecnej chwili.
— Nie tylko o to chodzi — ciągnął Pax dalej z wielką powagą. — Była to przelotna miłostka i nie masz jej wszczynać na nowo nigdy, przenigdy? Rozumiesz?
Twarz Chrisa zdradzała pewien tępy upór.
— Nie wiem, czy masz prawo tego żądać — rzekł.
— Mam. Większe niż ktokolwiek inny na całym świecie. Jest to moim obowiązkiem i jeżeli nie spełnisz mojej prośby, pograżysz mnie w niedoli, tyle tylko mogę ci powiedzieć.
— Nie rozumiem...
— Nie możesz zrozumieć. Dlatego nazwałem to łaską z twojej strony. Jedyń bodaj, o jaką cię poproszę kiedykolwiek. Chris wahał się.
— Powiedz mi... przecież nikt cię nie posądzi o zabójstwo w żadnym razie.
— Nie sądzę. Wierzę w mądrość Croftona. Ale moja wojskowa kariera jest skończona. Człowiek, który zabił swego majora, nawet przez pomyłkę, nie może pozostać w wojsku, jak gdyby się nic nadzwyczajnego nie zdarzyło. Chris zamyślił się głęboko. Po dłuższej chwili podniósł wzrok na przyjaciela:
— Nie będzie tak źle, miejmy nadzieję. Bądź co bądź, przyrzekam ci, że nie zapomnę o twojej prośbie i będę się starał... uszanować twoje życzenie.

— Dziękuję ci — odrzekł Pax z prostotą. — A teraz najlepiej byłoby, gdybyś na resztę urlopu wrócił do swoich tygrysów.

— Więc nie jestem ci potrzebny?

— Owszem, bardzo, i Elfryda też, ale widzisz, śledztwo będzie ukończone za dwa dni, a potem... — nie dokończył, ale to milczenie było bardzo wymowne.

Chris wzdrygnął się mimo woli.

— Okropne! — mruknął, a głośno dodał — Słuchaj, Paxie, gnębi mnie moja bezsilność. Tak bym chciał ci dopomóc! Ale na miłość boską, przyrzeknij mi, że cokolwiek się stanie, zabierzesz Elfrydę ze sobą. Ona nie znieśie rozłąki z tobą, nie przeżyje!

— Mój zacny chłopcze! — rzekł Pax, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— A czy ja nie mogę nic uczynić, Paxie?

— Nie, mój mały. Możesz tylko wywołać niepotrzebne komplikacje, jak ci już powiedziałem. Dziękuję ci, żeś przyjechał i że mi zostawiasz Elfrydę. Jeżeli pozostanę na wolnej stopie, odwzięczę ci się jeszcze.

— Z pewnością pozostaniesz na wolnej stopie! — zawołał Chris gniewnie. — Nie mów takich piekielnych bzdur!

— Nie wiadomo nigdy, co nas czeka na tym świecie.

— Przeklęty świat! Słuchaj, Pax, dochodzę do wniosku po namyśle, że moja wina jest niemała w tym wszystkim, co tu zaszło. I dlatego wezmę udział w dalszym rozwoju wypadków.

— Nie bądź głupi! — przerwał Pax. — Czy nie orientujesz się, co wywołasz, obierając tę linię taktyczną?

— Nie, nie orientuję się — rzekł Chris zaskoczony.

— Rzuciłbyś takie światło na owo zdarzenie, mieszając w nie twoją osobę, że w końcu tylko jedno pozostałoby mi do zrobienia...

— Co mianowicie?

Pax uśmiechnął się łagodnie.

— Nie mówmy o tym na razie...

Chris zrozumiał. Dreszcz go przeszył. Pogрузzył się w smutnych rozmyślaniach. Tego dnia przyjaciele nie zamienili już ani jednego słowa.

WIERNY SŁUGA

— Nie powinien mi pan dowodzić, że widziałem kogoś lub coś, kogo lub czego nie widziałem, sir — powtarzał Peters tonem pełnym szacunku, lecz stanowczo. — Powiedziałem panu wszystko. Widziałem, idąc do baraków, jakiegoś brudnego, obdartego krajowca, jak już panu mówiłem. Ale zostawiłem kapitana samego w willi i nikogo więcej nie spotkałem. Niesłusznie mi pan wmawia, sir, że widziałem jeszcze kogoś, skoro żadną miarą nie mogę się przyznać do tego.

— Dziękuję, Petersie. — Crofton notował skrzętnie słowa służącego w swoim notesie. — I to gotów jesteś zeznać pod przysięgą, czy tak?

— Naturalnie, sir — odrzekł Peters i oblizał się, jakby ta perspektywa nie była pozbawiona uroku.

Crofton był zamyślony.

— A ów krajowiec szedł w którą stronę?

— Szedł w kierunku przeciwnym do mojego, sir.

— Pewien jesteś tego?

— Mogę na to również przysiąc, sir — rzekł Peters oblizując się powtórnie.

Crofton zrobił nową notatkę.

— Zdaje mi się, że się nie mylę, uważając cię za bardzo oddanego kapitanowi Packersley'owi?

Peters mrugnął parę razy oczami.

— Pan ma na myśli, sir, że bardzo go lubię, czy tak?

— To właśnie chciałem powiedzieć, Petersie — odrzekł Crofton. Peters zastanawiał się przez chwilę.

— Nic nie mam przeciw niemu, sir — rzekł wreszcie — jeżeli o to panu chodzi. Jest to dobry oficer, dżentelmen i dobry sportowiec. Zawsze tak go oceniałem.

— I dobry strzelec, co? Peters zasepił się.

— Tego bym nie powiedział, sir. Nie, dobry Anglik, może nawet nieprzeciętny Anglik, tak bym go określił.

— Byłeś jego ordynansem w Anglii, zanim przyjechał do kolonii, prawda?

Peters rozjaśnił się znowu.

— Tak, sir, i polubiłem moje zajęcie tak, że tu za nim przyjechałem.

— Rozumiem, z przywiązania do niego, prawda?

— Tak jest, tak dalece polubiłem zajmowanie się mundurami i innymi rzeczami tego rodzaju. I konie lubię, sir! To takie zabawne! Wyszukiwałem dla nich najrozmaitsze imiona, aż w końcu mi ich brakło. Tutaj nie mam do czynienia z końmi. Mówię o tym, co się działo w Anglii.

— Mniejsza o to! — zniecierpliwił się Crofton. — Teraz jesteś w Bhanapore.

Peters westchnął. — Niebawem zapomnę, jak ja sam się nazywam... Bo...

— Petersie — przerwał kapitan Crofton tonem łagodnego upomnienia. — Czy ty nabijałeś rewolwer kapitana Packersley'a?

— Ja, sir? Nie, sir. Kapitan sam go nabijał i codziennie sprawdzał. Nie wiedzieliśmy, sir, że pan już ujął Mirzę Khana i nikt nie czuł się nocą bezpieczny w swojej willi sam jeden! Mówiłem to nieraz kapitanowi. Gdy pan Markham wyjechał, byłem niespokojny o kapitana i gdyby nie Elfryda, nie byłbym sypiał z niepokojem.

— Elfryda? Aha! Pies kapitana! Gdzie ona była owej nocy? — Głos Croftona zdradzał najżywsze zainteresowanie. Peters chętnie udzielał wyjaśnień.

— Niegrzeczna była tej nocy, sir. Czowała panterę w pobliżu, a ona boi się panicznie wszelkich kotów. Musiałem ją wciąż trzymać przy sobie. Nieraz sobie myślałem od tej pory, że ona nie tylko panterę węszyła.

— Masz na myśli owego krajowca? — spytał Crofton.

— Nie, sir, nie. Myślałem, że ona czuła możliwość, hm... jakby to powiedzieć... no, flirciki... Ona bardzo to lubi, Elfryda. Nieraz już przyszło mi wstydzić się za nią.

— Tak, to nieprzyjemne — przytaknął Crofton — więc i tej nocy zwolniła się po twym odejściu, chociaż nie dostała urlopu?

— Otóż to właśnie, sir. Ona lubi się włóczyć, ale trzeba jej to przebaczyć ze względu na jej wielkie przywiązanie do kapitana.

Crofton uśmiechał się w milczeniu.

— Zresztą — dodał Peters — czyż można zrozumieć istotę rodzaju żeńskiego?

— To prawda — zgodził się Crofton. — Sądzę, że nie zdołasz na przykład wytłumaczyć mi, dlaczego pani Chisledon twierdzi, że cię spotkała biegnąc do kapitana Packersley'a? Jest przy tym pewna, że i ty ją też widziałeś? Ha?!

W oczach Petersa coś zamigotało przez chwilę. Poza tym twarz jego nie zdradzała żadnego niepokoju.

— To są bajki, sir — rzekł. — Czy pan jest pewien, że ona wie, co mówi?

— Nie widzę, dlaczego miałbyś temu przeczyć, Petersie — rzejtł Crofton z powagą.

— Otóż to właśnie, sir — rzekł Peters. — Dlaczego miałbym temu przeczyć, gdyby to było prawdą?

— To jest prawda — odrzekł Crofton spokojnie i stanowczo.

— Nie, sir.

— Mój drogi chłopcze, nie jest w interesie kapitana Packersley'a, aby ludzie z jego otoczenia taili przede mną jakiś szczegół rzucający światło na tę smutną sprawę. Przeciwnie; zapamiętaj to sobie i powiedz, co robiła pani Chisledon w chwili, kiedy ją spotkałeś na drodze? Czy przechadzała się po prostu?

Peters otworzył oczy szeroko i patrzył na pytającego.

— Nigdy jej nie widziałem na drodze, sir — odrzekł wzruszając ramionami z wyrazem zniechęcenia.

Crofton wpił się w niego oczami.

— A gdybym ci powiedział, że to wpłynie dodatnio na losy kapitana, jeżeli zeznasz, że ją widziałeś owej nocy, czy nadal będziesz twierdził, że jej nie widziałeś?

— Tak, sir, bo to jest prawda.

— A gdybym ci powiedział, że to może zaważyć na zwolnieniu go, lub na oskarżeniu go o zabójstwo?

— Nie pojmuję, jak[^]-można go oskarżyć o zabójstwo, skoro wiadomą jest rzeczą, że był to wypadek?

— Tak — zauważył Crofton bardzo łagodnie — ale nie ty mnie przesłuchujesz, tylko ja ciebie. Więc czy zechcesz odpowiedzieć na moje ostatnie pytanie?

— Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem, sir.

— Dobrze. Więc postawię kwestię inaczej: możesz wyświadczyć przysługę kapitanowi zeznając, że widziałeś panią Chisledon na drodze owej nocy. W przeciwnym wypadku zadajesz kłam słowom pani Chisledon, której sytuacja jest również nie do pozazdroszczenia. Muszę to rozwikłać i nie mogę żadną miarą uwolnić kapitana z aresztu, dopóki nie będę wiedział, jak ta rzecz wygląda naprawdę. Jest to szczegół, ale dla mnie ma znaczenie. Jakie, to już tylko mnie obchodzi. Więc?

Peters zamyślił się.

— Sir — rzekł po chwili — jeżeli powtarza pan swe pytanie, to ja mogę tylko powtórzyć, że całe to nocne spotkanie na drodze jest bajką zmyśloną przez chorą kobietę niczym więcej.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Tak, sir, pierwsze i ostatnie.

— Jesteś wiernym, ale niemądrym sługą, Petersie — rzekł Crofton z trudem panując nad nerwami.

— Nigdy mi tego nikt nie powiedział, sir — odrzekł Peters z godnością.

— Można by, jak mi się wydaje, powiedzieć o tobie coś znacznie gorszego — odparł Crofton sucho. — Dobrze, skończyliśmy. Możesz odejść.

Peters skłonił się po wojskowemu i odszedł.

BIAŁA ŚCIANA

— Ona musi wyjechać jak najprędzej — rzekł major Nicholls do Klary, trzymając Yvonne za puls.

— Wiem... wiem... — w głosie Klary dźwięczała troska. — Ona traci równowagę duchową z każdą godziną bardziej. Ale co tu robić?

Spojrzał na nią.

— Pojutrze, sądzę, że będzie jej lepiej. Ona widocznie bała się podświadomie tego dochodzenia. A uchronić jej od tego niepodobna.

— Ja z nią nie mówię już wcale o tym okropnym zdarzeniu — rzekła Klara.

— Tak, ale ona wciąż to przeżywa w myśli i bodaj w snach i to ją zabija — rzekł lekarz, wracając do pacjentki. — W tutejszej atmosferze nigdy nie wróci do zdrowia. Przeciwnie, będzie jej coraz gorzej.

— Och, żeby już dzień dzisiejszy był poza nami! — jęknęła Klara.

— Wiem — rzekł major Nicholls — dla pani jest to straszne. Nie jest im pani potrzebna jako świadek?

— Ofiarowałam swoją obecność, ale kapitan Crofton uznał ją za zbędną. Był poza tym nader uprzejmy. Powiedział mi, że moje zaręczyny z Paxem będą z pewnością czynnikiem dodatnim dla jego sprawy, ale że nie ma powodu, abym zeznawała, bo mnie tu nie było owej nocy, a o naszych zaręczynach wszyscy już wiedzą.

Major Nicholls przeniósł znów uwagę na młodą dziewczynę.

— Jest pani w przykrej sytuacji — rzekł. — Ale to wkrótce minie. Ciężka próba! Zaiste!

— To chyba najcięższe przejście, jakie mogło mnie spotkać — rzekła Klara nagle.

— Tak nie można mówić. Mam nadzieję, że niebawem będę serdecznie wieszowała, pani i Paxowi. Może pani być pewna, że nie omieszkam uczynić dla państwa wszystkiego, co będzie w mojej mocy.

— Dziękuję. Żeby tylko ludzie byli przy zdrowych zmysłach! Tyle razy Pax powtarza im to samo, a oni wciąż wątpią o oczywistości... i dlaczego?...

— Widzi pani, trzeba się liczyć z prasą. Ta zaś nie toleruje zbyt łatwowiernych sędziów. Śledztwo musi iść zwykłym trybem.

Klara westchnęła. Nie zatrzymywała doktora. On nigdy nie niósł jej pociechy, wołała cierpieć w samotności.

Yvonne wciąż była usypiana sztucznie, gdyż na jawie dręczyły ją nerwy. Nie pamiętała właściwie, co się stało, ale żyła w ustawicznej trwodze. Wzywała Klarę rozpaczliwym głosem, ścisnęła jej rękę, całymi godzinami nie puszczając jej na krok od siebie. Klara nie odstępowała jej zresztą, ale to było wszystko, co mogła dla niej uczynić.

Yvonne była całkiem niezdolna do zeznań podczas sprawy. Instynktownie cieszyło to Klarę. Przeczuwała, że przed śmiercią brata zaszły tu rzeczy, które uczyniłyby to zeznanie czymś potwornym, przeciwnym interesom samej Yvonne. Nie byłaby umiała powiedzieć, dlaczego tak mniemała, ale w duchu była tego pewna. A przy tym jaka tortura być wypytywaną o pożycie intymne z mężem, zabitym w tak tragiczny sposób!

O Paxie myślała mniej. Jego sprawa była według niej czysta i jasna. Może dla niego byłoby lepiej, gdyby Yvonne zeznawała? Ale to nie było konieczne. Sam Crofton orzekł, że jej zaręczyny z oskarżonym są czynnikiem dodatnim dla jego sprawy. A to był najwyższy wysiłek, na jaki mogła się zdobyć w takim momencie. Poza tym jej rola była skończona na razie, pozostawało jej tylko czekać.

Podczas tego pamiętnego dnia, kiedy toczyła się rozprawa, Klara siedziała przy łóżku chorej i usiłowała się modlić. Ale była zbyt poruszona, ażeby znaleźć odpowiednie słowa. Nie wiedziała, o co prosić Boga. Zdawało jej się, że dla niej zgasło słońce, że gęste chmury zasnuwają jej horyzont.

Pragnęła pójść do sądu zaraz po sprawie, aby dowiedzieć się o wyniku, ale bała się pozostawić Yvonne samą. Mogła się obudzić, wezwać ją i dostać ataku strachu i spazmów, nie widząc jej przy sobie.

Ghulam został wezwany jako świadek, ale niebawem wróci i przyniesie wieści. Klara nie bardzo go lubiła, ale było niezbitym faktem, że Ghulam był bardzo przywiązany do swej pani. Była to psia natura, uwielbiał Yvonne i nie dopuszczał do niej nikogo, istny cerber. Może i teraz odwróci od niej niebezpieczeństwo. Jakże? Klara wzdrygnęła się. Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, a jednak bała się czegoś. I rzecz dziwna: nie o Paxa się bała, raczej o Yvonne.

Chyba już niebawem Ghulam wróci. Przecież Guy'a nie można wskrzesić, niestety, a zatem po co rozwlekać sprawę niepotrzebnie? Crofton powinien to zrozumieć.

Goście popołudnie wlokło się bez końca. Powinna była skorzystać ze snu Yvonne i odpocząć, ale nie miała chwili spokoju wewnętrznego. Chodziła tam i z powrotem po pokoju na chwiejnych nogach, z obolałą głową. Teraz wszystko już było skończone, może by się można było przespać? Nie, niemożliwe. Sen nie przychodzi. Klara porównywała siebie do więźnia mierzącego swą celę krokami i obijającego się o białe ściany, gdziekolwiek się zwróci.

Upał byłby ją strasznie dręczył kiedy indziej, ale dziś była to tylko jedna drobna nieprzyjemność więcej. Pragnęła z całej duszy uciec stąd i skryć się gdzieś, ale nie było dla niej ani dla Yvonne ucieczki w tym okropnym kraju.

Potem... potem... może zapanuje spokój, ale na razie sama myśl o nim była marzeniem poza granicą ziszczalności. Życie, jakie ongi prowadziła w Anglii, wydawało jej się szczytem pomyślności. Tutaj obracała się w innym świecie, wędrowała po jakimś muzeum okropności. Klara dodawała sobie otuchy, obiecywała sobie, że kiedyś rozwinie jeszcze skrzydła, że przywróci Yvonne utraconą siłę i żywotność. Ale na dnie jej duszy nie było wiary w tę lepszą przyszłość. Była przygnębiona.

Pod wieczór Yvonne zaczęła zdradzać przez sen oznaki niepokoju: świadomość wracała.

Klara podeszła do niej i wymówiła jej imię, ale Yvonne nie obudziła się jeszcze. Jęczała tylko i szeptała jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Klara widywała ją już w tym stanie i wiedziała, że major Nicholls z pewną obawą obserwuje te objawy, jakkolwiek nigdy o tym nie mówił. Jego sposób patrzenia na pacjentkę niejednokrotnie już napełnił Klarę dziwną trwogą, której przyczyn nie umiała określić bliżej.

Panując nad własnym zmęczeniem usiadła przy łóżku tak, ażeby Yvonne otwierając oczy dostrzegła ją natychmiast. Słyszała z pewnej odległości pobrzękiwanie filiżankami i spodkami: to służący przyrządzał herbatę. Klara pomyślała, że będzie to istny nektar po tym dniu pragnienia, upału i udręki.

Yvonne jęknęła głośniejsze, więc zwróciła się do niej:

— Nie śpisz, moja droga? Chcesz czegoś?

Yvonne otworzyła oczy i przyjrzała jej się. Było to spojrzenie na wpół przytomne, pełne przerażenia, dziwne...

— Klaro! — rzekła drżącym głosem — Nie pozwól Guy'owi przyjść tu znowu!

— Maleńka — odrzekła Klara łagodnie — nic ci nie grozi.

— Tak, dopóki ty tu jesteś, ale bez ciebie nie jestem bezpieczna, nigdy! Nigdy!

— Nic ci nie grozi — powtórzyła Klara.

— Czy go nie widzisz? — szepnęła Yvonne z obłądnym strachem rozglądając się dokoła. — O, tam... przy drzwiach... z latarką!... Klaro! Ukryj mnie! Ukryj mnie! Nie pozwól mu się zbliżyć!

— Cicho! Cicho! — rzekła Klara, przysuwając się do niej. — Nic ci nie grozi przy mnie.

Yvonne wybuchnęła płaczem.

— Zawsze mi coś grozi — rzekła — nigdy już nie będę bezpieczna teraz, po jego śmierci.

— Kochanie moje! — szeptała Klara. — Czy do tego stopnia?...

— Tak! Tak! — przerwała Yvonne z krzykiem. — Klaro! Czy on już odszedł? Czy jest jeszcze tutaj?

Klara czuła zimne dreszcze wzdłuż pleców, w głowie mąciło jej się z wrażenia, ale opanowała się i rzekła stanowczo:

— Nie ma tu nikogo, maleńka. Rozejrzyj się zresztą, a zobaczysz! Yvonne potrząsnęła głową odmownie i drżała na całym ciele.

— Ja zobacze go, nawet jeśli ty go nie widzisz — rzekła. — To jest właśnie to najgorsze, to najstraszniejsze. Och, Klaro, nie możesz opuścić mnie ani na chwilę, przyrzeknij, że mnie nie odstępisz.

— Nigdy, kochanie — odrzekła Klara spokojnie. — Chyba jeżeli ty sama tego kiedyś zażadasz. O, widzisz, podają nam herbatę. To nam dobrze zrobi, tobie i mnie.

Ale to nie służący z tacą wślizgnął się do pokoju, nie; to był Ghulam, cały w bieli, jakby się wyłonił z morskiej piany w cudownej wschodniej bajce.

Uśmiechnął się do Klary, ale natychmiast spojrzął z troskanym okiem na swą panią. Klara ułożyła ją na poduszkach, a Yvonne leżała teraz cicho, jak gdyby ten atak wyczerpał resztę jej sił.

Ghulam podszedł do łóżka.

— Pani! — wyszeptał — Pani! Yvonne otworzyła oczy.

— Ghulamie! — rzekła tonem dziwnej, głębokiej radości, jakby ujrzała nareszcie wybawiciela.

Ghulan zgiął się w pokłonie.

— Oto jestem, pani!

— Czy śledztwo skończone? — spytała Klara — Czy już po rozprawie?

— Wszystko skończone, pani — rzekł Ghulam patrząc na Yvonne. Klarze serce zabiło gwałtownie.

— A kapitan Packersley wolny? — odważyła się zapytać. Ghulam pochylił się ku niej.

— Pan kapitan wolny, czeka na panią, bo chce pani coś powiedzieć — rzekł szeptem.

Klara wstała. Pociemniało jej w oczach, z trudem utrzymała równowagę fizyczną.

— Gdzie? Tutaj?

— Czeka, miss — powtórzył Ghulam.

Klara drżąca ze wzruszenia, zwróciła się do Yvonne:

— Maleńka, muszę odejść na parę minut. Czy możesz obejść się beze mnie przez ten czas? Ghulam jest przy tobie.

Yvonne nie widziała jej. Oczy jej utkwione były w twarzy Ghulama, jak gdyby on był zbawieniem! On jeden.

— Tak, tak, zostaw tu Ghulama! — szepnęła.

Klara wyszła z pokoju, wstrząśnięta do dna duszy. Dręczyły ją liczne wątpliwości i szalona trwoga. Nigdy dotychczas nie zaznała tylu uczuć sprzecznych i bolesnych. Sama nie widziała, którądy idzie, bo w duszy jej zapanował ponury mrok, przesłaniający jej cały świat dokoła.

DŁUG HONOROWY

Zastanawiała się później, czy to jej śmiertelna bladość wywarła takie wrażenie na Paxie, że odruchowo porwał ją za ramiona i posadził na krześle. Jego obraz w tej chwili przypomniawszy sobie jak przez mgłę, widocznie wzruszenie jej było mocne i paraliżujące wszelkie władze fizyczne. Ale dominującą emocją nie był strach, z tego zdawała sobie teraz sprawę. Była to raczej świadomość, że stoi wobec punktu zwrotnego i że nie wolno się już cofnąć, że nie ma ucieczki.

Pax posadziwszy ją na krześle, klepał ją po ramieniu jak wystraszone dziecko i uspokajał ją, mówiąc, że wszystko zakończyło się pomyślnie i że nie ma powodu do takiego poruszenia.

Wierzyła mu, bo nie był on jednym z tych, którzy zwlekają z wyjawieniem złej wieści. Stopniowo odzyskiwała panowanie nad sobą i spokój wewnętrzny.

Zdobyła się nawet na uśmiech i rzekła słabym głosem:

— Śmieszna jestem! Ale to już minęło. Proszę, niech pan siada i opowiada, co zaszło.

Usiadł, zapalił papierosa.

— Czy wolno mi palić? A może i pani zapali? Będę się lepiej czuł, jeżeli pani będzie mi towarzyszyć.

Przyjęła papierosa. Podał jej ogień i zauważyła, że jego ręka nie drży.

— Zaszło to właśnie, czego się spodziewałem. Jestem uwolniony z powodu braku dowodów, ale wątpliwość trwa.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że brak również dostatecznych dowodów na poparcie

mego zeznania. Nie ma nikogo, kto by mógł je potwierdzić lub obalić. Wobec tego jestem wolny, ale gdybym po raz drugi kogoś zastrzelił, chociażby przypadkiem, prawo obeszloby się ze mną surowo.

Mówił tonem równym, pogodnym niemal. Wyglądał tak, jakby rozmawiał o najpotoczniejszych sprawach codziennych.

Klara uświadomiła sobie, że doznaje jednocześnie uczucia zmieszania i pociechy; niezadowolona była z samej siebie: dotychczas psychika jej nie bywała taka chaotyczna, taka zmacona.

— Obawiałam się czegoś gorszego — rzekła.

— Mogło być gorzej — przyznał. — Ale prawo obchodząc się łagodnie z domniemanym zbrodniarzem, nie zawsze kieruje się motywami humanitarnymi. Taki zbrodniarz zazwyczaj zdradzi się czymś prędzej czy później, albo też zdradzi go jakiś nieprzewidziany zbieg okoliczności i dlatego dobrze jest uspić jego obawy i dać mu możliwość wyjawienia prawdy mimo woli.

— Czy — rzekła Klara, pocierając ręką czoło — nigdy nie będziemy mogli żyć całkiem bezpieczni?

Pax palił papierosa w zamyśleniu.

— Nie sądzę, żeby tu zachodziło istotne niebezpieczeństwo. Wiem, ja dalece czysty jestem wobec własnego sumienia. Ale istnieje możliwość, że sprawa ta odżyje znowu, nawet po paru latach. Byle poszlaki mogą ją rozdmuchać na nowo.

— Ale przecież kapitan Crofton na pewno wierzy panu!

— Nie widzę, dlaczego miałby mi wierzyć. Czy którykolwiek człowiek wierzy w drugiego i przypuszcza o nim wszystko najlepsze bez niezbitych dowodów?

— Ależ dowodu ja mu dostarczyłam — rzekła Klara cichym głosem.

Pochylił głowę.

— Dla dobra pani bratowej. Czy pani sądzi, że on nie jest dość przebiegły, aby sobie zdawać z tego sprawę?

Zarumieniła się.

— Dlaczego pan tak mówi? Spojrzał jej prosto w oczy.

— Droga pani — odparł — całe miasteczko wie o tym.

— Wie o tym! Wie o czym? — spytała Klara zdławionym głosem.

— O tym, że nie ma pani ani przez chwilę zamiaru wyjścia za mnie za męża.

— Jak to?... Przecież dałam panu słowo.

— Czy dotrzyma *qo* pani?

Teraz wiedziała, co go sprowadza. Chciał wyjaśnić ostatecznie sytuację między nimi dwojgiem. Przyjął broń, którą mu ofiarowała przez wzgląd na Yvonne a nie na niego. Teraz zwracał jej tę broń, ponieważ gardził nią i sobą za użycie tej broni, tego wybiegu. Nagle oblał jej twarz rumieniec gorzkiego wstydu.

— Zawsze dotrzymuję przyrzeczeń — odrzekła dumnie — chyba że jestem z nich zwolniona.

— Aha! — odrzekł Pax swym spokojnym, obiektywnym tonem. — A zatem prosi pani o zwolnienie z danego mi słowa, czy tak?

Podniosła się.

— O nic nie proszę — rzekła lodowatym głosem, a w duszy czuła gorejący płomień. — Jestem przygotowana na dotrzymanie słowa, dopóki... — urwała, kręcąc instynktownie sygnet w palcach.

— Dopóki? — rzekł Pax. On również wstał z krzesła i stał na wprost niej. Ale w postawie jego nie było nic wyzywającego. Był grzeczny i wyczekujący.

— Dopóki mnie pan nie zwolni, dlatego, że pan nie będzie chciał naszego związku — odrzekła Klara coraz ciszej. Pax zamyślił się.

— Nie o to chodzi — rzekł ze smętnym uśmiechem. — Ale widzi pani, najważniejsza przeszkoda w pani oczach, moja kariera wojskowa, mój zawód, który przedkładałem ponad wszystko, ta przeszkoda upadła: podałem się do dymisji. Nie mogłem postąpić inaczej po tym, co zaszło.

— O mój Boże! — wyrwało się z ust Klary, przerażonej tą nową tragedią.

— Sądziłem, że to będzie raczej przemawiało za mną.

— Czy pan sądzi, że jestem potworem egoizmu? — wykrzyknęła z rozpaczą.

— Bynajmniej — odrzekł pogodnie — zdziwi się pani, ale szczerze mówiąc, doszedłem do wniosku, że ma pani słuszność i podzieliłem pani punkt widzenia.

— Niech pan tak nie mówi! — jęknęła.

— Niech się pani tak nie przejmuje — prosił łagodnie uśmiechając się do niej. — Wielu ludzi będzie mi zazdrościć. Kapitan Crofton jest mądrym sędzią, on na pewno uważa, że mi się udało.

— Ale przecież oni się orientują, że to naprawdę był wypadek! A pan mówi tak, jak gdyby...

— Patrzę tylko na rzeczy z ich punktu widzenia — odrzekł Pax sucho.

— A więc to, co uczyniłam, na nic się nie zdało? — szepnęła ze smutkiem.

— To zależy — rzekł Pax.

— Od czego? — spytała zdyszczanym głosem.

— Od pani wyłącznie. Pani oznajmiła światu nasze zaręczyny. Pani decyduje, co ma stać się dalej. Ja jestem do pani dyspozycji.

Czy w jego głosie brzmiała ironia? Starła się dociec tego, ale daremnie. Rozpacz ją ogarniała, uświadamiała sobie swą odpowiedzialność i swą niemoc zarazem.

— Nie wiem, co powiedzieć, co uczynić — rzekła. — Pan posądzi mnie niewątpliwie o brak serca, ale... Yvonne jest w tej chwili jedyną osobą, o której wolno mi myśleć. Mogę uczynić tylko to, co dla niej będzie najlepsze.

— Przewidywałem tę odpowiedź — rzekł Pax. — Ciekawe... Ja sam o niej myślałem również.

— Pan? — odczuła niewypowiedzianą wdzięczność.

— Tak. Pani wie, że nie mogło być mowy o jakiejś aferze miłosnej pomiędzy Yvonne a mną. Ale nie wszyscy są tego zdania. Yvonne niestety próbowała swego wdzięku na wielu mężczyznach i nie wszyscy chcą wierzyć, że właśnie mnie nie było wśród tych oczarowanych. Gdyby mnie oskarżono o zabójstwo, ona zostałaby niezawodnie oskarżona o udział w zbrodni. Pani uczynek zapobiegł temu w znacznej mierze, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie jest zażegnane. Może się zjawić znowu.

— Wiem — rzekła Klara znękany głosem. — Wiem. Liczyłam się z tym ciągle. Ona tak się bała Guy'a. Teraz to dopiero widzę, a to komplikuje sprawę.

— Oczywiście — przyznał Pax. — Gdyby sędzia wiedział o tej

obawie, uważałby to za poszlakę zbrodni: chciała się go pozbyć, ja stałem się narzędziem. Na to jest tylko jedna rada, o ile ja się orientuję.

— Jaka? — Pytanie młodej dziewczyny brzmiało beznadziejnie. Czowała swą bezsilność wobec przytłaczającej rzeczywistości.

— Wymaga to pewnego ryzyka z naszej strony... ale chyba niezbyt wielkiego. Musiałaby pani mianowicie posunąć się jeszcze dalej na drodze ofiar i... wyjść za mnie za mąż.

Klara wiedziała, że on to powie, a jednak nie była przygotowana na te słowa. Jego spokój hipnotyzował ją. Zdumiona była sposobem, w jaki on przyjmował jej ofiarę, w jaki żądał wychylenia kielicha do dna. Spojrzała na niego niemal błagalnie.

— Czy nie ma innego sposobu? — spytała. — Czy pan jest tego pewien?

— Nie widzę innego wyjścia. Ludzie powiedzieliby w razie zerwania, że nasze zaręczyny były bluffem i miałiby słuszość. Co do mnie, zgadzam się, żeby mówili, co im się żywnie podoba. Ale, na nieszczęście, nie jest to takie proste... W sprawę tę wmieszana jest pani sama, a zwłaszcza Yvonne, tak że nie widzę, jak pani mogłaby się wycofać.

— Wyjedziemy obie z Indii — rzekła Klara szybko.

— Ja też. Ale skoro tylko dojedziemy do Anglii znajdziemy się wszyscy w szponach reporterów z całego świata. W Ameryce ci ludzie wskakują do łodzi i zanim pasażerowie zdążą wylądować, już są przedmiotem ich badań.

— O Boże! — rzekła Klara, przerażona — Ja temu nie sprostam, Yvonne tym mniej. To straszne!

— W tej sytuacji mógłbym się może przydać jako milczący, surowy małżonek, powstrzymujący swym autorytetem tę niedyskretną horde. Do tego nadawałbym się chyba, o ile mi pani pozwoli spróbować, czy chociaż to potrafię.

— Niech pan tak nie mówi!

Uśmiechnął się po raz pierwszy wesoło i serdecznie.

— Będzie to sytuacja, którą krytyka literacka określa jako typową sytuację z powieści Ethel M. Dell. Lubię tę autorkę. Jest to dla mnie najsympatyczniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek istniała. Tyle w niej tętni życia, tak świetnie umie zwyciężać bieg czasu!

— Ja jej nie lubię — rzekła Klara — jest rozpaczliwie niedzisiejsza.

— Ale nasze dzisiaj wypływa z naszego wczoraj, a nasze jutro bywa do tegoż wczoraj zdumiewająco podobne. Zresztą natura ludzka jest jednakowa zawsze i wszędzie. Tylko zwyczaje, czyli objawy zewnętrzne różnią się w zależności od epoki i klimatu.

— Możliwe. Wracając do naszej aktualności, nie lubię przymusu.

— Zwłaszcza gdy chodzi o małżeństwo?

— Z dellowskim bohaterem — dodała uśmiechając się po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy.

— Na ten tytuł nie zasługuję; nie jestem ani dość ładny, ani dość brzydki — zaprotestował. — Jestem przeciętnym typem, ale chciałbym być pożyteczny. Radzę pani obiektywnie w tej chwili: niech pani wyjdzie za mąż za mnie, o ile pani zdoła się przemóc! Zostawię panią samą, aby dać pani możliwość spokojnego przemyślenia tej sprawy. Tak będzie najlepiej.

Podawała mu rękę bierną, apatyczną.

— Muszę ci jedno powiedzieć, Paxie — rzekła patrząc mu w oczy.

— Słucham! — odrzekł przytrzymując jej rękę.

— Musisz się pogodzić z myślą, że dopóki Yvonne nie wyzdrowieje, ona będzie miała pierwszeństwo w moim domu przede mną samą i przed... tobą.

— To jest zrozumiałe — odrzekł Pax miękko — i o ile tylko będę mógł ci pomóc w pielęgnowaniu jej, uczynię to najchętniej.

— Doprawdy? — spytała Klara patrząc mu bystro w twarz. Wytrzymał to spojrzenie.

— Tak, Klaro.

— A zatem?... Jakiej treści bilet mam ci przysłać jutro?

— Jakiej będziesz uważała za stosowne. Wystarczy jeden wyraz: tak, albo nie.

— Dobrze. Dobranoc. Do jutra.

— Dziękuję — rzekł Pax spokojnie. — Dobranoc. Wskoczył oknem. Zacerpnął powietrza w płuca, gdy już był poza

willą Chisledonów, ale nie zwolnił kroku. Wyglądał teraz jak człowiek, który już się zbliża do kresu swych możliwości psychicznych. To wyrażała jego twarz, ale postawa była zwykła: trzymał się jak żołnierz podczas parady.

ODPOWIEDŹ

Pax siedział samotny w swej willi. Postanowił nie iść do kasyna. Nikt go tam nie oczekiwał po tym, co zaszło i nikt nie zauważył jego nieobecności. Odesłał nawet Petersa wróciwszy do domu, gdyż bezpośrednio po rozmowie z Klarą nie mógł znieść widoku obcych twarzy. Dlaczego tak ciężko dotknęła go ta rozmowa, nie umiałby sam określić, ale faktem było, że dzień ten pozostanie pamiętny w jego życiu. Pragnął dokończyć go w spokoju i ciszy.

Jedyną jego towarzyszką była Elfryda. Rad był, że ma to poczciwe zwierzę przy sobie. Jej taktowne milczenie, smutek wejrzenia, solidaryzujący się najwyraźniej z jego nastrojem, przynosiły mu ulgę.

Tak, ciężka była świadomość, że jego kariera wojskowa jest skończona. Wypełniała ona jego dotychczasowe życie. Miał wprawdzie w Anglii krewnych, ale niewielu; każdy z nich był zajęty własnym losem. Brat jego, o kilka lat starszy, mieszkał w Navy, siostra znacznie od niego młodsza, zamężna była w Midlandzie. Rodzice odumarli go, gdy był małym chłopcem. Żyli jeszcze różni wujowie i kilka ciotek, ale nie utrzymywał z nimi stosunków od szeregu lat, a teraz z pewnością nie będą sobie życzyli wznowienia kontaktu z człowiekiem, który zdobył smutny rozgłos zabijając szefa i kolegę, chociażby przypadkiem. Jak słusznie powiedział Klarze, korzystał z braku dowodów, ale wątpliwość pozostawała i przed nią nie zdoła uciec nigdzie. Wszędzie ścigać go będzie ta chmura zawieszona nad jego głową. Wszędzie ścigać go będzie wyrzut sumienia, gdyż skłamał, nie wyjawiał sędziom prawdy. Ale o tym Klara nie wiedziała, tego nie dowie się nigdy. Zaufała mu wspaniale,

wzruszająco, wbrew opinii całego świata! Prawda, że uczyniła to dla Yvonne, nie dla niego. Ale fakt pozostaje faktem. A przy tym ona wierzyła, że on nie kłamie.

— I to jest właśnie moją udręką — rzekł głośno do samego siebie. Kłamstwo to było nieuniknione, ale jego instynkt prawości burzył

się ciągle. Kilkakrotnie mówił sobie, że prawda byłaby wybawiła wszystkich, że nawet Yvonne nic nie groziło, bo w jej złą wolę nikt by nie był uwierzył; ale nakazał milczenie tym wewnętrznym poszeptom. Czy źle czy dobrze postąpił, faktem jest, że wziął winę na siebie. Yvonne była zbyt wytracona z równowagi, za mało inteligentna, ażeby móc się bronić konsekwentnie. Klara poradziłaby sobie. Ale Klara nie mogła żadną miarą znaleźć się w podobnej sytuacji. Ona nie byłaby zdolna przemienić tyrana w rozszalałą bestię, szukającą zemsty za wszelką cenę. Ona nie dałaby powodów do zemsty.

Pewne okoliczności, powszechnie znane opinii byłyby mogły obciążyć Yvonne tak, że nieuchronnie zostałaby skazana za rozmyślne zabójstwo. Nie miał zatem wyboru. Wyjawienie prawdy byłoby teraz z jego strony aktem zdrady i to zdrady wobec Klary. Wolałby zostać skazany za morderstwo.

Ale to się nie stało. Natomiast groziła mu ruina, a chociaż postanowił odbudować na innych podstawach swe życie, to jednak nie widział jeszcze jasno wytkniętej drogi przed sobą. Gęsta chmura zaciemniła cały horyzont i paraliżowała jego umysł.

Siedział przygnębiony, głaszcząc machinalnie głowę Elfydy. Wtem szczeknięcie psa zwróciło jego głowę: na werandzie zjawiała się postać mężczyzny. Pax zerwał się szybko i wybiegł naprzeciw gościowi. Był nim pułkownik Risborough. Szedł ku Paxowi blady, mizerniejszy niż zwykle, z wyciągniętą dłonią.

— Jak pięknie z pana strony, sir!... — wyjąkał Pax wzruszony.

— Mój drogi chłopcze! — odrzekł pułkownik zdławionym głosem. Stali na wprost siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę.

— Proszę, niech pan siądzie, panie pułkowniku! — rzekł Pax.

— Nie, dziękuję. Nie mam czasu. Wstąpiłem po drodze do kasyna. Mój drogi chłopcze, tak bym chciał ci dopomóc! Daj mi tylko tę możliwość! Ja nie jestem Croftonem. Przychodzę do ciebie jako przyjaciel, pragnę ocalić twoją karierę wojskową w interesie twoim, naszej armii

i moim własnym. Otóż błagam cię, Pax, dostarcz mi poufnie niezbitych dowodów, że ty go zabiłeś przez pomyłkę, a zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, abyś pozostał w wojsku, w moim pułku!

— Panie pułkownik[^] — odrzekł Pax — dziękuję z całego serca! Postępowanie pana jest wręcz rozrzucające. Ale nie mam rady na to, co jest nieuniknione... Jeżeli pan mi nie wierzy, to boleję nad tym głęboko, bo cenię zdanie pana nade wszystko. Ale nic więcej powiedzieć nie mogę poufnie ponad to, co już oświadczyłem oficjalnie. Nie mogę pana przekonać niczym...

— Nie o to chodzi — odrzekł z godnością pułkownik. — Ja ci wierzę, ale sam wiesz, że nie należysz do natur wylewnych. Niewątpliwie powiedziałeś prawdę, ale może niecałą prawdę. I to przemawia przeciw tobie. Dlatego chcę cię podeprzeć moim autorytetem. Ja ci wierzę i będę ci wierzył zawsze, ale musisz i ty zwierzyć mi się ze wszystkiego. A cokolwiek mi powiesz, pozostanie między nami. To wiesz również.

Głos jego stał się proszący przy ostatnich słowach.

— Nie umiem panu wypowiedzieć mej wdzięczności, sir — odrzekł Pax — ale niestety, nie mam nic do dodania na ten temat. Czy wolno pana poczęstować jakimś napojem?

Pułkownik westchnął i pogodził się ze swą porażką.

— Według mnie popełniasz błąd — rzekł — ale nie mogę cię od tego ustrzec. Nie, dziękuję, nie napiję się teraz niczego. A cóż z twymi zaręczynami? Czy trwają jeszcze? Nie odpowiadaj, o ile moje pytanie jest nie na miejscu!

— Jest ono bardzo na miejscu — odrzekł Pax siląc się na uśmiech — czekam obecnie na ostateczną odpowiedź mojej narzeczonej. Jak sam pan widzi, niewielką wartość przedstawiam dzisiaj. Ale nie do mnie należy decyzja.

Pułkownik zwrócił się ku młodemu człowiekowi niespodziewanym ruchem i położył dłoń na jego ramieniu.

— Kochasz ją, Paxie? — spytał poważnie.

— Naturalnie — odrzekł kapitan sztywno, jak gdyby szło o sprawę wojskową, a nie o miłość.

— Bogu dzięki i za to! — westchnął pułkownik. — Ale gdyby moja żona, lub ja sam, gdybyśmy mogli być ci użyteczni w czymkolwiek, na przykład w kwestii małżeństwa, daj nam znać, a możesz na nas polegać.

— Dziękuję, sir — odrzekł Pax. Pułkownik przycisnął lekko jego ramię.

— Z nikim nie rozstawałbym się tak niechętnie jak z tobą — rzekł serdecznie. — Dobranoc.

Pax automatycznie podniósł rękę do góry i spojrzał w oczy swemu szefowi.

— Dziękuję, sir — rzekł znowu machinalnie — dobranoc! Tylko uścisk jego dłoni był świadectwem, że ten człowiek jest

przytomny, że odczuwa, i to głęboko, wrażenia i wzruszenia, jakie przeżywa.

W parę minut po odejściu pułkownika przyszedł zdyszany Peters.

Kapitan oznajmił mu ze spokojem, że niebawem opuszcza armię. Peters przyjął nowinę z niedowierzaniem, a wreszcie ze zmartwieniem. Ale to niedługo trwało. Twarz jego rozjaśniła się.

— Panie kapitanie, jeżeli oni pana puszcza, to i ja podam się do dymisji, nie zostanę ani chwili w Indiach bez pana i znowu będę panu służył w Anglii lub gdzieś tam, het, na świecie, dokąd pana losy zawiodą.

Pax wzruszony tym nowym dowodem przyjaźni i wierności ze strony zacnego sługi, usiłował go odwieść od tego zamiaru. Ale Peters był niezachwianie stanowczy. Stawiał opór w sposób pełen szacunku, lecz niemniej obstawał przy swoim.

— Ależ, Petersie, ja nie będę mógł teraz pozwolić sobie na twe usługi! — rzekł w końcu Pax ze smutkiem.

— Proszę pana, ja nie proszę o płacę, da mi pan tylko utrzymanie, a ja będę najszcześniejszym z ludzi, że wolno mi usługiwać memu kochanemu panu.

Biedny człowiek mówiąc to był czerwony jak burak. Spuścił oczy i stał nieruchomy. Pax milczał przez chwilę, wreszcie wstał i wyciągnął rękę do służącego.

— Dziękuję, Petersie! — rzekł z prostotą.

— Niech pan tak nie mówi do mnie, sir! — odrzekł Peters łykając łzy i ujmując z szacunkiem dłoń swego pana.

— Ale nie jesteś mądry — rzekł Pax.

— Dumny z tego jestem — odrzekł Peters.

— Zabiorę cię ze sobą, Petersie.

— Dobrze, sir.

— I Elfrydę zabierzemy. Pan Markham życzy sobie tego.

— Dobrze, sir, będę jej doglądał w czasie podróży.

— Doskonale! — uśmiechnął się Pax. — Patrz no! Ktoś idzie! Poszedł ku drzwiorą- werandy i spotkał Ghulama wchodzącego na schodki.

Hindus zgiął się wpół i podał kapitanowi papier.

— Od miss Chisledon — rzekł. — Nie ma odpowiedzi.

— W porządku! — rzekł Pax. — Możesz odejść.

Ghulam zgiął się powtórnie i zniknął bez szmeru, podobnie jak przyszedł.

Peters miał zamiar usunąć się również.

— Możesz pozostać — rzekł Pax.

Otworzył pismo. Zawierało ono jedno tylko zdanie:

Tak, wyjdę za Pana za mąż i spróbuję być Pańskim wiernym przyjacielem, ale musi Pan pamiętać, że Yvonne będzie u mnie na pierwszym planie we dnie i w nocy, zawsze.

Klara

Pax podniósł oczy. Był blady, ale zupełnie opanowany.

— Petersie!

— Sir!

— Zapomniałem ci powiedzieć jeszcze coś, o czym zresztą już może słyszałeś — rzucił Pax jakby od niechcienia. —

Miss Chisledon zaszczyca mnie darem swej ręki, zostanie moją żoną.

— Doprawdy, sir?

— Tak, Petersie. Prawdopodobnie pobierzemy się przed wyjazdem z Indii.

— Cieszę się, sir. Same dobre nowiny właściwie, gdy się nad tym wszystkim zastanawiam!

— Może masz słuszość, Petersie — odrzekł Pax zamyślony — może to wszystko jest lepsze w gruncie rzeczy, niż mi się zrazu wydawało! Będzie, co Bóg da!

WIZJA

W tydzień później Klara obudziła się w dniu swego ślubu, zmęczona ubiegłymi dniami gorączkowych przygotowań. Była oszołomiona tempem wypadków. Paxa prawie nie widywała. Kilka razy zaledwie rozmawiali po parę minut o najniezbędniejszych szczegółach praktycznych, które należało ustalić. Trzeba było myśleć o tylu rzeczach, tyle spraw załatwić, zapakować taką ilość rzeczy przed wyjazdem do Anglii! A przy tym pielęgnowanie Yvonne, ta ciągła, obawa o nią! Bo stan chorej nie poprawił się bynajmniej, a major Nicholls twierdził, że to nastąpi dopiero po wyjeździe z Bhanapore. Zbyt silnego doznała wstrząsu, zbyt głębokiej uległa depresji. Major Nicholls dokładał wszelkich starań, aby ją uzdrowić, ale za nic nie ręczył, o ile chora nie zmieni jak najprędzej otoczenia i warunków. Major pośpinał coraz bardziej przy łożu pacjentki, coraz mniej miał nadziei. Klara sama nie pragnęła bynajmniej zwłoki. Pilno jej było stąd wyjeżdżać. Całe Indie obrzydły jej, chciała uciec jak najdalej.

Dlatego też chętnie ubierała się teraz do tego dziwnego ślubu z człowiekiem mało sobie znanym, dość skrytym, nieprzystępnym, człowiekiem, w którego życiu był czyn nie wyjaśniony, tak bezpośrednio jej dotyczący. Gdy się jej oświadczył po raz pierwszy, doznała wielkiego zdziwienia, ale od czasu, kiedy wypadki potoczyły się z tą zawrotną szybkością, przestała analizować swe uczucia. I dziś, w dniu swego ślubu, była zbyt poruszona, zbyt zmaćcone miała myśli, aby móc się rozejrzeć w sytuacji z nieodzownym do tego skupieniem. Życie miotało nią od paru tygodni. Czuła się jak wędrowiec w nieznanej okolicy,

który instynktowi tylko ufając unika katastrof i zatrzymuje się nad samym brzegiem przepaści.

Pax był środkiem do tego właśnie celu. Tylko w tym charakterze widziała go w swych myślach. Wierzyła, że jest on dobrym człowiekiem, do pewnego stopnia ofiarą losu, podobnie jak ona sama. Wierzyła, że dzięki ich małżeństwu honor jego zostanie oczyszczony, że uwolni się od wszelkich podejrzeń, jakie na nim zaciążyły. W pewnej mierze oddała mu też Yvonne pod opiekę.

Miała dziwne wrażenie: uważała za swój obowiązek oddanie mu swej ręki właśnie dlatego, że stał pod zarzutem zastrzelenia Guy'a. Było to zresztą, mówiła sobie, w interesie Yvonne i Guy'a samego, a raczej jego pamięci. Nikt by nie uwierzył w przeciwnym razie, że całe to zdarzenie było dziełem przypadku. Ale też nikt nie posądzi jej, że wychodzi za mąż za zabójcę swego brata. Uwalniała jego i Yvonne od wszelkich podejrzeń. Guy byłby z niej zadowolony; to jedyne rozwiązanie. Guy lubił Paxa, tego była pewna. Wspominał o nim kilkakrotnie w formie aluzji, a teraz, niestety, nie mógł jej poprowadzić do ślubu.

Zastąpi go pułkownik Risborough. Ten podjął się wszelkich formalności z wyjątkiem tych, które Pax załatwił sam ze zwykłą sobie energią. Yvonne była jeszcze wciąż pogrążona w tym półodrętwieniu, z którego major Nicholls nie mógł jej żadną miarą wyrwać. Pani Risborough obiecała przyjść na cały czas obrzędu ślubnego i posiedzieć przy chorej w nieobecności Klary. Ślub miał się odbyć w kościele garnizonowym. Ghulam również pozostanie w domu. Klara była teraz zależna od Ghulama, gdyż ten zdawał się wywierać magnetyczny wpływ na Yvonne. Na wyraźne życzenie chorej Ghulam miał z nimi pojechać do Anglii. Klara wiedziała z góry, że w czasie podróży odda on nieocenione usługi.

Za dwie godziny wyjadą do kościoła. Nareszcie wszystko jest gotowe. Wyteżona praca ubiegłego tygodnia nie była daremna. I tu już wykazał Ghulam swą wyjątkową sprawność i dzielność. Prawdopodobnie stanie się niezbędny w przyszłości, owej przyszłości, o której Klara nie śmie myśleć i której nie może sobie jeszcze uprzytomnić. Zresztą wystarcza, że już dzisiaj jest on nieodzowny Yvonne. Yvonne ma tak mało życzeń obecnie!

Tak więc z apatią i ulgą zarazem przygotowywała się do ostatniego dziwnego epizodu, który zamykał jej pobyt w Bhanapore.

Upał zaczynał straszliwie dawać się we znaki. Klara zadawała sobie trwożne pytanie, czyjej wytrzymałość fizyczna okaże się wystarczająca wobec czekających ją zadań. Pocieszała się myślą, że Pax ułatwi jej wszystko, że już od tej chwili nie będzie skazana na samotną walkę. Wierzyła niezłomnie w jego przyrzeczenie i w jego energię życiową. Ubrała się w niepokalaną biel, uśmiechając się ironicznie do siebie samej. Nie mogła brać ślubu w żałobie. Guy sam byłby się zaśmiał na tę myśl. Białość sukni i kapelusza uwydatniała jej kredową cerę. Wyglądała w zwierciadle jak upiór, ale nie miała pod ręką kosmetyków, więc nie było na to rady. Będzie to przykre dla Paxa, ale będzie musiał się z tym pogodzić. Przywykł z resztą nie od dzisiaj do jej mizernego wyglądu.

Była gotowa. W parę minut później usłyszała przed drzwiami willi sygnał samochodowy pułkownika Risborough. Uklękła przy łóżku, ale nie mogła skupić się dostatecznie do modlitwy.

— Boże, dopomóż mi! Taka jestem okropnie zmęczona! — to było wszystko, na co się zdobyła.

Po chwili zupełnej ciszy, która wydała jej się odpoczynkiem, wyszła na werandę.

Upał uderzył ją niczym młotem pomiędzy oczy. Słabła. W tejże chwili otoczyła ją ramieniem pani Risborough.

— Źle wyglądasz, biedactwo! — rzekła tuląc ją do siebie. — Jak się miewa Yvonne?

— Bez zmiany — odrzekła Klara. — Cieszę się, że ją stąd niebawem wywiozę.

— Całe szczęście, że Pax będzie przy was i że będzie was doglądał. Klara nic nie odpowiedziała. Zeszła ze schodków i podała rękę

pułkownikowi, który czekał w samochodzie.

— Już gotowa? — spytał przypatrując się ze zdziwieniem tej bladej, ale całkiem opanowanej twarzy dziewczęcej. —

No, to chyba pojedziemy? Pax już czeka w kościele.

Wsiadła do samochodu i zajęła miejsce przy nim.

— Tak, nie traćmy czasu — rzekła. — Tyle jeszcze jest roboty! Wyruszyli. Pułkownik kilkakrotnie spojrzał znad kierownicy na swą

towarzyszkę. Było coś w tej bladej, opanowanej twarzy, co wzbudzało w nim podziw i nieskończone współczucie. Nie śmiał się odzywać do tej tragicznej panny młodej.

Wreszcie przybyli na miejsce. Pułkownik wysiadł, podał rękę Klarze. Po czym ujął przyjacielskim ruchem jej ramię i poprowadził ją ku wejściu do kaplicy garnizonowej.

Klara z trudem oddychała. Upał męczył ją niewymownie. Ujrzała przed sobą jak przez mgłę znajomą twarz Petersa.

— Przybyliśmy oboje, miss, Elfryda i ja! — rzekł wierny sługa, wystrojony jak nigdy dotychczas.

— Jak to ładnie z waszej strony, żeście przyszli oboje! — odrzekła Klara z uśmiechem.

Poszli dalej w kierunku ołtarza, mijając rzędy pustych krzesel. Pax kroczył poważnie im naprzeciw. Duchowny czekał już na narzeczonych, a gdy stanęli przed nim, Klara zobaczyła ze zdziwieniem Chrisa Markhama przy boku Paxa. Nie zdążyła uśmiechnąć się do niego, bo już rozpoczął się obrzęd zaślubin.

Zanim ochłonęła z wrażenia, usłyszała już spokojny, donośny głos Paxa, wymawiający słowa przysięgi. Ogarnęła ją szalona trwoga. Teraz na nią przyjdzie kolej! Usłyszała głos duchownego, zwracający się do niej z pytaniem, jasnym, wyraźnym, przenikającym ostro w jej duszę. Czowała, że drży. Bała się.

Duchowny zamilkł, w kościele zapanowała cisza. Czekano na jej odpowiedź. Przybyła tu, ażeby dać tę odpowiedź. Ale po prostu — nie mogła. Krtań jej była wyschnięta, nabrzmiała, sparaliżowana. Wykonała gest spazmatyczny niemal. Przed oczami widziała koła, czarne, wielkie koła. A spoza nich wyłaniała się twarz Guy'a z uśmiechem na ustach, drwiącym, okrutnym uśmiechem i z surowym pytaniem w oczach. Teraz nagle wątpiła, czy Guy pochwala ten związek. Wszystkie jej argumenty i motywy zostały rozwiane. Westchnęła lekko i pochyliła głowę na bok.

Ktoś mówił do niej łagodnie, czule. Poczwała lód na wargach. — Wszystko będzie dobrze... — upewniał głos. — Trzeba się tylko napić... Powoli. Mamy czas.

Spróbowała umaczać wargi, ale poczuła natychmiast, że woda spływa jej po brodzie.

— Już trochę lepiej, prawda? — spytał Pax. — Teraz posiedzimy chwileczkę, o tak, zupełnie spokojnie. Za wielki upał dla ciebie, ale nie lękaj się niczego.

Otworzyła oczy i ujrzała go: stał pochylony ku niej, opanowany jak zawsze.

Za nim widniał ołtarz ze złotym krzyżem. Siedziała na krześle w pierwszym rzędzie, a Pax podtrzymywał ją. Ksiądz stał po drugiej stronie, poza tym nie było nikogo. Domyśliła się, że tamci dwaj panowie są gdzieś w głębi świątyni.

— Może wolałaby pani odłożyć ślub na inny dzień — zaproponował ksiądz.

Był to młody, poważny człowiek. W jego głosie wyczuła nutę współczucia.

— Nie sądzę, aby to było konieczne — odezwał się Pax. — Moja narzeczona odzyska równowagę za chwilę.

Zwracał się do niej. Wzywał ją poniekąd. Odpowiedziała jak automat:

— Nie, nie, nie potrzeba. Tak mi... przykro...

— Napij się jeszcze wody! — rzekł Pax zbliżając szklanę do jej ust Piła czując, że nie ma tu wyboru, że musi się poddać. Stopniowo

widziała jaśniej otaczające ją przedmioty.

— Teraz już mi dobrze — rzekła.

— Możemy dokończyć obrzędu? — spytał ksiądz zwracając się do niej.

— Jesteś gotowa? — spytał Pax.

— Tak, jestem gotowa — odrzekła stanowczo.

Pomógł jej wstać. Ksiądz wolnym krokiem powrócił na swe miejsce Pułkownik Risborough podszedł i podał jej ramię z drugiej strony

W kilka minut później klęczeli oboje przed ołtarzem, a gdy powstali, byli małżeństwem, mężem i żoną.

NIEZNANA SIŁA

Przez cały dzień rozmyślała o słowach pani Risborough, dotyczących podróży Yvonne i Paxa. Tak, on zaopiekuje się nimi. Teraz, kiedy już było po ślubie, Klara patrzyła z całym spokojem w przyszłość. Zajęta była głównie przygotowaniem do dalekiej drogi, tak ryzykownej ze względu na stan Yvonne.

Chris przy wyjściu z kościoła uściśnął jej rękę i zapytał szeptem o zdrowie Yvonne. Nie winał jej, nie traktował jej ślubu jak zwykłego związku małżeńskiego. Przy tym zwracał większą uwagę na Paxa niż na nią, ale tego nie brała mu bynajmniej za złe.

Pułkownik Risborough wrócił z nimi do willi, gdzie zjedli pośpiesznie śniadanie, zanim przystąpili do dalszych przygotowań. Pax nie śpieszył się nigdy, kierował wszystkim pewną dłońią, z całym spokojem. Spokój ten był idealnym lekarstwem na nerwy. Klara dziwiła się własnej beztrójce i ufności w przyszłość. Wreszcie wybiła godzina odjazdu.

Yvonne poddawała się koniecznemu zakłóceniu jej spokoju z zupełną apatią. Poruszała się jak lunatyczka. Gdy Klara oznajmiła, że odbył się jej ślub z Paxem, nie była pewna, czy ta wiadomość dotarła do chorego mózgu bratowej. Ale Klary to nie zdziwiło, gdyż porównywała tę nieświadomość ze swoim własnym samopoczuciem: i jej się zdawało chwilami, że to niemożliwe, że to sen. Miała nadzieję, że Yvonne powoli rozbudzi się, powróci do życia, w miarę jak oddalać się będzie od tutejszych warunków psychicznych i fizycznych. Może u brzegów Anglii zmartwychwstanie dawna Yvonne. Może nawet zdoła tam odzyskać utracone szczęście.

Trochę się bała podróży, ale pocieszała ją myśl, że Yvonne zawsze dobrze znosiła upał. O sobie nie myślała wcale. Pax myślał za nią. W Bombaju zastała, wysiadając z pociągu, przygotowania do dalszej drogi już poczynione. Zapewniały jej one jak największy komfort. Chciała podziękować mu za tę pieczołowitość, ale nie mogła się zdobyć na wyrazy wdzięczności.

Udział w podróży Petersa i Elfrydy był dla niej niespodzianką, ale raczej przyjemną.

Peters był uosobieniem nieświadomego komizmu, tak że wnosił nutę wesołości, za którą Klara była mu szczerze wdzięczna. Elfryda zdradzała przywiązanie do swej nowej pani. Pax stosunkowo mało przebywał z żoną, zajęty był ciągle jakimiś formalnościami, ona zaś pielęgnowaniem Yvonne.

Pierwszego dnia w wagonie Klara ułożyła do snu Yvonne. Upłynęło dużo czasu, zanim nareszcie była wolna i o tyle spokojna, że mogła wrócić do ich przedziału. Pax siedział tu i wyglądał jak człowiek, który gotów jest czekać spokojnie jeszcze kilka godzin, o ile okaże się to konieczne.

— O, przepraszam cię bardzo! — rzekła.

— Droga moja! Nie traćmy na próżno energii na czcze słów! Siadaj, a ja przyniosę ci jakiś napój chłodzący.

Gdy została sama, oparła głowę o poduszki wagonu. Czuła ostry ból w skroniach. Była bierna, przemęczona fizycznie.

Ale gdy skosztowała tego napoju, który przyniósł, otworzyła oczy szeroko i spojrzała na Paxa z wdzięcznością: był to zamrożony szampan.

— Paxie, jakiś ty dobry! Ale nie powinieneś...

— Sam lepiej wiem, co powinienem — przerwał sucho. — Wypij to duszkiem. To konieczne w tej chwili!

Trochę szemrała, ale wypila wszystko. Miał wszakże prawo komenderować, zgodziła się na to z góry.

Chciała mu podziękować powtórnie, ale nie dopuścił do tego:

— Nie trać sił na próżne słowa — rzekł znowu. — Dużo ci jeszcze energii będzie potrzeba.

Uśmiechnęła się i ustąpiła.

Odświeżona, orzeźwiona, poszła z nim na obiad wieczorny. Doznawała dziwnego uczucia siedząc w wagonie restauracyjnym na

wprost tego człowieka, który w gruncie rzeczy był jej tak mało znany, a któremu przysięgała wierność tegoż dnia z rana. Ciekawa była, czy on też widzi coś anormalnego w tej sytuacji, ale po nim niczego nie można było poznać. Jego ogorzała twarz zdradzała tylko chwilami troskę o jej wygody i zadowolenie. Rozmawiał z nią spokojnie o rzeczach obojętnych.

Pod koniec obiadu zajrzał do nich Peters, aby sprawdzić, czy mają wszystko, czego im potrzeba i zapewnić Paxa, że Elfryda również zjadła obiad i że nie szczydziła sobie niczego.

— Cieszy mnie to — odrzekł Pax — mam nadzieję, że się nie rozchoruje. Ale w każdym razie to będzie twoja wina, nie jej.

Wtem zjawiała się Elfryda, kręcąc ogonem, ażeby ich uspokoić co do swego zdrowia. Rozumiała teraz, że panem jej został ubóstwiany przez nią kapitan i odczuwała widocznie, że i ta blada narzeczona stała się poniekąd jego własnością, gdyż wdzięczyła się i do Klary od czasu do czasu.

Klara oparła się wygodnie. Była bardzo zmęczona, ale obiad dobrze jej zrobił. Przymknęła oczy. Czuła, że usnęłaby tak, w pozycji siedzącej.

Pax nie odzywał się do niej. Wpadła na parę minut w pewien rodzaj odrętwienia. Wtem zbudziło ją poczucie obowiązku, zerwała się.

— Co ja robię? Nie mogę tu zostać. Proszę, zapal papierosa!

— Miałem nadzieję, że się prześpisz — rzekł Pax.

— Nie. Nie mogę jeszcze spać. Muszę wrócić do Yvonne.

— Czy musisz koniecznie wracać? — spytał Pax. — Poślę Petersa, żeby się upewnił, czy wszystko w porządku.

Ghulam czuwa przy niej.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Nie. Muszę tam pójść sama. Bardzo jestem senna. Może to wpływ szampana. Dobranoc, Elfrydo!

Schyliła się i ucałowała pysk zwierzęcia. Kiedy się wyprostowała, ujrzała wzrok Paxa utkwiony w niej z wyrazem powagi i pewnego tajonego wzruszenia, które jej też się udzieliło.

Może był to wpływ szampana, a może pociąg szarpnął w tym momencie, dość że Klara zachwiała się nagle i oparła się o framugę okna. Natychmiast poczuła ramię Paxa, podpierające jej wątłą postać. Uśmiechnęła się łagodnie.

— Widocznie nie stoję jeszcze pewnie na nogach, ale już jestem zdrowa.

— Czy wolno mi zadać ci jedno pytanie? — rzekł Pax z wolna.

— Jeżeli to jest nieodzowne — odrzekła patrząc na niego z błyskiem rozpaczy.

— Nie odpowiesz mi, jeżeli to będzie zbyt trudne! Dlaczego zemdląłeś dzisiaj w kościele?

Cofnęła się o krok, ale zapanowała nad wzruszeniem.

— Ach! Co do tej kwestii, to... był to po części skutek upału.

— Po części tylko? — pytał Pax bardzo łagodnie, ale z naciskiem. Odwróciła głowę. Nie mogła mu przecież mówić o tej wizji, jaką

miała. Wszak z jego ręki zginął Guy.

— Wolałabym nie mówić już o tym więcej... — szepnęła. Przycisnął lekko jej ramię.

— Może rozumiem cię bez słów — rzekł poważnie.

Stała w milczeniu, doznając przez te parę sekund wrażenia, że walczy z jakąś nieznaną siłą, której zmóc nie zdoła.

— Klaro — rozległ się głos Paxa miękki, pieszczotliwy, jakby mówił do dziecka — Klaro, czy nie zechciałabyś postąpić ze mną tak, jak z Elfrydą... przed minutą... O to jedno proszę cię... usilnie.

Serce jej zabiło gwałtownie. Było to śmieszne, sama sobie to mówiła, a jednak nie mogła przezwyciężyć paralizującego ją onieśmienia. Stała jak skamieniała.

— Nawet i tego nie? — spytał Pax łagodnie. — Trudno! Nie troszcz się już dzisiaj o mnie, droga moja. Odprowadzę cię do Yvonne.

Wziął ją pod rękę stanowczym ruchem, a ona poszła za nim wstrząśnięta, uległa, szczególnie upokorzona.

Nie umiała spełnić jego prośby, a skoro tylko znalazła się sama z Yvonne, zapragnęła z całej duszy, iż by była ją spełniła. Nie pamięć o Guy'u stanęła jej tym razem na przeszkodzie, lecz owa nieznaną siłą, która miotła ją w różnych kierunkach wbrew jej woli.

Yvonne nie spała, lecz była na wpół przytomna, zamroczona. Nie pytała ani razu o Klarę, oznajmił Ghulam.

Klara podziękowała mu za opiekę nad chorą i odprawiła go na noc wiedząc, że Hindus uśnie lada chwila. Pociąg pędził w ciemnościach. Upał kładł się na piersiach ołowianym ciężarem. Klara próbowała wyobrazić sobie przyjazd do ukochanej Anglii, do chłodnych zielonych trawników i przewiewnych okiennic, ale wyobrażenia odmawiała jej

posłuszeństwa. Myśli jej powracały uparcie do tego człowieka w sąsiednim przedziale, który poprosił ją tylko o tyle dobroci dla niego, ile okazała jego psu. Czy jej odmowa była mu obojętna? Czy był nią dotknięty? Czy była to czysto konwencjonalna prośba? Czy może zażartował po prostu?

Czy też uprzytomnił mu się nagle ten fakt, który teraz przeszył jak ogień jej świadomość? Ten fakt, że była to ich noc poślubna?

Wyrwał jej się jęk trwogi.

— Boże mój, cóż ja uczyniłam?!

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że ten krok życiowy, jakim było jej małżeństwo z Paxem, równał się rezygnacji z wolności, ze swobody osobistej, że oddała się w ręce mężczyźnie, którego dążeniem było od dawna uczynić z niej swoją własność.

Ta myśl górowała w niej nad wszystkimi innymi, nawet nad myślą o Yvonne. Było to jakby nagłe obudzenie się z dziwnego i straszego snu do okropnej rzeczywistości. Budziła się w żelaznej klatce, z której nie było ucieczki.

Dopiero w tej chwili pojęła, czym jest dla niej wolność.

Usiłowała uciszyć w sobie ten zrywający się coraz to silniej krzyk panicznej trwogi. Przekonywała samą siebie, że jest zbyt zmęczona, aby widzieć cokolwiek we właściwym świetle. Ale coraz jaśniej występował w jej świadomości fakt, iż była zdana na jego łaskę i niełaskę. Jego panowanie nad sobą było najlepszym dowodem, że potrafi panować i nad nią. Nie miała żadnych na to danych, iż on przestanie się opanowywać, miała natomiast przeczucie, że w końcu on ją zmoże tym chłodem, tą przewagą woli. Taki był zimny, praktyczny, taki pewny siebie; a przy tym sprzymierzeńcem jego stanie się ta siła, złożona z utajonych żywiołów, która całkowicie nią rządziła. Znała już i przedtem swoją słabość, ale nie zmierzyła jej nigdy dotychczas z jego mocą. Zdawało jej się, że tej nocy ujrzała niemożliwość przyjaznego, platonicznego stosunku między nimi.

Pocieszała się przeświadczeniem, że on nigdy nie zechce wziąć czegoś, czego ona nie ofiaruje mu samorzutnie. Ale w głębi duszy nie była tego całkiem pewna.

Zaczynała pojmować, że nie będą mogli żyć jedno obok drugiego, nie żyjąc jedno z drugim. Świtała jej myśl, że może najlepiej byłoby dla nich obojga, gdyby on wziął sobie niemal przemocą to, co miał prawo uważać za swoje. Ale odpędziła tę myśl z oburzeniem.

Ileż zagadnień nastęcza to krótkie istnienie człowiecze? Z jednych mroków wpada się w drugie. Ciągłe udreka i trwoga. Dlaczego? Dlaczego?

Podeszła do Yvonne, pochyliła się nad nią, aby jej podać lekarstwo.

— To ty, droga? — szepnęła Yvonne. — Gdzie jesteśmy? Gdzie one były? Kto umiałby odpowiedzieć na to pytanie?

— Jesteśmy w pociągu, kochanie, jedziemy do domu. Czy chcesz czegoś?

Yvonne poruszyła się niecierpliwie.

— Nie chcę patrzeć na tę latarkę — rzekła. Klara rozejrzała się dokoła.

— Masz na myśli to światło, moja droga? Czy ono cię razi?

— Nie, nie! — odrzekła Yvonne z wzrastającą niecierpliwością. — Ty jej nie widzisz, ale ja wciąż ją mam przed oczami: tę elektryczną latarkę. Usuń ją!

Głos jej przeszedł pod koniec zdania w szept. Zamknęła oczy. Klara pocałowała ją.

— Nie myśl o tym, kochanie! Śpij!

Stała nieruchoma przez parę minut, ale Yvonne nie ruszała się już, nie otwierała oczu. Pociąg pędził wciąż w mroczną upalną dal.

Klara, pchana ową niewidzialną mocą, poszła ku drzwiom prowadzącym na korytarz. Stanęła przy oknie, nie śmiać wejść do swego przedziału.

Wtem spotkała utkwione w swej twarzy oczy Paxa. Mimo woli chwyciła się ręką za krtań. Coś ją dławiło. Kolana ugięły się pod nią.

Przez chwilę walczyła z niemocą, ale daremnie, zachwiała się.

Lecz nie upadła, bo w tejże chwili porwały ją silne ramiona Paxa. Nie mówił ani słowa. Całym ciężarem leżała na nim, przytomna, ale pozbawiona sił i mowy.

Głowa jej spoczywała na jego ramieniu. Przechyliła się w tył, odrzucona kołysaniem pociągu. Pax pochylił się spokojnym ruchem ku tej podanej ku górze twarzy i delikatnie ucałował jej usta.

— Nie lękaj się mnie, Klaro! — rzekł. — Zaufaj mi! Nie mogła odpowiedzieć. Drżała na całym ciełe.

Schylił się, wziął ją na ręce. Zdumiona była jego siłą, łatwością, z jaką ją unióś z ziemi. Zaniósł ją do przedziału i położył na pościeli.

I tu znów ucałował ją zamkniętymi ustami którym pozwalał tylko na czułość, którym zabraniał namiętności.
— Nie bój się! Bądź dobrej myśli! — rzekł tym samym tonem, którym ona mówiła przed chwilą do Yvonne. — Śpij!
Instynktownie zamknęła oczy czując, że jest pod opieką takiej siły, jakiej dotychczas nie spotkała w życiu. Nie umiałaby opisać swoich uczuć w tej chwili, ale czuła, że dławią ją łzy. Łzy radości, czy łzy trwogi? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że nie wolno jej rozplakać się w jego obecności. Leżała więc nieruchoma. Pierś jej tylko falowała w przyśpieszonym tempie.
Pax wyszedł z przedziału na korytarz. Wówczas dopiero wtuliła głowę w poduszkę i rozplakała się tak, jak nie płakała nigdy dotychczas. W końcu zstąpił na nią upragniony spokój i usnęła.

PODRÓŻ

Przez cały czas podróży lądem do Bombaju Klara nie odstępowała Yvonne. Była wyczerpana upałem. Yvonne zaś była przerażona tym ciągłym ruchem; czepiała się rąk Klary, nie puszczała jej na krok od siebie, a Klara była jej wdzięczna za to przywiązanie.

Ghulam wciąż był przy chorej z wyjątkiem nocy, a Pax i Peters nie narzucali swej obecności, ale ciągle byli w pogotowiu.

Klara cierpiała strasznie z powodu temperatury tropikalnej. Tylko myśl o statku dodawała jej otuchy. Podróż morską może okazać się przykra, ale w żadnym razie nie będzie tak okropna jak to pędzenie wśród kurzu i blasku przez ten spieczony i piekący ląd azjatycki. Poza tym pochłonięta była troską o Yvonne oraz tym dziwnym, nieustającym lękiem, jaki wzbudzała w niej obecność Paxa. Klara pełna niewysłowionej udręki zdała sobie sprawę, że ten lęk nie ustanie, dopóki ona będzie żyła.

Kiedy przybyli do Bombaju, musiała znów przyznać samej sobie, że odsunięcie od niej wszelkiej odpowiedzialności było wielką ulgą. Natychmiast po przyjeździe przeniesiono Yvonne do wygodnej, możliwie obszernej kabiny, zarezerwowanej dla niej. Obok znajdowała się kabina Paxa i Klary. Tym sposobem mogła Klara sypiać tam, gdzie będzie potrzebna, lub gdzie będzie wołała.

Pax od razu zdecydował, że jego kabina znajduje się obok kabiny pań, tak że można go będzie „wypukać” w razie potrzeby.

Klara podziękowała mu, ale byłaby raczej chciała widzieć go dalej od siebie, tym bardziej, że nie wyobrażała sobie sytuacji, w której

weswalały go na pomoc. Widziała, że on robi wszystko, co jest w jego mocy, aby być jej pożyteczny i była mu za to wdzięczna. A jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest jej strażnikiem, że stoi na czatach za drzwiami sąsiedniej kabiny.

Pierwsza część podróży morskiej była nieznośnie upalna. Było wprawdzie nie tak gorąco jak na lądzie, ale tylko tyle. Stan Yvonne nie mógł się poprawiać w tych warunkach. Apatia trwała w dalszym ciągu, przytomność wracała rzadko i zaledwie na krótką chwilę. Dopóki Klara była przy niej, chora zachowywała się spokojnie, ale skoro tylko dziewczyna odchodziła na sekundę od jej łóżka, wzywała z rozpaczą przyjaciółkę, cała zgorączkowana; Ghulam musiał biec po Klarę.

Zmęczenie młodej dziewczyny było tak wielkie i tak bezustanne, że najmiłym spędzaniem czasu było dla niej bezczynne czuwanie przy boku Yvonne na wygodnym fotelu. Tak też upływała większa część doby. Pod wieczór tylko przychodził po nią Pax i zabierał ją na przechadzkę po pokładzie. Chora w jego obecności nie odzywała się wcale ani nie podnosiła oczu.

Pozwalał odpoczywać żonie w tych chwilach wytchnienia. Nie rozmawiał z nią, nie patrzył na nią. Ale był przy niej, pilnował każdego jej ruchu. W całej jego postawie przy całej dyskrecji, było coś władczego. Na statku nie było bynajmniej ludno. Tych podróżnych, którzy jechali jednocześnie z nimi do Europy, umiał trzymać z daleka swoją wyniosłą uprzejmością, która w innych warunkach byłaby pobudziła Klarę do wesołego uśmiechu.

Na statku było raczej smutno, nie panował tu ów nastrój pogodny i ożywiony, który dopisał żadnej uciech Yvonne podczas podróży do Indii. Teraz jechali wraz z nimi sami spokojni ludzie, pochłonięci własnymi interesami. Klara rada była, że dokoła niej nie rozlegają się tony muzyki tanecznej ani śmiechy flirtujących par. Pax spędzał większą część dnia na przechadzkach z Petersem i Elfrydą, albo też czytał na pokładzie.

Pierwszy tydzień minął powoli. Zbliżali się do Adenu. Czekala ich najstraszniejsza część podróży, ta, której Klara obawiała się najwięcej. Nie wspominała o tym Paxowi, ale on się tego domyślał. Ostatniego wieczora, który spędzali na wodach Oceanu Indyjskiego, poruszył ten temat.

— Nie obawiaj się jutrzejszego dnia — rzekł. — Yvonne zniesie ten upał lepiej niż ty.

— Ale ja się boję o siebie. Wszak jestem jej niezbędna.

— Nie obawiaj się niczego! — rzekł Pax, a jakkolwiek nie dodał — Przecież ja jestem przy tobie! — tym niemniej Klara poczuła, że to pomyślał.

— Ciekawa jestem — rzekła Klara powoli, opierając się o poręcz i patrząc w nieprzejrzaną dal — co się stanie, gdy przyjedziemy do Anglii.

— Czy i to cię dręczy? — spytał.

— Muszę przecież myśleć o jutrze — rzekła pokornie niemal, składając ręce jak do modlitwy.

— I ja mam ten zwyczaj — odrzekł. Nie dodał nic więcej.

— Domek Yvonne w Silverhayes będzie wolny w czerwcu — rzekła Klara. — Do tej pory będziemy chyba mogli zamieszkać w starym hotelu położonym tuż nad morzem.

— Więc proponujesz, abyśmy zamieszkali w Silverhayes?

— Naturalnie — odrzekła z prostotą. Zaległo milczenie.

— To stara farma przerobiona na mieszkanie prywatne. Jest tam pięć pokoi sypialnych. Sądzę, że Peters będzie nam użyteczny, a Ghulam może się zająć kuchnią.

— Peters na pewno będzie użyteczny — odrzekł Pax — on tylko o tym marzy. Jeżeli Ghulam umie gotować, to istotnie sprawa byłaby załatwiona. Ja osobiście byłbym wolał odesłać go do Indii z powrotem przed nadejściem zimy.

— Niemożliwe — odrzekła Klara stanowczo. — Nie możemy się z nim rozstać, dopóki on jest niezbędny Yvonne.

— Czy jesteś pewna — spytał Pax nieoczekiwanie — że ona wie, co jej jest niezbędne?

Klara zdziwiła się.

— Tymczasem zapewne... w ogóle wie niewiele... Ale gdy dobijemy do brzegów Anglii, tamtejsze życie przywróci jej równowagę. Na to liczę.

— Miejmy nadzieję, że masz słuszność — odrzekł.

Zwrócił się ku niej i bystro popatrzył w jej oczy.

— Klaro, uważam, że im rychlej pozbędziemy się wszelkich osób trzecich z naszego najbliższego otoczenia, tym lepiej będzie dla naszej przyszłości.

— Na tym nie wolno ci budować — odrzekła panując nad silnym biciem serca. — Nawet wtedy, gdy Yvonne wyzdrowieje, zawsze ona będzie na pierwszym planie, jak to już zaznaczyłem przed ślubem.

— Rozumie się — odrzekł Pax spokojnie. — Ale może przyjdzie czas, że ona sama nie będzie już cię potrzebowała. Będę czekał.

Nie odpowiedziała. Miała tylko rozpaczliwą świadomość, że dla niej nie będzie już do końca życia wschodu ani zachodu słońca, tylko bezustanny, nieprzejrany mrok...

POWRÓT

Jak słusznie Pax przypuszczał, Yvonne zniosła znacznie lepiej przejazd przez Morze Czerwone niż Klara. Żyła jakby w bezustannym letargu i tak też przebyła i tę okolicę świata, gdzie upał daje się srodze we znaki normalnym organizmom. Klara zmuszona była powierzyć ją Ghulamowi i służącej okrętowej. Nią samą zajmował się Pax z troskliwością wytrawnej pielęgniarce.

Urządził jej poślanie na pokładzie i sam sypiał obok niej. A raczej udawał, że śpi, gdyż ilekroć Klara otworzyła oczy, zawsze zastawała go czekającego na jej skinienie. Zwilżał jej skronie wodą kolońską, podawał jej lemoniadę nie odzywając się prawie, lecz darząc ją często łagodnym, czułym uśmiechem. Była od niego zależna, ale stopniowo przestawała jej ciążyć ta zależność.

Wreszcie wpłynęli na Morze Śródziemne, gdzie było nieprawdopodobnie chłodno w porównaniu z klimatem podzwrotnikowym. Klara odetchnęła, a im bliżej byli Anglii, tym większa wstępowała w nią otucha, jakkolwiek niejednokrotnie irytował ją cichy despotyzm Paxa, którego taktowi nic nie było można zarzucić. Tym bezbronnejsza była wobec jego dyskretnej tyranii.

Przed przebyciem cieśniny gibraltarskiej Peters poprosił Paxa o bezwarunkowe odprawienie Ghulama, skoro przybędą do Anglii. Nie mógł znieść obecności tego „obcego” i ostrzegał przed nim kapitana w sposób niejasny, ale stanowczy. Pax przyrzekł mu, że skoro Yvonne odzyska przytomność, wpłynie na nią, ażeby się rozstała z hinduskim służącym.

Wreszcie w końcu maja wylądowali w Anglii i pojechali natychmiast do Wychmere. Przy lądowaniu uniknęli wszelkiego rozgłosu, wszelkich napaści reporterskich dzięki przewidującej zapobiegliwości Paxa. Teraz siedzieli nad morzem, ukryci przed całym światem, otoczeni zielenią i ciszą. Wiał z tej okolicy przedziwny spokój, którego im tak bardzo było potrzeba.

Hotel był prymitywny, hotelarz jowialny, lecz głupkowaty. Pax zajął się wszystkim z właściwym sobie spokojem i energią i w ciągu paru kwadransów rozmieścił całe towarzystwo.

Właścicielka, pani Szarlotta, powitała ich bardzo uprzejmie. Dowiedziawszy się, że będzie gościć w swych murach panią Chisledon i pannę Klarę, obecnie panią Packersley, ucieszyła się ogromnie, znała bowiem dobrze mieszkanki Silverhayes.

— Sir — rzekła — znamy z gazet całą tę straszną historię... Ale panna Chisledon dobrze zrobiła wychodząc za mąż za pana. Komu tak dobrze z oczu patrzy, ten nie mógł popełnić przestępstwa. A wypadki... mój Boże!... Zdarzają się każdemu.

— Bardzo miłe mi są pani słowa — rzekł Pax.

— A teraz musimy najpierw zająć się tą biedną panią Chisledon, nieprawdaż? Trzeba ją natychmiast położyć do łóżka.

— Tak jest — rzekł Pax — ale proszę, niech pani pamięta, że nie życzymy sobie, aby cała okolica wiedziała, żeśmy tu stanęli, w przeciwnym razie bylibyśmy zmuszeni przenieść się w inne strony.

Pax nie zapomniał nigdy tej pierwszej nocy w Wychmere. Po obiedzie wyszli oboje do ogrodu, on i Klara. Szli w milczeniu. Przed nimi szumiało morze, nad ich głowami poruszały się leciuchno gałęzie; wtem rozległ się cudny, przesłodki śpiew ptaka — słowik zaintonował hymn na cześć nocy, opiekunki zakochanych.

Klara szła w milczeniu, oczarowana, zasłuchana. Zapomniała o obecności Paxa, a przecież czuła, że nie jest samotna, że jest w pobliżu niej ramię gotowe ją podeprzeć, objąć. Nie zdawała sobie sprawy z tych splełanych uczuć, ale doznawała wrażenia, że odnajduje utraconą

melodię swego życia, że niesie ją jakiś nowy rytm, że odzyskuje dar uśmiechu. Wreszcie otrząsnęła się z chwilowego upojenia.

— Trzeba wracać — szepnęła — muszę pamiętać o Yvonne. Była oszołomiona pięknem chwili. Mówła do towarzysza... jakiego?

Nie wiedziała. Czuła tylko, że nie jest sama, ale zapomniała o rzeczywistości.

Lecz w momencie, w którym wypowiedziała te słowa, uczuła nagle, jak silne ramię porywa ją wpół i przyciska mocno do twardej piersi męskiej. Próbowала się uwolnić, ale mowy o tym być nie mogło; był to żelazny uścisk.

Pax, pochylony nad nią, szeptał gorąco, rozkazująco:

— Tak, teraz wrócisz... ale jesteś moja nie Yvonne. Ja cię... tylko... jej pożyczam...

W następnych minutach zrozumiała, że i on uległ temu czarowi, który ją upoił. I on odczuł tę radość, tę namiętność, której na imię: wiosna. Od ich nocy poślubnej nie pocałował jej ani razu. A teraz całował jej usta tryumfalnie, gorąco, umiejętnie, nie cofając się wobec jej słabości, ale i nie nadużywając jej zarazem. Pocałunek był niejako przypieczętowaniem tego, czym ta noc była dla nich obojga.

Podbił ją. Oszołomił ją. Oparła się bezsilna na tym ramieniu, które trzymało ją z taką siłą. W końcu uczepliła go się rękami, szukając podpory, a on całował ją coraz mocniej i goręcej.

Księżyc rzucił snop światła na tych dwoje, którzy stanowili jakby odrębną całość. Klara pojęła nagle, że jest zdobyta, ujarzmiona, że zawładnęła nią moc, której nie znała dotychczas nawet w myślach. Nie mogła się uwolnić ani otrząsnąć z tego dziwnego, przemożnego uroku, a jej uległość potęgowała jeszcze bardziej jego zapal. Ogarnął ją straszliwy lęk, pod wpływem którego wróciły siły. Wyrwała mu się. Odepchnęła go od siebie.

— Zostaw mnie! — błagała słabym głosem.

To były wyrazy, które zapewniły jej wolność. Instynktownie wybrała te właśnie. Podtrzymał jej chwiejącą się postać, ale już jej nie wziął w objęcia.

— Chcesz odejść? — spytał. — Może masz słuszość! Idź! Kolana drżały pod nią. Zapach bzu, przyniesiony przez wiatr, odurzył ją na nowo.

Dotychczas nigdy nie odczuwała takich niejednorodnych a burzliwych wzruszeń. Jakiś huragan zrywał się w jej duszy. Jediną jasną świadomością była u niej konieczność ucieczki. Musi uciekać... uciekać... uciekać,.. Uciekała przed zmysłami, które jej zostały objawione przez słowiki, przez bzy, przez usta kochającego mężczyzny. Uciekała przed tą przemożną a nieznaną melodią, przenikającą piękną noc majową, noc poezji i miłości...

INTERESY

Nazajutrz Pax poznał bliżej właściciela hotelu, starego, zreumatyzowanego dziwaka, pana Cartridge'a. Zwiedzili razem ogród i zabudowania gospodarskie, przylegające do hoteliku i rozmawiali z ożywieniem.

W toku tej rozmowy okazało się, że Pax szuka zajęcia. Cartridge zamyślił się.

— Tutaj go pan chyba nie znajdzie — rzekł. — Gdzież może tu znaleźć zajęcie człowiek inteligentny, obyty, z pańskiej sfery?

— Nie mam żadnych przesądów socjalnych — odrzekł Pax — chciałbym tylko uczciwie zarabiać na żonę i siebie.

— Hm... będzie pan chyba musiał pojechać do miasta, do Londynu może? Szkoda, jest pan nad wyraz sympatyczny. Mówię szczerze. Wiem, że nie jest to wzajemny sentyment, bo do mnie nikt nie żywi przyjaznych uczuć, jestem starym inwalidą. Ale pan przypadł mi do serca...

— Dziękuję panu, panie Cartridge. Dzisiaj z rana mój służący, Peters, który jest dla mnie prawdziwym przyjacielem, podał mi myśl, abym został nauczycielem konnej jazdy w pobliskiej szkole. To by mi umożliwiło pozostanie tutaj, na czym mojej żonie i mnie bardzo zależy ze względu na panią Chisledon.

— Rozumiem. Ale stanowczo panu odradzam. Właścicielem szkoły jest wstrętny purytanin, zaśniedziały w przesadach, despotyczny aż do tyranii. Przy tym może pana spotkać nieprzyjemność przy pertraktacjach wstępnych, gdyż niewątpliwie czytał on w gazetach opis

fatalnego wypadku w Indiach. A temu sobkowi to wystarczy, aby się do pana uprzedził i był nawet niezupełnie grzeczny.

— Tak, to by się mogło źle skończyć — zauważył Pax bardzo spokojnie.

Peters przysłuchiwał się tej wymianie zdań swego pana z właścicielem hotelu. Twarz jego wyrażała intensywny namysł. Nagle przysunął się do Paxa i zajrzał mu w oczy.

— Co chcesz, Petersie?

— Proszę pana, mam myśl.

— Mów.

— Czy pan nie mógłby zostać dyrektorem tego oto hotelu? Przecież tu nie ma żywej duszy, a dom jest zdeorganizowany do tego stopnia, że nie mógłby nawet pomieścić 20 osób, gdy tymczasem pomieszczenie jest wystarczające dla 50. Trzeba by zareklamować to śliczne ustronie, odnowić niektóre pokoje, dobrać odpowiednią służbę, stworzyć rozrywki, no, zresztą pan będzie wiedział lepiej ode mnie, co tu zrobić. Ja pozwalam sobie tylko rzucić myśl.

— Dziękuję, Petersie. W zasadzie twoja myśl jest wyborna...

— A czy panu to zajęcie mogłoby odpowiadać? — spytał szybko pan Cartridge.

— Jak już powiedziałem, nie cofnę się przed żadnym zajęciem, tym mniej przed takim miłym i ze wszech miar mi odpowiadającym. Wolę nawet być dyrektorem hotelu niż nauczycielem konnej jazdy. Nie tyle ze względu na mnie, ile z uwagi na moją żonę.

— A zatem, panie Packersley: ja jestem, jak się rzekło, starym inwalidą i niczego już nie zdziałam w życiu. Ten hotel jest istotnie pięknie położony i warto by go eksploatować racjonalniej. Jeżeli pan się tego podejmie, to ustalilibyśmy warunki następujące: pan zostaje udziałowcem przedsiębiorstwa w 50 procentach. Ma pan u mnie pełne utrzymanie, a dochody dzielimy między siebie, o ile pan potrafi je stworzyć. W przeciwnym razie rozstajemy się po upływie roku. Czy zgoda?

— Nie, panie Cartridge. Nie wątpię bowiem ani na chwilę, że przysporzę panu dochodów, ale nie mogę przyjąć tytułu własności, ani połowy ewentualnych zysków. To zakrawa na filantropię.

— Bynajmniej. Jest to może układ szczerzejszy, niż bym go zawarł

z człowiekiem całkiem mi obojętnym, ale zaznaczyłem już, że jest mi pan wyjątkowo sympatyczny. A przy tym mówmy trzeźwo: nie mam w tej chwili żadnych dochodów z hotelu. Jest to martwy kapitał, o nabywcę też trudno, bo stan, w jakim się znajduje przedsiębiorstwo odstręcza niejednego. Zresztą nie bardzo mi się chce przenosić stąd. Dokąd? Dzieci nie mamy. Pan da nam możliwość pozostania tutaj, będzie pan tym lepiej zarządzał domem, im bardziej będzie pan nim zainteresowany osobiście... Niech pan nie przeczy! To jest rys ludzki! W razie mojej śmierci moja żona będzie miała połowę dochodów z czegoś, co obecnie nie pozwoliło by jej wyżyć najskromniej nawet, gdyż nasz kapitalik topnieje z każdym rokiem. Więc? Widzi pan, że proponuję panu układ całkiem normalny. Pax uśmiechnął się.

— Jeżeli układ ten dojdzie do skutku, to jakaż będzie moja wdzięczność dla pana i dla tego nieocenionego Petersa!

— Tak, muszę przyznać, że pański Peters jest genialny!

— Jestem ze szkoły pana kapitana — odrzekł skromnie Peters, jakkolwiek czuł się w tej chwili Aleksandrem Wielkim.

— A zatem im rychlej, tym lepiej — rzekł Cartridge. — Od kiedy zaczynamy pracę?

Pax zamyślił się.

— Pozwoli pan, że naradzę się jeszcze z moją żoną. Bez jej zgody nie mogę postanowić sprawy tak zasadniczej dla naszej przyszłości.

— Wiedziałem, że pan to powie — rzekł Cartridge. — Ja się nie wdaję w narady z kobietami, ale dzisiaj nastały takie czasy, że mężczyzna niczego nie robi samodzielnie. I zresztą muszę przyznać, że pani Packersley wygląda mi na kobietę nieprzeciętnie rozumną.

Pax odwrócił oczy.

— Mogę pana upewnić, że nią jest, mr Cartridge.

Cartridge przyjrzał mu się ciekawie, gdyż ton jego brzmiał zagadkowo. Ale było coś w postawie Paxa, co uniemożliwiało wszelką niedyskrecję. Skinął przyjaźnie głową Cartridge'owi i oddalił się bez słowa.

DECYZJA

Tegoż dnia po szóstej wieczorem Pax posłał Ghulama do Klary z prośbą, aby zeszła do ogrodu i porozmawiała z nim przez parę minut. Od poprzedniego wieczora nie widział się z nią ani przez chwilę. Nie wiedział, czy ona unika go rozmyślnie, czy też pielęgnuje Yvonne. W nocy słyszał ją krzątającą się w sąsiednim pokoju i zatroskany był o jej zdrowie. Nie dbała o siebie, a była bardzo delikatna.

Ghulam przyniósł niebawem odpowiedź. Pani Packersley przyjdzie do ogrodu za kilka minut. Pax wyszedł przed dom i czekał.

Niebo było ciemne. Po upalnym dniu zanosilo się na burzę. Ptaki już spały. Głęboka cisza panowała dokoła. Na morzu nie było fal. Wyglądało jak tafla lustrzana.

Klara zjawila się w końcu na schodkach ganku. Była cała w bieli, wyglądała w półmroku jak duch. Oczy jej były pełne smutku.

Pax przyjrzał się jej badawczo. Odpowiedziała na to spojrzenie gestem ręki, oznaczającym: „Nie wiem!” i dodała:

— Jestem dziś zmęczona, sama nie wiem dlaczego. Mniejsza o to! Słucham cię?

— Dlaczego jesteś zmęczona, powiedz! — spytał ujmując jej rękę i trzymając ją w swych dłoniach.

— Może za dużo się ruszam. Jest tu wprawdzie mniej gorąco niż w Indiach, lecz dziś panuje nieznośny upał. Nie zaaklimatyzowałam się jeszcze. Obiecywałam sobie więcej po tej miejscowości.

— Yvonne nie ma się lepiej?

— Drażni ją światło, które wpada przez okno z ogrodu nocną porą.

Nie chce wierzyć, że to lampa nad gankiem. Nazywa to uparcie elektryczną latarką.

Pax wziął ją pod rękę.

— Przejdźmy się trochę po ogrodzie wolnym krokiem. Muszę z tobą pomówić spokojnie.

— Nie będę mogła pozostać długo z dala od niej. Dziś jest niedobry dzień.

— Ale nie możesz żyć bez powietrza, w ciągłej atmosferze cierpienia i dolegliwości fizycznych. Nie życzę sobie, żebyś doprowadziła siebie do stanu wyczerpania, a to jest nieuniknione przy tym trybie życia.

— Nie pozwolę, aby ktokolwiek inny pielęgnował Yvonne.

— A ja, moje dziecko, nie pozwolę, abyś się rozchorowała wskutek własnego nierozsądku.

— Nie ma obawy. Teraz, kiedy już jestem poza tym strasznym klimatem podzwrotnikowym, nic mi nie grozi.

— Nie zgadzam się z tobą. Przeceniasz swe siły.

— Zaczekaj, aż się osiedlimy w Silverhayes. Tam stan Yvonne poprawi się z pewnością. I ja odpocznę. Tam będziemy u siebie, a to zmienia tryb życia.

— Chciałbym, żebyś się rozstała z Ghulamem — rzekł Pax nieoczekiwanie.

— Niemożliwe. On jest niezbędny przy niej i oddaje nieocenione usługi.

— Pielęgniarka Angielka byłaby stokroć użyteczniejsza — odrzekł Pax. — Yvonne winna być wyrwana z korzeniami z atmosfery Indii. Musi zapomnieć...

Klara westchnęła. — Po części zgadzam się z tobą. Ale nie mogę jej się sprzeciwić, biedaczce. Może później, może jesienią...

— Dobrze. Nie chcę cię teraz męczyć — rzekł Pax. — Ale Klaro, jedno muszę sobie zastrzec: jeżeli Ghulam odejdzie, a jej stan się pogorszy, zgodzisz się na zawodową pielęgniarkę. To byłoby konieczne ze względu na Yvonne, a co najważniejsze dla mnie: nie życzę sobie, abyś poświęciła siebie. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała. Doszli trzymając się pod rękę nad brzeg morza. Klara tęsknie patrzyła w dal.

— Och, żeby tak mieć skrzydła! — szepnęła.

Wzruszyły go te słowa. Puścił jej ramię, odsunął się o krok i przyglądał się jej z wyrazem bólu w głębi oczu. Klara odwróciła się wreszcie od morza, oderwała się z wysiłkiem od swoich myśli. Terasz dopiero zauważyła to bolesne spojrzenie mężczyzny w niej utkwione.

— Muszę już pójść do Yvonne — szepnęła. — Wieczór jest ciemny, wcześniej zapalą lampę przed gankiem.

— Zaczekaj chwilkę! — rzekł. — Jeszcze ci nie powiedziałem najważniejszego.

— O! Więc to nie tylko szło o Yvonne?

— O nie! Bynajmniej! O niej wspomniałem mimochodem. Szło... o mnie samego.

Spojrzała pytająco.

— Daruj, Klaro, aleja nie mogę żyć w bezczynności, nawet gdyby mi moje środki na to pozwalały. Muszę mieć jakiegokolwiek zajęcie.

— Prawda! — szepnęła. — Byłam egoistką, nie pomyślałam o tym.

— Egoistką nie umiałabyś być, nawet gdybyś chciała. Nie leży to w twojej naturze. Ale ja mam pewną dozę egoizmu i nie mam zamiaru pozostawić cię z dala od siebie. Muszę mieć takie zajęcie, które nas nie rozłączy.

Pochyliła głowę. Była zupełnie bierna.

— Czy słyszałeś o jakiejś posiadzie w tych stronach?

— Tak. Znasz pewnie tego Cartridge'a, właściciela naszego hotelu?

— Tak, naturalnie. Biedny chory człowiek. Nieuleczalnie chory, zdaje mi się.

— I ja mam to wrażenie. I z każdym dniem mniej jest zdolny do pracy, do inicjatywy. A tu są możliwości.

Miejscowość jest śliczna, hotel jest położony uroczo. Wszak prawda?

— Tak... — rzekła Klara niepewnym głosem. — Ale Paxie, nie masz chyba zamiaru...

— Cartridge ofiarował mi posadę zarządzającego jego hotelem — przerwał Pax. — Mnie się ta propozycja podoba.

Pierwszą myśl rzucił zresztą Peters.

Klara uśmiechnęła się.

— Przeleżałam się, że zamierzasz kupić ten hotel. Ale skoro masz w nim tylko zarządzać, nie widzę powodu do odrzucenia pomysłu Petersa.

— Więc nie masz nic przeciw temu? — spytał Pax sucho.

— Przeciw temu! Dlaczego miałabym być temu przeciwna? Nie wiem, dlaczego się mnie w ogóle radzisz.

— Nie wiesz? Powiem ci zatem dlaczego. Dlatego, że jesteś moją żoną, Klaro. A ja nie cofnę się, skoro już raz coś rozpocznę. Chcę więc, żebyś była na to przygotowana, że będziesz żoną dyrektora hotelu. Jeżeli ci to z jakichkolwiek względów nie odpowiada, to powiedz mi szczerze i natychmiast, że tego nie chcesz. Bo... w żadnym wypadku, słyszysz, w żadnym, nie zrezygnuję z ciebie i z moich praw małżeńskich. Dlatego pytam cię o zdanie.

— Rozumiem — odrzekła patrząc mu prosto w oczy.

Na tym miejscu całował ją poprzedniego wieczora. Tutaj stała się wczoraj jego niewolnicą, jego rzeczą. Ironia losu chciała, żeby ona dała wyraz na tym miejscu swojej niezależności, swojej władzy nad nim.

— Dziękuję ci za zaufanie — rzekła. — Z kolei odpowiem ci całkiem szczerze. Gdybym była wolna, a nie jestem, i gdybym kochała mężczyznę, gdybym go naprawdę bardzo kochała, obojętne byłoby mi, w jaki sposób on zarabkuje, byle uczciwie, rzecz jasna. To by mnie po prostu nie obchodziło.

Słowa te brzmiały jasno, wyraźnie. Oczy Klary spoglądały z podobną odwagą, jak oczy jej męża. Dzisiaj nie śpiewały słowiki. Tylko brzęczenie pszczoł przerywało chwilami wieczorną ciszę. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, dotychczas nie zapanował magiczny nastrój wczorajszy.

Pax przemówił po chwili:

— Niepotrzebnie mi to powiedziałaś. Wiedziałem o tym. Może niepotrzebnie się radziłem, ale uważałem to za bardziej rycerskie względem kobiety, żony. Tym bardziej, że przyjdzie dzień, w którym to przestanie być ci tak dalece obojętne.

Klára wykonała gest protestu. Chciała coś odpowiedzieć, gdy wtem zwracając głowę ku domowi zobaczyła światło nad gankiem.

— Już zapalili lampę! — rzekła. — Wcześniej niż zwykle! Muszę biec!

Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie i zaczęła iść szybkim krokiem ku hotelowi.

Stał nieruchomy patrząc za nią. Widział, jak zaczęła biec uszedłszy

kilkanaście kroków. Zniknęła za krzakami bzu. Był sam. Odwrócił się powoli i patrzył w tę dal, która chwilę przedtem ją zahipnotyzowała. Latarnia morska słała już ostrzeżenie we wszystkich kierunkach. Przez sekundę i on doznał wrażenia, że jest to... latarka elektryczna. Zmierzch zapadał coraz gęściejszy. Machinalnie sięgnął po swoją fajkę i przypomniał sobie, że już nie ma tytoniu... W kilka minut później Cartridge usłyszał pukanie do drzwi swego gabinetu. — Proszę, kapitanie, proszę! Witam nowego dyrektora! Napijemy się? Pax przyjął bez wahania tytuł i poczęstunek.

CHMURY NA HORYZONCIE

Pax zabrał się niezwłocznie do pracy. Przystąpił do odnawiania hotelu. Okazało się, że wiele rzeczy można będzie zrobić domowym sposobem dzięki dzielności Petersa. Zaczęto od remontu kuchni, ponieważ z pierwszym piętrem Pax wolał poczekać, aż Yvonne i Klara przeniosą się do Silverhayes.

Cartridge nie stawiał w niczym przeszkód, ale też nie był najmniejszą pomocą. Z zadowoleniem odpoczywał, polegając całkowicie na swym nowym dyrektorze i na jego prawej ręce: Petersie. Pax w duchu przyznawał, że bez tego wiernego sługi nie byłby sprostał zadaniu. Zaradność, praktyczność i niezmordowana pracowitość dawnego ordynarna były godne podziwu.

Klara była w tych dniach całkiem samotna i opuszczona. Poświęcała się wyłącznie Yvonne, o ile nie doglądała przygotowań, czynionych na ich przybycie w Silverhayes. Dzierżawca wyprowadził się już i Klara pragnęła jak najrychlej zamieszkać z Yvonne pod ich własnym dachem wierząc, że idealny spokój tego zacisza oraz dawne wspomnienia przywróca Yvonne równowagę duchową.

Nie mówiła nigdy z Paxem o tych swoich nadziejach, gdyż obawiała się, że jego trzeźwy umysł odrzuci je z uśmiechem. Teraz, kiedy on miał swoje zajęcie, z łatwością im przychodziło prowadzić odrębne życie i nie wymieniać poglądów na cały szereg spraw. W jego interesie leżało również usunąć jak najszybciej z horyzontu Yvonne, która po całych dniach leżała na tarasie, nie tyle chora, ile pozbawiona wszelkiej żywotności, jak piękny kwiat o złamanej łodydze.

Nie wzywali lekarza, gdyż według Klary było rzeczą oczywistą, że zmęczony organizm domagał się tylko spokoju. Chora widywała tylko ją i Ghulama, a i tych dwoje oglądała rzadko kiedy, gdyż przeważnie miała oczy zamknięte, Pax nieczęsto ją odwiedzał, a stopniowo jego wizyty stawały się coraz krótsze. Yvonne okazywała wstręt do jego obecności, a Klara doznawała dziwnego wrażenia, że Pax również wzdrygał się na jej widok. Nie była pewna, czy się nie myli, gdyż z twarzy Paxa trudno było wyczytać cośkolwiek, ale intuicja mówiła jej, że między tym dwojgiem panuje jakiś przymus, którego przyczyny są im tylko znane. Zrozumiała jest, że Yvonne cofa się przed nim, bo przecież on zabił jej męża. Toteż lepsze byłoby nieodwiedzanie chorej przez człowieka, którego widok nie pozwala jej zapomnieć o strasznym zdarzeniu.

Do pewnego stopnia odczuwała i ona ujemnie jego obecność. Nie czuła się swobodna, gdy Pax był przy niej. Posądzała Paxa, że był zazdrosny o Yvonne. To nie mogło zmienić jej stosunku do chorej. Wyszła za mąż pod tym warunkiem, że jej życie należy przede wszystkim do Yvonne. On również odniósł korzyść z tego związku, ale to nie było bynajmniej jej głównym celem. Wiedział o tym od pierwszej chwili. Zgodził się na to. Nic się nie zmieniło, nie wolno mu było żądać nagłej zmiany, niczym nie umotywowanej. Ale któż wie, co myśli Pax? Dusza jego była dla niej zamkniętą księgą. Sposób, w jaki zawarli związek małżeński, zwił z niego po wsze czasy romantyczny urok. Dawniej Klara pociągała go. Czy ten pociąg trwał nadal, tego nie wiedziała. Prawdą było, że zachowywał się jak człowiek, który głęboko kocha: oddał jej faktyczną wolność, zaznaczał na każdym kroku, że nie chce jej zdobyć siłą. Ale może była to raczej duma niż miłość? Przy tym miał teraz ujście dla swej energii, za co była Cartridge'owi szczerze wdzięczna. To ułatwiało jej życie, uciszało w niej cichy głos sumienia, które chwilami szeptało, że nieładnie z nim postąpiła. Tak było lepiej; każde z nich miało własne zainteresowania, własny teren działalności. Przed lipcem porządki w Silverhayes zostały ukończone. Nie po raz pierwszy Klara przygotowywała ten mały domek na przyjęcie Yvonne. Pomagała jej i tym razem kobieta z miasteczka, która doskonale wywiązywała się z zadania. Dopiero w sprawie przeniesienia

chorej i przewodniczki ogólnej Klara była zmuszona zasięgnąć zdania męża.

— Moglibyśmy już jutro tam się przenieść, o ile uznasz to za wykonalne technicznie — rzekła po obiedze kończąc swe wywody.

Siedzieli przy stole na wprost siebie i oboje palili papierosy. Klara przybrała pozycję na wpół leżącą. Pax puszczał kłęby dymu i przyglądał jej się uważnie. Była bardzo zmęczona, jakkolwiek nie skarżyła się nigdy.

— Owszem, to wykonalne. Jeżeli wszystko jest już gotowe, to pojmuję, że chciałabyś zamieszkać tam możliwie najprędzej. Ja jeszcze nie zwiedziłem tego domku. Czy nie zechciałabyś pójść ze mną teraz? Czy może jesteś zbyt zmęczona?

— Jestem trochę zmęczona — przyznała — ale jutro z samego rana mam tam pójść, może byś się wybrał ze mną?

— Musimy bowiem wziąć pod uwagę coś, nad czym chyba już się zastanawiałaś — ciągnął dalej nie odpowiadając na jej pytanie — a mianowicie: skoro ty będziesz mieszkać w Silverhayes, to i ja tam zamieszkam.

— Och! — wyrwało się Klarze mimo woli. Najwyraźniej nie zastanawiała się bynajmniej nad tą koniecznością, której nie uznawała w duchu. — Istotnie, nie pomyślałam o tym. Jesteś tak zajęty tu, na miejscu, że nie przypuszczałam...

— Błąd! Nie powtarzaj tego błędu nigdy więcej! — rzekł Pax swym spokojnym głosem. — Rzecz jasna, że ja zamieszkam z tobą. Gotów jestem płacić za nas oboje, ale nie pozwolę ci na oddzielne mieszkanie.

Zaległo milczenie. Klara szukała daremnie odpowiedzi. Czekala, czy on coś jeszcze doda. Wreszcie odezwał się Pax:

— Przykro mi, jeżeli zmałem twe projekty, ale nie sądziłem, że mnie tak dalece nie rozumiesz. Nie chciałbym się narzucać, ale nasze spanie pod jednym dachem jest konieczne.

Klarę przeszył dreszcz, jakby w zetknięciu z baterią elektryczną. Wyprostowała się na krześle i spojrzała mu w oczy równie stanowczo i śmiało, jak on jej.

— Czy zechciałbyś mnie oświecić, dlaczego to jest konieczne? — spytała.

— Chętnie. Ponieważ jesteś moją żoną i ponieważ moim zadaniem jest roztoczyć nad tobą opiekę.

Uśmiechnęła się blado.

— Sądziś, że niezdolna jestem opiekować się sama sobą?

— Sądzę, że nie pozwolę ci obywać się bez mojej pomocy.

— Czy przez niechęć do Ghulama?

— Moje dziecko, jakkolwiek ciężar weźmiesz na tve barki, nie będziesz go dźwigać sama.

— To nie jest odpowiedź na moje ostatnie pytanie.

— Nie bardzo lubię Ghulama, ale skoro jest ci potrzebny...

— Ale nie lubisz wyraźnie Yvonne! Pax zawahał się.

— Czy tak bardzo, za wszelką cenę, pragniesz uciec ode mnie? — spytał.

Strząsnęła drżącymi palcami popiół z papierosa.

— To znowu nie jest odpowiedź.

— Nie, to jest pytanie.

— I chcesz doprawdy, abym na nie odpowiedziała?

— O ile możesz.

— A więc — rzekła drżącym głosem — uważam, że byłoby lepiej, gdybyś porzucił tę myśl wspólnego zamieszkania.

— Lepiej dla ciebie?

— Lepiej dla wszystkich.

Oparł się o poręcz krzesła, zamyślony.

— Dla wszystkich, tylko nie dla ciebie.

— Owszem dla mnie także. Ja muszę poświęcać całą uwagę Yvonne. Od tego zależy w znacznej mierze jej powrót do zdrowia. — Czy ja stoję na przeszkodzie?

— W pewnej mierze tak. Zanim Yvonne wyszła za mąż za Guy'a, obie byłyśmy zupełnie szczęśliwe.

— I sądzisz, że to mogłoby trwać nadal?

— Tak. Zdaje mi się, że to jedyna możliwość szczęścia dla niej i dla mnie.

Pax drgnął ledwo dostrzegalnie. Ale opanował się błyskawicznie.

— Nie, Klaro — odrzekł spokojnie. — Nie zgadzam się na takie odsunięcie mnie na bok na rzecz Yvonne, a nawet gdybyś mi powiedziała, że to dla twego dobra, nie zgodziłbym się również. Nie możesz

osądzić sama, co jest dla ciebie wskazane, a co nie, tak że dalsza dyskusja na ten temat do niczego nas nie doprowadzi. Klara zerwała się.

— W takim razie wszystko skończone — odrzekła i zanim Pax zdążył wstać i pożegnać ją na dobranoc, wybiegła za drzwi.

Samotny mężczyzna pogasił światła i długo, długo siedział po cichu przy stole, na wprost pustego miejsca swojej żony. Dumał. Nie palił nawet papierosów. O czym dumał? Jak wyglądał? Nikt się nie dowie.

NOWY DYREKTOR

Według Petersa ten maleńki pokoik pod dachem, dokąd przeniósł z polecenia Paxa rzeczy swego pana, był gorszy od obszernego namiotu pod gołym niebem. Ale zachował ten pogląd dla siebie.

— W zimie będzie tam diablo zimno! — zwierzył się kucharce.

— O, do zimy mamy jeszcze dużo czasu! — odpowiedziała praktyczna kobieta.

Prace w hotelu postępowały rażno naprzód. Fakt, że Pax sypiał teraz w Silverhayes, w niczym nie zmienił tempa roboty ani z góry wykreślonego programu.

Ludzie pracowali pod kierunkiem Paxa z entuzjazmem, który jego samego dziwił. Podwładni uwielbiali go, podobnie jak w wojsku, w Indiach. Jego spokój udzielał się pracownikom. Zawsze był pod ręką, ilekroć powstawały jakieś wątpliwości. Zawsze umiał wszystkiemu zaradzić. Prowadził całą maszynę naprzód z niezachwianą pewnością. Postępy były ciągłe i szybkie. A czynił to cicho, dyskretnie, skromnie.

Peters był przy jego boku niemal bezustannie. Lubili go wszyscy, bo był wesół, jowialny, dowcipny po swojemu, a serce miał złote.

Powoli Hotel Wychmere stał się przedmiotem podziwu całej okolicy. Uważano go dawno za ruinę, tak że spoglądano teraz z niedowierzaniem na reformy przedsięwzięte przez Paxa. Kiedy wreszcie wewnątrz było już całkowicie odnowione, ludzie zaczęli się zjeżdżać ze wszystkich stron, ażeby stwierdzić rezultat zabiegów tego obcego przybysza.

Peters zrazu spoglądał z oburzeniem na zwiedzających hotel, ale

widząc uprzejmość, z jaką nowy dyrektor witał przybywających, szybko zmienił zdanie.

Pax osobiście oprowadzał gości, tłumaczył, wyjaśniał, odpowiadał na wszystkie pytania. Goście, oczarowani, zwykli byli wychodząc wsuwać w rękę stojącemu przy drzwiach Petersowi jakąś monetę, którą tenże wkładał wieczorem, czyszcząc rzeczy swojego pana, do jego kieszeni.

— Skąd się wzięły te szylingi w mojej kieszeni? — spytał razu pewnego zniecierpliwiony Pax. — Nie rozumiem, jak się to dzieje, że od jakiegoś czasu mam coraz więcej pieniędzy i same nieznane mi monety; nieznanego mi pochodzenia, chcę powiedzieć.

— Bardzo proste, sir — odrzekł Peters — zwiedzający hotel goście wręczają mi przy wyjściu te monety, a ja oddaję je panu jako twórcy tego, co oni zwiedzają.

— Ależ, Petersie! To twoje pieniądze! Masz je z powrotem! Bierz natychmiast!

— Nie, proszę pana. One się mnie nie należą.

— To już kwestia uznania tych, którzy ci je dają. Ale oni dają napiwki tobie, a nie mnie. Zrozum mnie właściwie, stary przyjacielu: mój dług wobec ciebie jest i bez tego niemały. A w żadnym razie nie mogę przyjmować od ciebie tego rodzaju prezentów i pozbawiać cię twoich zarobków, tym bardziej, że dzięki tobie, dzięki twej pomysłowości mam swoje zarobki.

Peters patrzył na niego z rozrzewnieniem.

W połowie lipca Pax rozpoczął kampanię reklamową. Cartridge ubawiony czytał jego ogłoszenia:

Stary, pierwszorzędnie odrestaurowany hotel nad brzegiem morza. Ceny umiarkowane. Dobra kuchnia. Garaże i stajnie. Specjalność: staranna obsługa, wyszukana grzeczność.

W tymże czasie zorganizował personel z tą bezstronnością i zmysłem psychologicznym, który cechował go w życiu w ogóle.

Kucharka została mianowana gospodynią. Peters miał pełnić obo-

wiązki portiera i mieć pod swymi rozkazami „chłopaka”. Z pobliskiego miasta przyjechał kelner mający doskonałe świadectwa. Pod jego rozkazami umieszczono trzy wiejskie dziewczyny.

W trzy dni po pierwszym ogłoszeniu zjawił się gość, którego odwiedziny natchnęły Petersa najżywszym optymizmem. Był to sam doktor Boniface, właściciel szkoły jazdy.

Zadaniem Petersa było oprowadzać przyjezdnych, a więc i tego miejscowego potentata, po hotelu i ogrodzie.

Uczynił to, wychwalając nowe urządzenia. Wygłosił też hymn na cześć kapitana i w końcu poprowadził gościa przed jego oblicze.

— Oto jest kapitan Pax, nowy dyrektor — przedstawił swego pana. — On pana poinformuje o cenach i o wszystkim, co pan chce wiedzieć.

Pax, nie oczekując żadnej wizyty, ubrany był po domowemu i doglądał umieszczenia wielkiego zwierciadła w hallu. Odwrócił się i ujrzał przed sobą wysokiego, szpakowatego pana, który przyglądał mu się ciekawie.

— To wielkie przedsięwzięcie — rzekł przybysz.

— Tak jest, sir — przyznał Pax. — Jeżeli pan zechce po trudzić się ze mną do biura, udzielę panu chętnie wszelkich informacji.

Poszli tam i usiedli naprzeciw siebie.

— Jestem doktor Boniface, słyszał pan może o mnie? — spytał duchowny.

— Owszem, sir słyszałem.

— Pańskie nazwisko brzmi: kapitan Pax?

— Nazywam się Packersley.

— A*a* — nastąpiła chwila milczenia. — Więc rozmawiam z kapitanem Packersley'em? Czy tak? — upewniał się duchowny z widocznym zakłopotaniem.

— Tak jest.

— Z tym właśnie kapitanem Packersley'em?

— Jeżeli tak się panu podoba mnie określić...

— Rozumiem! — rzekł poważnie doktor Boniface. Zdjął okulary i czyścił je starannie. — Doszły mnie pogłoski, że tak jest w istocie, hm... ale nigdy nie wierzę w żadne plotki, dopóki ich sam nie sprawdzę. Żałuję, kapitanie Packersley.

— Doprawdy? — spytał Pax sucho.

— Tak, ogromnie żałuję. — Dr Boniface włożył okulary, jakby te były jego puklerzem. — To bardzo zaszkodzi interesom firmy. Nie mogę polecać krewnym moich uczniów pańskiego hotelu, nie wyjawiając im pańskiej tożsamości.

— O tym pan tylko sam może sądzić — rzekł Pax. Dr Boniface pochylił głowę z godnością.

— Sprawa pańska była tak głośna i wywarła tak niekorzystne wrażenie... Czułbym się zażenowany, że...

— Nie chciałbym — przerwał Pax lodowato — żeby ktokolwiek przez nieświadomość pogwałcił swe zasady, wprowadzając się do tego domu. Mam nadzieję, że pan nie skieruje tutaj nikogo, sir.

— Och! — odchrząknął dr Boniface, zdejmując ponownie swe okulary. — To jest dla mnie niespodzianką, powiedziałbym nawet miłą niespodzianką, kapitanie Packersley!

Pax mimo woli się uśmiechnął.

— Nie sądził pan, że rozumiem, co to są zasady.

— Ależ, drogi panie! — zaprotestował duchowny zakłopotany.

— Rozumiem — rzekł Pax — ciąży na mnie plama, jakkolwiek, w Wielkiej Brytanii niewinny jest każdy człowiek, któremu nie dowiodą[^] iż jest winny.

— Proszę pana — przerwał doktor Boniface — stawia mnie pan w nad wyraz kłopotliwym położeniu.

— Ja sam nie znajduję się w najłatwiejszym — odrzekł Pax z lekkim uśmiechem. — Ale nie trwoży mnie to. Ja idę naprzód z podniesioną głową.

— Podziwiam pana — rzekł starszy mężczyzna poważnie.

— Nie gonię za podziwem — rzekł Pax. — Pragnę tylko mieć możność stwierdzenia pracą i uczciwym życiem, jak dalece sprawiedliwy wydano na mnie wyrok uniewinniając mnie. Osiągnę cel.

— Nie mogę odmówić szacunku pańskim dążeniom i pańskiemu stanowisku — rzekł dr Boniface.

— Tylko takie stanowisko czyni życie znośnym. Ten człowiek, który pana oprowadzał przed chwilą, powiedział mi kiedyś, abym patrzył w stronę wschodzącego słońca. Nie jest to oryginalne powiedzenie, ale w ustach tego prostaczka uderzyło mnie ono do tego stopnia, że od tej pory zawsze tak postępuję.

— Kochany chłopcze! — zawołał dr Boniface.

Machał okularami, aż w końcu odłożył je na bok i otworzył księgę, do której wpisywali się odwiedzający.

— Sądzę, że pan wie już wszystko, co pan pragnął wiedzieć — rzekł Pax. — Nie proszę pana o przysyłanie tu swoich przyjaciół, ale gdyby przybyli, uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby byli zadowoleni z pobytu.

— Tu jest prześlicznie — rzekł dr Boniface wymijająco.

— Tu odpoczywa się tak, jak bodaj nigdzie—rzekł Pax w zamyśleniu. Zaległo znowu milczenie. Wreszcie dr Boniface wyciągnął spontanicznym, nieoczekiwanym ruchem dłoń do Paxa.

— Kapitanie Packersley — rzekł. — Widzę, że wyrządziłem panu krzywdę. Przepraszam pana za nią. Jest pan w każdym razie bardzo porządnym człowiekiem i mam nadzieję, że pańskie wysiłki zostaną uwieńczone powodzeniem. Jeżeli pan pozwoli, będę mówił wszystkim znajomym, że tym hotelem zarządza mój osobisty przyjaciel.

Uwolnił rękę z uścisku Paxa równie gwałtownie, jak ją podał, po czym odwrócił się szybko, jakby chcąc uniknąć przedłużania się tej przykrej dla niego sytuacji.

— Bardzo pan jest dobry, sir — rzekł Pax doszedłszy do drzwi.

— Bynajmniej, bynajmniej. Mam nadzieję, że się niebawem spotkamy — odrzekł dr Boniface i odszedł z godnością. Pax wracał zwykle do Silverhayes wieczorem, na obiad. Cartridge źle się czuł o tej porze, a klientów jeszcze nie było, tak że dla Paxa samego nie warto było gotować obiadu. A jeżeli ktoś zjawiłby się niespodziewanie, to Peters zawsze zdąży zatelefonować po kapitana.

Wieczór był strasznie upalny, nadciągały gęste chmury. Odległość była niewielka, ale ścieżka wspinała się stromo pod górę, a Pax szedł wolnym krokiem. Dzień był męczący, rozmowa z doktorem Bonifacem wyczerpała go bardziej niż praca. A ta praca była ciężka, tym bardziej, że pomocy nie miał znikąd. Cartridge miał tę jedną zasługę, że nie stawiał mu w niczym przeszkód, ale była to pomoc bierna.

A jednak ten niespodziewany objaw sympatii ludzkiej dodał Paxowi dzisiaj otuchy. Zmęczony, ale z ulgą w sercu szedł pod górę. Miał przeświadczenie, że wizyta Boniface'a była punktem zwrotnym w jego życiu, że ona przyniesie mu szczęście.

Na ostatnim zakręcie ścieżki spotkał się nagle oko w oko z Klarą. Biegła, lekko zdyszana, trzymając w ręku jakiś list.

— Ach, to ty! — rzekła widocznie zmieszana. — Sądziłam, że to listonosz.

— Czy coś się stało?

— Nie, ale sędzę, że nadciąga burza.

— Tak wygląda. Ale nie bój się, dziecko. W Anglii burze nie bywają groźne.

— Nie o mnie chodzi. Yvonne jest zdenerwowana bardziej niż zwykle. I w Anglii przed burzą jest parno, a przy tym to ciśnienie...

— Zdaje mi się — przerwał Pax — że dla Yvonne najlepszą rzeczą byłaby codzienna kąpiel w morzu.

Klara potrząsnęła głową gwałtownie.

— O, nie, nie rozumiesz. Ona nie jest neurasteniczką, jak tobie się wydaje. Jej cierpienie jest znacznie poważniejsze. W niej jest jakby jakaś złamana sprężyna. To nie jej wina. Biedactwo! Po prostu życie obeszło się z nią zbyt okrutnie.

— Dlaczego nie wzywasz lekarza? — spytał Pax. Doszli do furtki ogrodu. Otworzył ją i przepuścił Klarę.

— Gdybym tylko wiedziała, że jej to pomoże! — westchnęła. — Wszystko bym uczyniła dla niej. A jest to raczej choroba duszy, a nie ciała. Nie znam lekarza, który by jej mógł dopomóc.

— Psychiatra — poddał Pax.

— Nie! — odrzekła Klara składając ręce jak do modlitwy. — Nie rozumiesz. Jej szczęścia potrzeba, szczęścia, które by jej przyniosło ukojenie i zapomnienie. Czy jakikolwiek specjalista — lekarz może jej dać szczęście?

Szli w milczeniu przez chwilę.

— Yvonne urodziła się po to, aby być szczęśliwa, stworzona jest do szczęścia — ciągnęła dalej Klara. — Szczęście było jej żywiołem. Nie znałam nigdy człowieka o tym usposobieniu; jest to kwiat stworzony do blasku, do światła, do słońca i nie mogący żyć bez tych czynników radości. Małżeństwo jej było nieszczęśliwe. Guy nie był odpowiednim mężem dla niej! Biedny Guy, on nie rozumiał kobiet! To minęło. Ale teraz, gdyby szczęście mogło się do niej uśmiechnąć, byłaby jeszcze uratowana. To jest jedyna kuracja, jakiej ona potrzebuje, a żaden lekarz nie zdoła jej uratować.

Mówiła to z głębokim smutkiem, on zaś nie miał odwagi przeczyć. Kiedy zbliżali się do progu domu, rzekł nagle:

— Uczynię wszystko, aby ci przyjść z pomocą, wiesz o tym? Zwróciła się ku niemu.

— Pragnę, abyś chciał uczynić to samo dla niej przez wzgląd na nią, nie tylko dla mnie.

Sposepniał. Nic nie odpowiedział. A ona na ten widok wyminęła go szybko, przekroczyła próg i pobiegła do pokoju chorej, nie oglądając się za siebie. Zrozumiał, że ta chwila niemego oporu znów ją oddaliła od niego. Yvonne była jabłkiem niezgody pomiędzy nimi. A była to księga zamknięta po wsze czasy, której nie wolno będzie otworzyć nigdy. Co z tego wyniknie? To pytanie zadawał sobie z wewnętrznym drżeniem, wsłuchując się w dźwięk dalekiego grzmotu, wpatrując się w oślepiające błyskawice.

BURZA

Burza wybuchnęła dopiero w nocy z taką potęgą rozszalałych żywiołów, iż, rzekłbyś, zmiecie wszystko z powierzchni ziemi.

Pax, leżąc pod dachem w swoim małym pokoiku przy otwartym oknie, jak to było jego zwyczajem, obudził się i patrzył na oślepiające błyskawice, wsłuchiwał się w groźny pomruk grzmotów. Wtem doszły go inne dźwięki. Najpierw rozległ się krzyk, potem jęk, a następnie słychać było zamykanie okien i trzaskanie drzwiami. Hałas, z jakim krople deszczu spadały na dach tuż nad głową Paxa, był ogłuszający, ale on pochwycił baczny uchem te odgłosy i natychmiast zerwał się z łóżka. Zarzucił na siebie wierzchnie odzienie i zbiegł po schodach na pierwsze piętro.

Tu zatrzymał się przy poręczy. Wszędzie było ciemno, tylko błyskawice rozjaśniały drżącym światłem korytarz niemal bezustannie. Huk burzy przypominał salwę armatnią, ale nad nimi górował jeszcze hałas ulewnego deszczu, spadającego na szyby z potęgą wodospadu. Te potoki wody, ta moc żywiołu nasuwały Paxowi myśl o Indiach, o kraju wygnania, gdzie pogrzebane zostały jego najpiękniejsze nadzieje, najdroższe ambicje.

Cała ta przeszłość, o której pragnął zapomnieć, stanęła nagle przed nim z całą siłą. Uprzytomnił sobie wszystko, co stracił, ogarnął go straszny żal, ale stał na pozór niewzruszony jak posąg wpatrując się w błyskawice.

Indie... koledzy... pułk... parada wojskowa... komenda... marsz! Wspomnienie było tak żywe, tak plastyczne, że ogromny ból zatamował

mu oddech. Odrzucił to wszystko od siebie z taką stanowczością, że mogło mu się wydawać, iż to istotnie przesłoniło się mgłą zapomnienia. Wypełnił sobie życie pracą, posypał popiołem różne minione szczegóły, ale teraz odnajdywał nagle samego siebie wśród udreki, jak człowiek budzący się ze snu narkotycznego. Ta dzika burza, te szumiące potoki ulewy, to poruszyło w nim najtajniejsze warstwy duszy. Indie... utraceni przyjaciele... plama na honorze!... I gdy tak stał jak zahipnotyzowany, coś się zdarzyło. Ujrzał w świetle błyskawicy jakąś postać w turbanie na głowie, przesuwającą się bez szmeru. To go ocuciło. Ghulam! Dlaczego Ghulam włóczył się po domu w nocy? Czy Klara go wezwała? Czy też była to jego osobista tajemnica i jaka?

Burza stawiała się mniej gwałtowna, ale błyskawice dostatecznie oświetlały jeszcze korytarz. Pax posunął się w kierunku pokojów Klary i Yvonne. Ale znowu przystanął, bo posłyszał za drzwiami jednego z pokojów ten sam jęk, który go doleciał na górze.

Jęk ten pochodził z sypialni Yvonne. Przez szparę pod drzwiami widać było smugę światła. Staął i słuchał uważnie. Usłyszał głos Klary, cichy, słodki, pełen czułości.

— Ależ to nic, kochanie! Doprawdy, nikogo tu nie ma. To tylko błyskawice.

Znowu piorun uderzył gdzieś w pobliżu. Pax nie słyszał odpowiedzi. Ale stał w dalszym ciągu pod drzwiami, bez ruchu, wyczekujący.

Kilka sekund upłynęło w ciemnościach, po czym rozległ się znowu straszny krzyk, równoczesny z oślepiającą błyskawicą.

— Nie, Nie! Nie trzymajcie mnie! Nie trzeba! Czy nie widzicie... o! Latarka... Latarka... On ją ma w ręku... podnosi ją do góry... on mnie...

Tu rozległ się przeraźliwy, ostry krzyk. Pax, nie czekając już dłużej, ruszył ku drzwiom i chwycił za klamkę. Ale zanim zdążył ją nacisnąć, inna ręka, szczupła, giętka, zręczna, uprzedziła go.

Tuż przy jego ramieniu zabrzmiał szept:

— Czy pan kapitan pozwoli przejść swemu słudze?

Pax cofnął szybko swoją rękę i zdał sobie sprawę, że Ghulam ze zwinnością i giętkością węża wślizgnął się do pokoju przez tak wąski otwór w uchylonych przez siebie drzwiach, że Pax, jakkolwiek szczupły,

nie byłby się w nim zmieścił. Niósł coś na tacy ze zręcznością zawodowego zonglera, ale Pax nie dojrzał, co to było. Drzwi zamknęły się bez szmeru; kapitan dosłyszał szybkie przekręcenie klucza w zamku i rozumiał ku swemu zdumieniu że Hindus uniemożliwił mu dostęp do pokoju, w którym znajdowała się Klara.

Nieczęsto Pax dawał się porywać emocjom. Gdyby Klara sama była przekręciła klucz w tym zamku, byłby przyjął ten wyrok bez szemrania. Ale zostać wyrzuconym z pokoju żony lub jej bratowej przez służącego, to już przechodziło jego wytrzymałość nerwową. Zerwało się w nim oburzenie i wzięło górę nad dyskrecją.

Zapukał ostro do drzwi.

— Klaro! — zawołał — Klaro! Otwórz! Muszę z tobą pomówić. Cisza śmiertelna była odpowiedzią na te słowa. Po chwili rozległ

się rozziewający krzyk.

— Nie! Nie! Nie wpuszczaj go! On mnie nienawidzi. Klaro! Odpraw go!

Znowu rozległ się huk pioruna, a Pax stał i czekał z wykrzywioną twarzą. Kiedy huk przebrzmiał, zapukał ponownie, ale już ciszej, natomiast bardziej stanowczo.

Drzwi otworzyły się nagle i na progu stanęła Klara. Stała tak sekundę, po czym wyszła na ciemny korytarz, zamykając drzwi za sobą.

— Paxie, co to jest! Czego chcesz? — spytała szeptem.

Nie rozróżniał rysów jej twarzy, ale czuł natężenie wszystkich nerwów tej wątłej kobiety.

Odpowiedział jej wprost na pytanie:

— Zszedłem, aby się dowiedzieć, co się dzieje, a ponadto nie pozwolę, aby Ghulam zamykał mi drzwi przed nosem.

Proszę, odpowiedz mi, co się tu dzieje?

Westchnęła głęboko, zanim zdołała wymówić słowo.

— Nie możesz, niestety, w niczym mi dopomóc — szepnęła. — Yvonne dostała istnego ataku z powodu burzy, ale już jest lepiej. Proszę cię, wracaj do łóżka i pozwól mi czuwać nad nią.

— Nic podobnego nie uczynię — odrzekł Pax.

— Ależ ty nie możesz nic na to poradzić, Paxie. Ona niebawem uspokoi się. Ghulam przyniósł jej właśnie filiżankę kawy. Mają zawsze w pogotowiu dla Yvonne.

— Pozostanę tutaj, dopóki jej nie będzie lepiej — oświadczył Pax nieugiętym tonem. — A ty zostawisz drzwi nie zamknięte na klucz.

Błyskawica ukazała mu nagle twarz żony. Była na niej wyryta taka boleść, taka rozpacz, takie śmiertelne znużenie, że litość go ogarnęła. Wyciągnął do niej dłoń.

— Nie będę ci przeszkadzał, ale nie mogę cię pozostawić samą w tych warunkach. Musisz to zrozumieć — dodał łagodniej.

Nie dotknęła jego ręki. Może jej nie widziała po ciemku. Ale nagle zasłoniła twarz dłońmi i posłyszał wyraźnie jej ciche łkanie. Zanim zdążył ją pochwycić w objęcia, była już za drzwiami Yvonne.

Burza oddalała się; w sypialni chorej było teraz cicho. Domyślał się, że Yvonne zapada znowu w swój letargiczny sen, że Klara i Ghulam siedzą przy niej w milczeniu.

Czekał długo, długo. Słysząc było tylko ciężki, równy oddech uspiętego człowieka.

Wreszcie usłyszał lekki szmer. Ghulam wysunął się i zbliżył się do niego przez drzwi, które podobnie jak przedtem uchyliły się zaledwie.

Przybliżył się:

— Pani śpi — szepnął z oczami błyszczącymi jak u kota.

— Dobrze! — odrzekł Pax krótko.

Nie cierpiał Ghulama, ale to nie był moment na upust swych uczuć osobistych, przy tym był to służący Yvonne, nie jego własny. Ghulam milczał przez chwilę.

— Panienska nie chce jej odstąpić — szepnął znowu — chce spać przy niej.

W głosie jego brzmiało szyderstwo, a Pax poczuł gorące uderzenie krwi do głowy. Za wiele wycierpiał tej nocy.

— Co masz na myśli, do diabła? — ryknął. — W tym domu nie ma żadnej panienski. Wynoś się, ty przeklęty psie! Albo kopnę cię, aż się zatoczysz!

Ghulam wybrał to pierwsze ze zwinnością, która uwolniła go od niebezpieczeństwa, zanim Pax skończył zdanie.

Zniknął jak cień, ale w ciemnościach doleciał uszu Paxa śmiech bardziej wrogi, niż wszelka słowna pogróżka. Pax patrzył za nim usiłując przebić wzrokiem mrok, który krył nowego wroga. A ten wróg nie tylko go nienawidził, lecz gardził nim tak, jak tylko człowiek Wschodu może gardzić mężczyzną,

który nawet żony nie może nazwać swoją własnością. Pokusa była silna doścignięcia Hindusa i chwycenia go za gardło. Ale zwalczył ją. Bo zakłócić spokój, jaki nareszcie zapanował w sypialni chorej, to byłoby nieomal zbrodnią. Jeszcze trudniej było oprzeć się pokusie uchYLENIA drzwi sypialni i wywołania Klary. Ale i tę zwalczył w końcu. Klara była zmęczona długim czuwaniem. Okrucieństwem byłoby pozbawić ją dobrze zasłużonego odpoczynku. Teraz cisza panowała wszędzie. Nawet dalekich pomruków burzy nie było już słychać. Najwyższym wysiłkiem woli opanował się i wrócił do swego pokoju. Ale nie usnął już tej nocy. Leżał z otwartymi oczami i nadśluchiwał, aż doczekał się świtu, który wdarł się przez otwarte okno.

GOŚĆ Z DALEKA

Pax zbyt był zajęty podczas następných dni, aby zwrócić baczniejszą uwagę na wypadki w Silverhayes. Jego kampania ogłoszeniowa i wizyta doktora Boniface'a zdawały się jednocześnie dawać rezultaty. Pax pracował bez wytchnienia od rana do późnego wieczora.

Podczas tygodnia wyścigowego w pobliskim mieście hotel zapelniał się po brzegi, a w czasie świąt nie mógł pomieścić wszystkich przyjezdnych. Ludzie, którzy przyjeżdżali wiedzeni ciekawością, zostawali na dłużej, lub zamawiali pokoje na późniejszy sezon.

Sierpień i wrzesień były cudne. Pax nie mieszał się do zabaw swych gości, nie narzucał się nikomu, ale był stale pod ręką, gotów na każde skinienie klienta, który by zażądał czegoś lub miał jakąś reklamację.

Cartridge był w siódmym niebie i nie miał dość słów uznania dla swego dyrektora, który dziękował mu za nie subtelnym uśmiechem.

Najgorętszym przyjacielem Paxa stał się teraz dr Boniface, który uważał go za swego protegowanego. Ta przyjaźń wyrugowała wszelkie przesady socjalne z otoczenia eks-kapitana. Ale Pax, szczerze wdzięczny, nie miał zamiaru poprzestawać na tej protekcji. Chciał iść o własnych siłach i projektował już kampanię reklamową na sezon zimowy. Chciał bowiem stworzyć w Wychmere ośrodek sportów zimowych. Praca pochłaniała go coraz bardziej; sypiał jeszcze w Silverhayes, ale z każdym dniem jaśniejsze było, że nie jest on tam niezbędny, ani nawet pożyteczny, tak że rozmyślnie starał się oderwać swą myśl od Klary. Widywał ją najwyżej raz dziennie i nie rozmawiał z nią prawie wcale. Domyślał się, że w stanie Yvonne nie zaszła zmiana.

Ale też dlatego wahał się, czy można pozostawić Klarę bez opieki. Zauważył, że ona spoglądała na niego z trwogą, gdy zbliżał się do niej, a patrzyła za nim z ulgą, gdy odchodził. Atmosfera Silverhayes była dla niego nie do zniesienia. Przyczyniał się do tego i Ghulam.

Ten schodził mu z drogi. Unikał go wyraźnie. Bezcelowe byłoby naleganie na odprawienie go, dopóki Klara uważała jego obecność za nieodzowną dla Yvonne. A przecież było mało prawdopodobne, aby Yvonne mogła się otrząsnąć ze wspomnień, dopóki będzie miała wciąż przed oczami tę egzotyczną postać, to wcielenie Indii i Wschodu. Ale Pax zdawał sobie sprawę, że tu żadne argumenty nic nie wskórają. Klara wiedziała dobrze o jego antypatii i nie liczyła się bynajmniej z jego zdaniem.

Nadeszła chwila, w której powiedział sobie z całą bezwzględnością, że Klara go nienawidzi. Zdawała się czekać na jakiś fakt, mieć chwilami jakąś nieokreśloną nadzieję. Wpływ Silverhayes na stan Yvonne zawiódł. Teraz czekała na coś innego. Ale na co? Pax był poza obrębem jej uczuć, jej zwierzeń.

Nigdy ani jednym słowem nie okazała mu zainteresowania jego pracą. Coraz jaśniej widział, że sytuacja między nimi jest i będzie zawsze naprężona, że nie ma pomiędzy nimi kontaktu, że to małżeństwo nie może być trwałe. Tęsknił do tych czasów, kiedy ona była w pewnej mierze zależna od niego, kiedy dane mu było dbać o nią i o Yvonne. Ale te czasy skończyły się, a tym samym zniknęła jedyna możliwość intymności pomiędzy nimi. Wypełnił więc sobie życie pracą, a jego serce krwawiło.

Nadszedł wrzesień, hotel opróżniał się powoli. Kilka starszych małżeństw mieszkało jeszcze u Paxa, ale już minął ten sezon, podczas którego Peters odprawiał gości od drzwi z dumną miną.

Z początkiem października zrobiło się dżdżysto, ostatni goście wyjechali. Hotel zaludniał się tylko podczas weekendów.

Pax skorzystał z tej przerwy, aby się zakrzętnąć koło przygotowań do sezonu zimowego. Kupił saneczki i bobsleje, pojechał kilkakrotnie do Londynu. Sypiał jednak wciąż jeszcze w Silverhayes, o ile nie był w podróży.

Peters był zakochany. Zakochał się bez pamięci w miejscowej kucharce, Helenie. Pewnego dnia przed wieczorem oświadczał się jej

właśnie, zwalczając wymownie jej wstręt do małżeństwa, gdy wtem na progu stanęła wysoka postać męska. Peters nie mógł rozpoznać w półmroku październikowym rysów przybysza. Przekreślił kontakt, a kucharka umknęła.

— Mr Markham! Czy być może? Jak się kapitan ucieszy!

— Czyżby? — odrzekł Chris i podał mu rękę z uśmiechem, który był raczej grymasem, niż wyrazem pogodnej uprzejmości. — Cieszy mnie w każdym razie, że tak mniemasz. Jak się masz, Petersie? Dobrze?

— Owszem, dobrze proszę pana. Wybrnęliśmy jakoś, jak pan widzi — odrzekł Peters z niemałą dumą.

— Wspaniale! Czy zechcesz pójść i zameldować mnie kapitanowi? I powiedz mu, że przyjechałem na dłuższy czas, rozumiesz? Potem przyjdź po moje walizki.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł Peters i zniknął za drzwiami hallu.

MISJA

Pax był nieobecny przez cały dzień. Teraz siedział z Cartridgem, przykutym do swego pokoju i do fotela atakiem reumatycznym i opowiadał, co załatwił w mieście, gdy wtem zjawił się Peters z wielką nowiną.

— Pan Markham przyjechał z Indii, czeka na dole — oznajmił Peters. Pax przez chwilę milczał. Był zdumiony. Wreszcie zerwał się.

— Przepraszam, Cartridge, muszę iść. Wrócę później. Jest to mój serdeczny druh.

Cartridge skrzywił się.

— Peters dotrzyma panu towarzystwa i pogawędzi, aby pana rozweselić, a ja po obiedzie poproszę pana o pomoc w pracy.

— Ja, sir, muszę iść po bagaż pana Markhmana. Przyjechał na dłuższy pobyt.

— Ach, tak? Już ja zajmę się wszystkim. Pozostań przy panu Cartridge'u.

— Tak, zostań, Petersie — prosił chory, który pod wieczór niechętnie zostawał sam w swoim pokoju.

Przywitanie Paxa z Chrisem było nad wyraz serdeczne. Zamienili mocny uścisk dłoni.

— Chłopcze kochany! — rzekł Pax — Dlaczego nie dałeś mi znać?...

— Chciałem ci zrobić niespodziankę — uśmiechnął się Chris. — Jak się miewasz, stary? Trzymasz się? A jak obie panie?

Głos jego nie zdradził przy tych słowach żadnego niepokoju, ale wpił się w przyjaciela oczami, zadając mu to pytanie.

— Nie ma ich tutaj — odrzekł Pax zwięźle. — Wejdz do mnie, napijemy się czegoś. W jaki sposób odszukałeś mnie?

— Mam swój własny urząd wywiadowczy — odrzekł Chris wesoło. — Ale uważam, że nieładnie postąpiłeś, nie pisząc do mnie ani słówka.

— Masz słuszość, ale byłem piekielnie zapracowany. Co ty porabiasz? Masz chyba urlop w drodze wyjątku?

— Trafnie się domyśliłeś — rzekł Chris. — Patrz, mam tu kwit bagażowy; czy Peters będzie mógł pójść po moje rzeczy?

— Pójdzie po nie trochę później — rzekł Pax. — Teraz chodź do mnie.

— Ogień na kominku! — wykrzyknął Chris radośnie. — To dobrze. Dziś jest wściekle zimno.

— Złą porę wybrałeś na przyjazd do Anglii — rzekł Pax krzając się po pokoju.

— Nie ja ją wybrałem! — rzucił Chris grzejąc się nad ogniem. — Gdzie moja Elfrydzia?

— Zobaczysz się z nią niebawem.

— Mam zamiar zobaczyć się ze wszystkimi — rzucił Chris niedbale. Pax postawił na stoliku kieliszki i butelkę.

— Ja bym tego nie czynił na twoim miejscu — rzekł spokojnie.

— Ale nie jesteś na moim miejscu, mój stary — odrzekł Chris z uśmiechem. — Dobrze człowiekowi, gdy się znajdzie znowu w naszej kochanej Anglii. Chcę, aby mi na niczym nie zbywało. To dla mnie? Dziękuję! Twoje zdrowie!

— Powiedz mi szczerze, co cię sprowadza — odrzekł Pax poważnie.

— Nie powiem ci, że nic szczególnego mnie nie sprowadziło, bo nie uwierzyłbyś mi.

— Obyś był pozostał w Indiach! — rzekł Pax niemal gwałtownie. Chris sposepniał.

— Fatum srogo się ze mną obeszło. Walczyłem z sobą, ile tylko sił mi starczyło. Ale los był silniejszy ode mnie. Trzeba dać żyć i drugim!

— W jakim celu przybyłeś? — spytał Pax zmęczonym głosem. — Twój romans skończył się od dawna.

— Mylisz się. Właśnie że romans mego życia dopiero się zaczął. Ale czy musimy dyskutować nad tym właśnie w tej chwili? Jest

tyle innych palących tematów! Peters mówił mi, że wybrnąłeś, jak się wyraził.

— Peters jest zacnym przyjacielem. Aleja nie mogę zmienić tematu, Chrisie! Słuchaj, ja wiem, po co przyjechałeś. Otóż moim zdaniem możesz tylko wyrządzić sobie i jej straszną krzywdę.

— W takim razie będzie to mój pogrzeb — odrzekł Chris chłodno. — Ale dziękuję ci, mój drogi, za ostrzeżenie. Od razu wiedziałem, że cię mój widok nie ucieszy, ale przyjechać musiałem i muszę tu pozostać. Tak że nie widzę potrzeby rozprawiania o tym daremnie.

— Przyrzekłeś, że będziesz się od niej trzymał z daleka.

— Nie, tego nie przyrzekałem. Mówiłem, że będę się starał. I starałem się. Ale bezskutecznie. Okoliczności były silniejsze ode mnie.

— Jakie okoliczności? — spytał Pax.

— Po co wchodzić w szczegóły? Przy tym, daruj, ale nie widzę, jakie masz zastrzeżenia przeciw moim odwiedzinom. Tamten incydent jest zapomniany, pogrzebany. Wiem, ile wycierpiałeś z tego powodu i strasznie mi przykro, wierzysz mi chyba? Ale i ona cierpiała bardzo, a nie rozumiem, jaki jest cel cierpienia na świecie w ogóle. To po prostu nie ma sensu.

— Nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji.

— Może i ty nie uświadamiasz jej sobie. Może nigdy nie zdawałeś sobie z niej sprawy. Uważałeś to wszystko za flircik, za baraszkowanie z mej strony. To był twój błąd. Jestem dojrzały, niż ci się zdaje. Ja ją kochałem. Ty może myślisz, że zachowywałem się jak żak, jak złodziej cudzego szczęścia. Ale Chisledon był skończoną świnią i ty wiedziałeś o tym. Kochałem ją i do dziś dnia ją Kocham. Nic tego nie zmieni, nic i nikt, nawet ty.

— Mój drogi chłopcze, jak mi cię żal.

— Mnie? — zdumiał się Chris.

— Tak, bo rozczarujesz się srodze. Yvonne nigdy nie wyjdzie za mąż za ciebie.

— Dlatego że jest chora?

— Skąd wiesz o tym? Chris zniecierpliwiał się.

— Nie o to chodzi. Nie przypuszczasz chyba, żeby to było w moich oczach przeszkodą?

- Ależ ona jest dotknięta ciężkim rozstrojem nerwowym. Twój widok może jej tylko zaszkodzić.
- Niemniej zobaczę się z nią. I ożenię się z nią, o ile ona zechce.
- Nie zechce.
- Nie zechce! Skąd, do diabła, masz tę pewność?
- Mniejsza o to. Dość, że ją mam.
- Nie, to nie wystarcza. Bynajmniej, Paxie! Powiesz mi, co masz na myśli, albo przestaję w ogóle zważać na twoje słowa.
- Nie nalegaj, Chrisie. Ta kobieta złamała mi życie, to wystarcza. Nie chcę, żeby złamała i twoje.
- Paxie, to nieładnie z twojej strony! Przecież to nie była jej wina! A przecierpiała piekło za tę nie popełnioną winę! Cierpiała przedtem i potem. A ty osiągnąłeś coś: zdobyłeś Klarę.
- Nie, Chrisie — odrzekł Pax bębniąc nerwowo w kieliszek palcami. — Yvonne zdobyła Klarę, nie ja. Yvonne zdobywa wszystkich, posiada wszystkie serca, ale ciebie nie dostanie, za to ręczę!
- Jakim sposobem chcesz temu zapobiec, człowieku? Co ty ukrywasz przede mną?
- Pax drżał, chociaż panował nad sobą najwyższym wysiłkiem woli.
- Zrozum mnie — mruknął przez zaciśnięte zęby. — Poruszyłem dla twego dobra ziemię i niebo. I teraz uczyniłbym wszystko, aby cię uratować. Ale ta kobieta zniszczy cię, a ja będę bezradny. Zniszczy cię, ale nie będzie twoją żoną, nie da ci szczęścia.
- Urwał i przetarł dłonią czoło, jakby chciał odpędzić stamtąd coś, czego Chris nie umiał dostrzec.
- Przyjechałeś w szaleńczej misji, chłopcze — ciągnął Pax dalej. — Gdybyś mnie był uprzedził, byłbym ci odradził przyjazd. Teraz jest za późno. Ale posłuchaj mnie; przenocuj tu i odjeżdżaj jutro z rana.
- Chris ściągnął brwi.
- Żałuję — odrzekł chłodno. — Czynię to, co czynię, na własne ryzyko. Zobaczą się z nią w każdym razie.
- Temu nie mogę przeszkodzić, to jasne — rzekł Pax spokojnie. — Ale gdybyś był mądry, zaczekałbyś z tym przynajmniej do jutra.
- Dlaczego? — W głosie Chrisa zabrzmiała trwoga i pewna podejrzliwość.
- O ile wiem, ona nie widuje o tej porze nikogo prócz Klary

i Ghulama. Ona jest podobno zupełnie nienormalna psychicznie. Może o tym nie wiedziałeś?

— Wiem, że jest chora. Ale w jej wieku to nie może być nieuleczalne. Nigdy w to nie uwierzę. Wyleczy się. Musi się wyleczyć.

— Nie wyleczy się, dopóki Ghulam będzie przy niej — odrzekł Pax z siłą. — A nikt nie zdoła jej skłonić, aby się z nim rozstała. Tak, że jak już rzekłem, obawiam się, że przybyłeś tu w szaleńczej misji.

Chris odrzucił głowę w tył wyzywającym ruchem.

— Trudno. Jestem tutaj, nie cofnę się przed niczym. Żałuję, że się ze mną nie zgadzasz, ale nawet to nie wpłynie na zmianę mego postanowienia.

— Popelniasz wielki błąd — rzekł Pax powoli. — Ale rzecz jasna, że to twoja sprawa, a nie moja. Żałuję również, bardzo!

Chris zwrócił się ku niemu gwałtownie.

— Nie mówmy już o tym! Tak się za tobą stęskniłem!

— Czy tak? — spytał ze smętnym uśmiechem. — Służę ci papierosem! Poślę niebawem Petersa po twoje rzeczy.

Podał mu papierośnicę, a Chris, dziwnie łagodny i zadumany, wziął papierosa szepcząc: „Dziękuję”.

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie Pax wstał, wzruszył ramionami i wyszedł, pozostawiając Chrisa samego przy kominku.

A Chris poruszył węgle nogą i mruknął:

— Biedny chłop! Jakież on zmieniony!

OTWARTE KARTY

Pax wrócił do Silverhayes, znużony, zniechęcony.

Wolnym krokiem skierował się ku drzwiom w głębi korytarza na pierwszym piętrze. Z zewnątrz dojrzał, idąc ku domowi, światło w oknie Klary.

Zapukał. Odpowiedział mu zniżony głos:

— Chwileczkę, Ghulamie! Powiedz panu, że już idę! Pax zapukał powtórnie i odezwał się:

— Klaro! Czy mogę wejść?

Nastąpiła chwila ciszy. Potem szybkie kroki i na progu stanęła Klara. Włosy miała rozpuszczone, spływały po bladym błękitnie szlafrocza. Oczy jej wyrażały przerażenie:

— Co się stało, Paxie? Coś złego?

— Czy mogę wejść, Klaro?

Spojrzała za siebie niepewnym wzrokiem, po czym cofnęła się.

— Chyba. Czy się coś zdarzyło?

Wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

— Tak. Muszę z tobą pomówić, coś ci powiedzieć. Spojrzała trwożnie.

— Yvonne czeka na mnie. Może mnie wezwać lada moment. Jeżeli to nie jest bardzo pilne, to odłóżmy to do jutra, dobrze?

— Nie. Żałuję. Yvonne może cię wezwać z rana również. Słuchaj, Klaro! Dzisiaj przyjechał ktoś z Bhanapore. Czy nie domyślasz się, kto?

Oczy jej rozszerzyły się. Zbladła. Ale głos jej brzmiał pewnie, gdy spytała:

186

— Czy Chris Markham?

Pax przyjrzał się jej badawczo. Przypuszczał, że... tak, ale jeszcze i teraz w to nie wierzył. To niemożliwe!

— Wiedziałaś o tym? — spytał cichym głosem. Pochyliła nisko głowę.

— Tak, oczekiwałam jego przyjazdu. Napisałam do niego.

— Ty... napisałaś do niego!

— Tak. Doniosłam mu o jej chorobie. Wezwałam go. Powinien wiedzieć...

— Wezwałaś go?

— Tak. On jest jej chyba coś winien, on, który ją wpędził w to nieszczęście!

— Uczyniłaś to w tajemnicy przede mną!

— Uczyniłam to, co mi nakazywało sumienie. To jedyna szansa ocalenia jej.

— A on? Czy on się wcale nie liczy?

— Liczy się, naturalnie. Ale i on będzie szczęśliwy.

— Szczęśliwy? Ten chłopiec, mający całe życie przed sobą, ma się ożenić z tą pół-wariatką, którą...

— Paxie, przestań! — krzyknęła. — Ona nie jest wariatką, nic podobnego! Nie masz prawa tak mówić! Jesteś okrutny, zły!

Odwróciła się od niego, jakby już nie mogła znieść więcej. Ramiona jej podnosiły się i opadały gwałtownie.

Ale on nie okazał współczucia, chociaż tak rzadko widywał u Klary objawy silnego wzruszenia.

— Muszę mówić prawdę, muszę być brutalny raczej niż uczuciowy. Wiedziałaś, że takie stanowisko zajmę i dlatego napisałaś do niego, nic mi o tym nie wspominając.

Nie odpowiedziała. Usiadła na brzegu łóżka: ramiona zarzuciła na ramię. Głowę oparła o splecione ręce i tak pozostała bez ruchu.

On stał, patrząc na nią zimno i badawczo. Nie niósł jej pociechy. Przyszedł tu, aby ranić, a nie aby leczyć.

— Dlaczego to zrobiłaś, co tobą powodowało? Wiedziałaś, że nigdy w życiu na to nie pozwolę!

Znów nie odpowiadała.

— Otóż ja przeszkodzę temu nowemu nieszczęściu — oświadczył z siłą.

— Och! — zerwała się rozplamieniona, drżąca. — Paxie, nie! Teraz, kiedy on przyjechał, pozostawisz rzeczy ich biegowi... To jedyny ratunek. Ona go kocha, on widocznie kochają również, w przeciwnym razie nie byłby przyjechał. Paxie, nie możesz... nie wolno ci stanąć... na przeszkodzie... nie wolno ci druzgotać...

Urwała, była śmiertelnie blada. Łzy jej spływały po wychudłych policzkach.

— Paxie, wiem, że uważałeś za niewłaściwe ich zachowanie się w Indiach. I miałaś słuszość. Ale i małżeństwo jej było nieodpowiednie, nieszczęśliwe. Nie popełniam nielojalności względem Guy'a, stwierdzając to szczerze. On nie dał jej szczęścia. Nieraz czyniłam sobie wyrzuty, że to ja wprowadziłam go w jej życie. Oni się nie kochali prawdziwym uczuciem. A ona i Chris są stworzeni jedno dla drugiego. Oni nie mogą żyć bez siebie. O, Paxie, Paxie! Nie stawaj na ich drodze! Od ich spotkania zależy wszystko... więcej, niż przypuszczasz!

Słowa jej przeszły w głośne łkanie. Oparła głowę o jego piersi, włosy spadały jej na ramiona, wydzielając słodką, delikatną woń.

Ale Pax stał nieporuszony, z oczami wlepionymi w przestrzeń.

— Nie zgodzę się na to nigdy — rzekł w końcu. — Wiedziałaś i Chris wiedział również, że będę temu przeciwny. Jest to czyn nieuczciwy. Usiłujesz naprawić jedno zło drugim, znacznie większym. W każdym razie nie zrozumiałem, dlaczego ci się wydaje, że Chris może dać kobiecie szczęście, którego nie mógł jej zapewnić Chisledon? Wiesz w duchu, że Yvonne jest obecnie mniej zdolna do małżeństwa niż kiedykolwiek, a zasadniczo nie uważam jej za stworzoną do związku małżeńskiego w ogóle. Małżeństwo zaś z takim chłopcem jak Chris nie może się przyczynić do uspokojenia jej nerwów, wręcz przeciwnie. To jest nie do pomyślenia.

— Ale szczęście może ją wyleczyć! — Znowu podniosła ku niemu błagalną twarz. — Nie sądź, abym nie rozpatrzyła tej kwestii pod każdym kątem! Otóż doszłam do wniosku, że to jest jedyny ratunek. Ona ciągle marzy o Chrisie, czeka na niego jak na wybawiciela, który wyrwie ją z tej udręki. Modliłam się tygodniami, aby Chris zrozumiał i przyjechał. Paxie, nie możesz się przeciwstawić, to byłoby złym uczynkiem.

— Możliwe — rzekł Pax przez zęby. — Tym niemniej to uczynię.

Przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

— To nie może być — rzekła. — A zresztą nie powiesz ci się to. Chris nie usłucha cię.

— Nie będę z nim rozmawiał na ten temat. Pomówię z Yvonne.

— Z Yvonne! Czy sądzisz, że cię dopuszczę do niej? Może nie powinnam tego mówić. Byłeś taki dobry dla nas obu! Ale wysłuchaj mnie, Paxie! Jeżeli pozwolisz im się zobaczyć, jeżeli pozostawisz rzeczy ich biegowi, to niebawem stanę się znacznie mniej potrzebna Yvonne, może nawet stanę się zbędna. A tego... przecież... pragniesz? Powiedziałam ci, że Yvonne musi być na pierwszym planie, prawda? Ale o ile Yvonne będzie szczęśliwa, szczęśliwa i zdrowa... no, to ja będę wolna. Jeżeli jeszcze chcesz, żebym była ci żoną... w takim razie nie powinienesz działać wbrew własnym interesom.

Urwała wyczerpana. Zasłoniła twarz dłońmi na chwilę, ale niebawem odjęła je i spojrzała na niego błagalnie.

— Stało się! Powiedziałam te słowa! — rzekła, siląc się na uśmiech. — Wiem, że dotychczas niewielką rolę odegrałam w twoim życiu od chwili naszego ślubu, ale powetuję ci to... będę naprawdę twoją żoną... gdy Yvonne i Chris się pobiorą!

— A więc to jest cena? — spytał Pax powoli.

Zawahała się. Oczy jej błędziły niepewnie. W końcu spuściła powieki.

— Możesz tak postawić kwestię, jeżeli wolisz — odrzekła.

— Jeżeli wolę! Ja! Śmiesz mi to powiedzieć, ty?!

Wykonała gwałtowny gest protestu, ale przestała się opierać, gdy wziął ją szorstko za ramiona.

— Możliwe, że źle się wyraziłam... — zaczęła niepewnym głosem. Przerwał jej:

— Bardzo źle! Myślisz, że mnie przekupisz, ofiarowując mi to, co każdy inny byłby sobie od dawna wziął na moim miejscu. Każdy, tylko nie taki głupiec jak ja! Które z nas jest większym szaleńcem, ty czy ja?

Głos jego stał się chrapliwy przy tych słowach. Otoczył ją ramionami. Przycisnął brutalnie jej wątłe ciało do siebie i przytulał ją coraz mocniej, coraz gwałtowniej.

Wreszcie uniósł ją do góry i złożył na łóżku.

Krzyknęła:

189

— Paxie! Paxie! Błagam cię! O, Boże, cóż ja uczyniłam!

Nie podniósł głowy ani nie przemówił. Jedyłą odpowiedzią był żelazny uścisk ramion i namiętne całowanie jej ust i piersi. Opadła na poduszki. Siły jej były wyczerpane.

— Paxie — wyszeptała złamanym głosem — cokolwiek uczyniłam, intencje moje były zawsze prawe i dobre. Nie miałam zamiaru cię podejść. Zawsze dążyłam do gry w otwarte karty... w otwarte karty...

Głos jej zamarł.

Podniósł głowę, oderwał wargi od jej ust, od jej szyi, jakby go biczem podciął. Przyjrzał jej się ciekawie, a zarazem miał w oczach błysk, który nasunął jej mimo woli porównanie do dzikiej bestii. Powoli, powoli, rozluźnił uścisk, aż wreszcie osunął się przy łóżku na kolana i ukrył głowę w dłoniach.

Zapanowało milczenie, straszne milczenie, podczas którego ona czekała z przerażeniem na jakiś okropny wybuch. Ale nic nie nastąpiło. Klęczał nieruchomo, nie słychać było jego oddechu. Wreszcie, kiedy nerwy jej doszły do ostatecznego napięcia, podniósł głowę: był szary jak popiół.

— Masz słuszność — rzekł i uśmiechnął się dziwnie, a uśmiech ten zabolął ją, jakkolwiek sama nie umiałaby określić dlaczego. — Musimy grać w otwarte karty, ty i ja. Musimy być prawymi ludźmi. I to obowiązuje nas wzajemnie.

— Powiesz jutro Yvonne — dodał — że żadna siła na świecie nie skłoni mnie do zezwolenia na jej małżeństwo z Chrisem Markhamem lub z kimkolwiek innym. To jest moje ostatnie słowo.

Miał zamiar odejść, ale Klara wyciągnęła ku niemu rękę. Nie mogła wstać. Nie odzyskała jeszcze sił po tym wstrząsie. Ale mówić już mogła, a głos jej dźwięczał stanowczo, chociaż był bardzo cichy.

— Paxie, dlaczego miałabym jej to powiedzieć? Czy masz władzę nad nią? Czy masz moc przeszkodzenia temu małżeństwu?

Spojrzał na nią ponuro. Odzyskał już panowanie nad sobą; z namiętności, która wykrzywiła mu rysy przed chwilą, śladu nie pozostało.

— Zapytaj jej się! — odrzekł. — Ona wie!

Wolnym krokiem poszedł ku drzwiom. Zatrzymał się na chwilę, nie odwracając się. Doszedł ją jego zimny, spokojny głos:

191

— Pamiętaj, że gramy w otwarte karty! Że winniśmy sobie prawość niezłomną! Jeżeli jej tego nie powiesz, ja sam to uczynię.

Otworzył nagle drzwi i wyszedł, zamykając je za sobą.

Leżała bez ruchu, słyszała jego oddalające się kroki, słyszała, jak wchodził na górne piętro, jak wszedł do pokoju, a potem taki odgłos, jak gdyby rzucił się na łóżko. Wówczas, cała drżąca, zatopiła twarz w poduszce i zaszlochała.

CIEŃ

Słońce wyzierało zza chmur następnego dnia z rana, gdy Chris wchodził krętą ścieżką do Silverhayes i mijał furtkę ogrodu. Nie patrzył na okolice, nie interesował się krajobrazem. Noc spędził niespokojnie, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, że nie poszedł natychmiast do Yvonne, że w ogóle wstąpił najpierw do hotelu. Ale teraz miał to już za sobą, nie czas było na żale. Przypomniawszy sobie, że ona leży złożona niemocą, że nie można było meldować się do niej o tak późnej porze, że Pax miał słuszną rację odradzając mu to. Inna sprawa, że Chris nie uznawał mieszania się w nie swoje sprawy: jego życie obchodziło jego samego i nikogo więcej.

Pogwizdując z cicha podszedł do ciężkich, okutych drzwi.

Tu zatrzymał się na chwilę. Drzwi były otwarte, ale z wewnątrz nie dolatywał żaden szmer. Było coś tragicznego w tej ciszy, przynajmniej w jego odczuciu.

Wtem usłyszał odgłos lekkich kroków i znalazł się oko w oko z Klarą. Była bardzo blada, lecz spokojna; szła ku niemu z wyciągniętą dłonią.

— Chris! — zawołała. — Jak się miewasz? Chodź do ogrodu, porozmawiamy.

Spojrzał na nią chciwym wzrokiem.

— Jak się miewa Yvonne?

— Niezbyt dobrze, niestety. Ale chodźmy tutaj, a opowiem panu wszystko. Usiądziemy tam, pod ścianą. Dzień jest ciepły.

Oparta na jego ramieniu skierowała się ku ławce, na którą padła, jakby już nie miała sił stać dłużej ani chwili.

— Nie powiedziałam panu najważniejszej rzeczy pisząc do pana: Yvonne nie jest normalna. Zdruzgotał ją wstrząs, jakim była dla niej śmierć Guy'a. Liczę na pana, że pan ją uzdrowi, w panu cała moja nadzieja!

Chris chwycił ją za rękę.

— Słusznie, po to przyjechałem, aby pomóc, aby ją uzdrowić!

— Wiem. Pan ją kocha. Ale teraz sama nie wiem, czy słusznie postąpiłam, wzywając pana. Tyle jest przeszkód...

— Jakie? — spytał Chris łagodnie.

— Sama nie wiem, dlaczego byłam taka słaba! Niech mi pan przebaczy. Ale ona tak strasznie cierpiała, że w końcu uciekła się do narkotyków. Nie posądzałam jej o to przez długi czas. Ale później, kiedyśmy tu zawitali, zaczęłam coś podejrzewać. Aż wreszcie osiągnęłam pewność. Ale ona tak się już przyzwyczaiła do narkotyku, że nie mogłam jej odzwyczaić. Nie miałam niczego, czym bym go mogła zastąpić. Sądzę, że bez tego byłaby dostała pomieszania zmysłów. Ghulam zapewnia mnie, że dawki są minimalne. Na pana liczę, na pański wpływ... — Znowu urwała i podniosła dłoń ku twarzy, szepcząc — to jeszcze nie wszystko...

— Ja jej pomogę — odrzekł Chris. — Ja ją odzwyczaję od trucia się narkotykami. Ona zapomni o tym i o przeszłości, skoro tylko będziemy razem, skoro będziemy szczęśliwi. Klaro, Klaro, co się dzieje? Tu nie ma powodu do łez. Pani jest przemęczona, przedenerwowana...

— To prawda — przyznała. — Ale to nie jest jedyny powód mych łez. Po prostu był pan ostatnią deską ocalenia, a teraz widzę, że nie wolno mi liczyć na pana.

— A to dlaczego?

— Dlatego — odrzekła z wahaniem — że Pax nie chce słyszeć o tym.

— Och, do licha! — przerwał Chris gniewnie. — Cóż to nas może obchodzić, co Pax o tym myśli? Nie po to przyjechałem z Indii, aby żyć pod jego dyktandem. Chodźmy do niej, dobrze?

— Nie można — odrzekła Klara. — Pax traktuje tę sprawę niesłychanie poważnie i nie chce słyszeć o waszym związku.

— Nic mnie to nie obchodzi!

— Ale on ma jakąś utajoną władzę nad nią i może temu przeszkodzić. On ma wpływ na nią, nie wiem dlaczego.

— Nie wierzę w to.

— A jednak to jest pewne. Zresztą on jest silny, walka z nim byłaby nierówna.

— Moja droga pani Klaro — rzekł Chris poważnie — on nie jest tak wszechmocny, jak pani sądzi. Wie zapewne o tych narkotykach, ale to też nie gra roli. My jesteśmy wolni ludzie. Nie może nam zabronić wziąć ślub, kiedy zechcemy.

— Obawiam się, że może temu zapobiec — rzekła Klara — twierdził to z taką pewnością. On jest zdania, że ten związek unieszczęśliwi pana.

— Tylko tyle? — zawołał Chris i roześmiał się. Ale zauważył, że jej usta drżą, więc przeprosił ją za ten niewczesny wybuch wesołości.

— A kiedyż mi pani pozwoli zobaczyć się z nią?

— Chrisie! Obiecałam PaxoWi, że jej powiem, iż on sobie tego nie życzy. Nie uczyniłam tego dotychczas. Ona nie wie, że pan przyjechał.

— No to teraz jej to oznajmimy oboje — odrzekł Chris stanowczym tonem.

— Ale on zagroził mi wczoraj, że sam jej powie... a on zawsze robi wszystko, co zapowiada i co chce. Może by pan z nim pomówił przede wszystkim.

— Jedynym argumentem Paxa w rozmowie ze mną było jej zdrowie — rzekł Chris. — A przy tym nie będę się mu tłumaczył. To nie jest sprawa pani i jego, to jest sprawa Yvonne i moja, sprawa drugiej pary ludzi. Przeszkód nie ma. Ona jest wolna.

— Nie zdaje mi się, żeby jej zdrowie było jedyną przeszkodą.

— A jakąż jest jeszcze?...

— Nie wiem... Ale nie chciałabym drażnić Paxa. Czuję w nim jakąś moc utajoną, czuję tu jakąś straszną tajemnicę... Zeszłej nocy powiedział mi, żebym się zapytała Yvonne, co stoi na przeszkodzie waszemu związkowi, a ona mi odpowie... Ona wie, o co chodzi...

— I cóż?

— Nie zadałam jej tego pytania...

Zapanowała cisza, przerywana tylko szumem drzew.

— Przecież nie mogło nic się stać... między nimi... owej nocy... to niemożliwe... — szepnął Chris wreszcie.

Klara wzruszyła lekko ramionami. Nie była już pewna niczego na świecie.

— Cóż uczynimy? — spytała wreszcie zniżonym głosem.

— Pójdziemy do Yvonne. Muszę się z nią widzieć — odrzekł stanowczo.

Klara drgnęła.

— Niech się pani nie obawia... Teraz domyślam się, co zaszło między nimi i dowiem się całej prawdy.

— Chrisie! Co pan daje do zrozumienia! Czy to być może? Ona zawsze pana kochała! A Pax... Pax...

— Nie zna pani świata i natury ludzkiej. Nigdy nie wiadomo... Najserdeczniejszy druh zdradza nas w godzinie zmysłów... Zresztą — dodał z okropnym uśmiechem — przypuszczam, że w owym czasie miał do niej tyleż praw, co i ja, czyli żadnego prawa.

Klara drżała na całym ciele.

— Niech pan tego nie mówi! To... niemożliwe!

— Crofton miał pewne podejrzenia... Szkoda, że go tu nie ma!

— To nieprawda, nieprawda! — krzyknęła nagle Klara z akcentem rozpaczy. — To nieprawda! Gdybym w to miała uwierzyć... Boże wielki!...

— O, przepraszam panią — Chris opanował się wysiłkiem woli. — Tak, prawda! Pani go kocha! Nie pomyślałem o tym.

Splotła dłonie.

— Boże, dopomóż mi! — jęknęła. — Boże, dopomóż mi! Chris porwał ją za rękę.

— Niech pani nie rozpacza! — rzekł zniżonym głosem. — Głupiec ze mnie! Nie, naturalnie, to nieprawda! Niech pani wyrzuci z pamięci te idiotyczne słowa! Przyszło mi to na myśl tylko dlatego, że ona jest taka cudna, że nie mieści mi się w głowie, jak może mężczyzna jej się oprzeć. Klaro! Klaro!

Otrząsnęła się z trudem z okropnego wrażenia.

— Nic już, Chrisie — rzekła. — Opanujmy nasze wyobraźnie! Nie mówmy ani nie myślmy nigdy już o tych rzeczach. Jakiegokolwiek natury może być ta przeszkoda, nie jest to w żadnym razie to właśnie.

— Nie, i ja jestem tego pewien — rzekł Chris i uśmiechnął się do niej. — Jesteśmy zdenerwowani i lada cień nas przeraża. Trzeba z tym skończyć.

Ale mimo tej wymiany uśmiechów cień padł na ich dusze i zaciemnił do reszty ich serca.

ZAPOMNIANA MIŁOŚĆ

Yvonne leżała w swoim pokoju na kanapie przy otwartym oknie. W lecie, na usilne prośby Klary, zeszła parę razy do ogrodu i tam odpoczywała na leżaku, ale z własnej inicjatywy nie ruszała się z sypialni. Teraz lato było skończone, a ona była rada, że może leżeć spokojnie i nie wysilać się w żadnym kierunku. Trwoga, jaka ją ongi opadała wieczorami, ustąpiła prawie zupełnie. Przyczynił się do tego spokój, jaki panował w Silverhayes. Ale żyła w zupełnej martwocie. Była blada, zeszczupiała bardzo, ale poza tym nie robiła wrażenia chorej. Oczy zdawały się nie pragnąć niczego i rzadko kiedy wyrażała jakieś życzenie.

Zawsze leżała przy niej jakaś powieść. Czasem czytała, ale częściej leżała cichutko, tak jak w ów poranek-październikowy, z oczami wpół przymkniętymi, sennymi, ze złożonymi rękami, obojętna na wszystko, co by się dokoła niej mogło zdarzyć.

Była jeszcze wciąż prześliczna, ale inaczej niż przedtem. Blask zgasł, urok żywości zniknął. Była teraz pięknnością posagu. Odeszła od niej młodość, a może tylko, jak się łudziła Klara, uśpiona została na czas jakiś, na okres przejściowy. A na to miejsce zjawilo się coś nieokreślonego, niezapomnianego, co nie zniknie nawet wtedy, gdy będzie miała lat 50. Klara niekiedy doznawała wrażenia, że jest to oblicze podobne do twarzy umarłych, zastygłe, obojętne, dalekie od ziemi. Wydawało jej się, że budzenie chorej z tego snu byłoby bezcelowym okrucieństwem, nieledwie profanacją.

Lato wlokło się powoli, każdy dzień był dla niej ciężarem. Jedyne

jej podporą był Ghulam, któremu nigdy nie dowierzała całkowicie Parę razy chciała posłać po lekarza, ale nie było żadnego w pobliżu, a przy tym Yvonne wykazała takie pragnienie spokoju.

— Jedyne, czego pragnę, to absolutna cisza — powtarzała nieraz Klara sama sądziła, że dla chorej duszy było to najlepszym lekarstwem

Pewnego dnia Ghulam rzekł do niej:

— Pani naszej potrzebny jest pan Markham, panienko.

Klara zaczęła umiejętnie badać Yvonne. Ta nie potwierdzała niczym tego przypuszczenia, gdy wtem podczas burzy obudziła się w nocy krzyząc i wołając rozpaczliwie: „Chris! Chris! Na pomoc!”. Klara nie czekała już dłużej.

Natychmiast wysłała list do Chrisa i na tym oparła resztkę nadziei.

Paxowi nie wspomniała o tym liście ani słówkiem, bo bała się jego protestu. Dla Klary jasny był brak wszelkiej sympatii między Paxem a Yvonne. Było to dla niej niepojęte. W głębi duszy wiedziała, że Pax nie pozwoliłby sobie na antypatię niczym nie umotywowaną. Doszła do wniosku, że jego prawość burzyła się na dawne stosunki Yvonne z Chrisem, że nie mógł jej przebaczyć tego postępowania, niezgodnego z obowiązkami kobiety zamężnej. Tym bardziej zmuszona była działać bez jego wiedzy.

Ale nie przewidziała, że w ostatniej chwili on pokrzyżuje jej plany ze stanie do walki z nią, jawnej, bezwzględnej. Teraz nawet wierzyć jej się w to nie chciało. A podejrzenie, wyrażone przez Chrisa w odpowiedzi na jej zwierzenia, wstrząsnęło nią do głębi. Idąc do Yvonne po schodach przeklinała swój pomysł napisania do Chrisa; byłaby wołała, żeby ten list nigdy nie był doszedł.

Ale gdy weszła do sypialni, gdy ujrzała znowu tę mizerną twarzyczkę, wstąpiła w nią szalona nadzieja. A może jednak jest to jedyne sposob uratowania chorej? Żeby tylko Pax dał się przekonać! Odrzuciła precz wszelkie podejrzenia, zatruwające jej czystą duszę: nie wolno pozbawiać Yvonne jedynej możliwości ocalenia.

Pochyliła się nad nią. W rękę trzymała paśową, aksamitną różę Położyła ją łagodnie tuż przy policzku chorej.

— Nie śpisz, maleńka?

Yvonne otworzyła oczy i zwróciła na nią obojętne spojrzenie.

— Jaka piękna! — szepnęła na widok róży.

— Tak, jesienne róże zawsze są najpiękniejsze. Włożę ją do wody i postawię przy tobie.
— Dziękuję, droga moja — szepnęła Yvonne. Klara przyklęła przy łóżku.
— Czy bardzo jesteś zmęczona?
— Tak, okropnie zmęczona...
— Tak że nie mogłabyś się zobaczyć z naszym dawnym przyjacielem?
— Przyjacielem? Kto to taki?
— Ktoś, kto przyjechał z Indii, maleńka, ktoś, kto myśli o tobie.
— Przybysz z Indii? — powtórzyła Yvonne i spojrzała dziwnie na Klarę, prosząco, trwożnie.
Klara pocałowała ją w czoło.
— Czy zdziwiłabyś się bardzo — szepnęła słodko — słysząc, że Chris Markham jest tutaj na urlopie i przyszedł cię odwiedzić?
— Chris Markham? — powtórzyła Yvonne bez tchu. — On jest tutaj?
— Czeka za drzwiami. Czy mogę go wprowadzić?
— Nie, nie! Czeka! Dlaczego on chce mnie widzieć? Przecież on mnie opuścił...
— Kochanie, on tu nie wejdzie, o ile mu nie pozwolisz. Każę mu odejść bez zobaczenia się z tobą.
— Nie, nie czyn tego — rzekła Yvonne, tym razem spokojnie. — Mniejsza o to, czy go zobaczę, czy nie. Teraz to już wszakże obojętne, czyż nie?
— Nie, o ile to cię ma zmęczyć. Nie pozwolę mu pozostać zbyt długo przy tobie.
— Ciekawa jestem, co go sprowadza — rzekła Yvonne.
Klara nie odpowiedziała. Powstała z klęczek i poszła ku drzwiom.
— Może pan wejść, panie Chrisie.
Chris wszedł. Objął wszystko jednym spojrzeniem: słoneczny pokój, leżak pod oknem, na nim nieruchomą kobietę. Zaledwie zwróciła głowę w jego kierunku, ale na jej policzki wystąpił krwawy rumieniec.
Klara szepnęła ostrzegawczo:
— Niech pan pamięta, że nie wolno jej drażnić ani wzruszać! Niech pan nie rozmawia z nią zbyt długo!

Wysunęła się z sypialni; Chris przytaknął w milczeniu i zajął jej miejsce przy leżaku.

Dreszcz przeszył Yvonne. Z wolna podniosła na niego oczy.

— Yvonne!

— Chrisie!

Ukląkł i pocałował ją w rękę.

— Dlaczego jeszcze chorujesz?

— Czy ja jestem chora? Przytulił twarz do jej ręki.

— Teraz wyzdrowiejesz szybko w każdym razie.

— Doprawdy? — spytała Yvonne patrząc na niego ze zdziwieniem. — Nie zmieniłeś się wcale — dodała.

— Naturalnie, że nie — odrzekł Chris dumnie — jakkolwiek przebyłem piekło, zanim tu dotarłem.

Drgnęła.

— Od czasu naszego rozstania! Jak to dawno!

Chris zaczerwienił się. Czy zbliża się do strefy niebezpiecznej? Teraz jedynym jego celem było oszczędzenie jej wszelkich cierpień, pragnął uniknąć wymiany wspomnień.

— Tak — rzekł. — To było dawno, tamten okres jest skończony. Został z niego tylko ten jeden fakt, że myśmy się poznali, że się znamy, ty Yvonne, i ja, my dwoje!

— Nie wiem, czy znamy się naprawdę — odrzekła posepnie.

— Yvonne, pamiętasz, ukochana, jak tańczyliśmy w kasynie, pamiętasz nasze rozmowy w parku?...

— Tak, a potem rozstaliśmy się i nie spotkaliśmy się nigdy więcej...

— Owszem: teraz. Westchnęła.

— Tak, na krótką chwilę.

— Dlaczego nie na zawsze? Teraz nie ma już przeszkód między nami.

— Nie ma... przeszkód... — powtórzyła jak echo. Pochylił się ku niej, usiłując stopić jej lód w swoim ogniu.

— Yvonne, ukochana, kocham cię tak samo, jak cię kochałem. Przyjechałem do Anglii, po to tylko, aby ci to powiedzieć.

— Ale... w takim razie, dlaczego odjechałeś ode mnie? Dlaczego mnie porzuciłeś?... Byłeś mi bardzo potrzebny!...

— Musiałem odjechać. Powinnaś była to zrozumieć, ukochana. I z pewnością rozumiałaś! Odjeżdżałem z rozpaczą, ale nie mogłem pozostać!

— Moja rozpacz była straszniejsza — odrzekła ze skargą w głosie.

— Ale teraz to już przebrzmiało, najdroższa. Już wszystko zło minęło. Jesteśmy wolni oboje i możemy wyruszyć w dalszą drogę. I nigdy już cię nie odstąpię, moja Yvonne wyśniona! Przysięgam, że nigdy nie pozostawię cię samą.

— Już za późno — rzekła zmęczonym głosem.

— Za późno! Cóż za nonsens! — odrzucił Chris z siłą. — Nie jest za późno! Ja cię kocham. Nigdy nie przestałem i nie przestanę cię kochać, Yvonne. I ty mnie kochasz również. Nie możesz zaprzeczyć. Zawsze kochaliśmy się i nie potrzebowaliśmy słów, aby się porozumieć.

— Boję się... że zapomniałam, co to jest miłość... — szepnęła z tragiczną prostotą.

— Yvonne! — wsunął ramię pod jej poduszkę — spójrz na mnie, najdroższa! Ja ci przypomnę, co znaczy miłość. Powieki jej zadrgały, ale wnet opadły.

— To wszystko należy do tego minionego okresu, okropnego... kiedy człowiek czuł... i cierpiał... Ale teraz już po wszystkim. Sam to powiedziałeś. Już nie można więcej odczuwać ani więcej cierpieć...

— Yvonne! Yvonne!... Nie mów tak, kochanie moje! Dopiero rozpoczynamy życie, ty i ja. Słuchaj, ukochana! Zabiorę cię daleko stąd i nauczę cię szczęścia. Jeszcze nigdy nie byłaś szczęśliwa. Ale będziesz... będziesz niewypowiedzianie szczęśliwa... ze mną... Spójrz na mnie, droga, spójrz na mnie! Życie nie jest skończone. Zaczyna się teraz dopiero!

Urwał. Ona leżała bez ruchu, ale otworzyła oczy i popatrzyła na niego. W tym spojrzeniu było coś, co przejęło go dreszczem.

— Moje życie nie zaczyna się, Chrisie — rzekła cichym, stanowczym głosem — dla mnie już wszystko skończone.

— Nie! — krzyknął z rozpaczą w głosie. — Ukochana, słuchaj, słuchaj! Trzymam cię w objęciach. Teraz jesteś chora, zmęczona, ale to się zmieni. Wyzdrowiejesz i będziesz szczęśliwa. Yvonne, najdroższa, kochasz mnie przecież! Powiedz mi, że mnie kochasz!

Trzymał ją mocno w ramionach przy tych słowach i widocznie udzieliło jej się coś z jego intensywnego odczuwania, gdyż objęła go za

szyję, leżąc. Ale nie było w niej namiętności. Ciało jej było ciężkie, bezwładne.

— Sądziłam, że cię kocham, było to przedtem.

— A teraz? — nalegał. — Kochasz mnie jeszcze. Jestem ci niezbędny.

— Byłeś mi nieraz bardzo potrzebny, a nawet niezbędny — szepnęła smutno — ale nigdy nie byłeś przy mnie...

— A teraz jestem przy tobie — zawołał tryumfalnie — jestem przy tobie, ukochana, na zawsze!

Usta jego spoczęły na jej ustach, ale ona nie reagowała na jego namiętny pocałunek. Całował posąg. Kiedy ją złożył delikatnie na poduszce, miała zamknięte oczy i twarz śmiertelnie bladą.

— Yvonne! — zawołał, zaniepokojony — Yvonne! Co się stało? Nie obraziłem cię chyba?

Odpowiedziała tak cichym szeptem, że ledwo mógł rozróżnić wyrazy:

— Nie! Nie! Tylko jestem taka zmęczona... Pozwól mi odpocząć! Odejdź! Odejdź!

Poczuł dławienie w krtani. Spotkał się z czymś, wobec czego był bezsilny. Klęczał w milczeniu i przyglądał jej się bacznie.

Leżała nieruchoma, skąpana w blaskach słonecznych. Lecz on widział, że ona nie śpi ani nie straciła przytomności. Zapadła tylko znowu w to odrętwienie, z którego nikt nie mógł jej wyrwać. I nagle powstał w nim bunt. Nie będzie znosił biernie takiego nieszczęścia!

— Yvonne! — szepnął namiętnie. — Powiedz!... Czy odprawiasz mnie z... powodu... Paxa?...

— Paxa! — drgnęła na dźwięk tego nazwiska. Otworzyła oczy szeroko, na dnie jej źrenic dostrzegł szaloną trwozę.

— Dlaczego pytasz mnie o to? Co Pax ci powiedział? Zasłoniła twarz dłońmi i płakała.

— Odejdź, Chrisie. Czyż już nie dosyć wycierpiałam? Czy to musi trwać wiecznie? Czy Pax nie mógł mi tego przynajmniej oszczędzić?...

Chris wstał z klęczek. Ta chwila wstrząsnęła nim do głębi. Krtąń miał wciąż jeszcze ściśniętą, nie byłby zdołał wykrztusić ani słowa, a nie miał też nic do powiedzenia.

Ponury odszedł od łkającej postaci. Tak więc Pax był przeszkodą, Pax, który zamordował jej męża, a potem ożenił się z siostrą ofiary, ażeby ocalić swą głowę. Pax! Pax!

WEZWANIE

Było już po obiedzie, gdy Chris wszedł do hallu hotelowego. Odzież na nim przemokła, ale on nie śpieszył się w stronę swego pokoju, aby się przebrać. Poszedł prosto do pokoiku, w którym Pax siedział przy kominku, paląc papierosa. Rzucił gwałtownym ruchem kapelusz na krzesło.

Twarz jego była blada i zapadnięta. Wyglądał jak człowiek wyczerpany, oczy tylko błyszczały niezdrowym blaskiem.

Nie odpowiedział na powitanie Paxa, podszedł do niego i spojrzał mu prosto w oczy.

— Mam z tobą niezwłocznie do pomówienia.

— Zgoda, mój drogi — odrzekł Pax pogodnie. — Ale najpierw włóż suche ubranie, przemokłeś do nitki.

— O to mniejsza. Gorsza rzecz mnie spotkała i będę z tobą dziś mówił wyraźnie i tak długo, jak długo przedmiot będzie tego wymagał.

— Tak, ale nie teraz — rzekł Pax stanowczo. — Pójdiesz przede wszystkim się przebrać, a ja przyślę ci Petersa z rozgrzewającym napojem. Następnie zejdziesz na dół i zjesz obiad! Trzymają ci go od dawna. Dłużej jedzenie nie może czekać, bo wszystko się zmarnuje!

— Nie będę jadł obiadu w twoim towarzystwie! — wybuchnął Chris.

— Owszem... chociażby to miało być po raz ostatni — odrzekł Pax z całym spokojem. — Nie będę z tobą prowadził dyskusji na żaden temat, zanim się nie przebierzesz i zjesz obiadu. Bez szaleństw, mój chłopcze! Jeżeli się rozchorujesz, nie pomożesz nikomu, a sobie poważnie zaszkodzisz!

Chris zaklął przez zęby. Tamten znów miał nad nim przewagę. Wziął kapelusz do ręki i zniknął za drzwiami. Pax zadzwonił na Petersa.

— Przyrządź cocktail i zanieś go natychmiast do pokoju pana Markhama i namów go, ażeby wziął ciepłą kąpiel. Z obiadem jeszcze poczekamy. On przemókł do nitki!

— Ale, proszę pana, może by pan coś zjadł? Pan jest chyba strasznie głodny!

— Nie, nie, zaczekam na niego. Śpiesz się, Petersie!

Gdy Peters wybiegł za drzwi, Pax pograżył się w głębokiej zadumie. W zwykłych warunkach byłby poszedł z Chrisem do jego pokoju i pomógłby mu się przebrać, rozmawiając o tym i owym. Dzisiaj wyczuł od razu, że się coś zmieniło. Ale co? Zapewne Yvonne odrzuciła oświadczyzny chłopca, a ten przypisał winę wyłącznie Paxowi, jego bezpośredniej interwencji. Było to niedorzeczne, ale takie zrozumiałe zarazem!

Prawdy nikt się nie domyśli. Prawda pozostanie po wsze czasy ukryta dla tych wszystkich, którzy go potępiają i cierpią przez niego. Nawet Klara musi cierpieć nadal, bo on nie może wyjawić jej strasznej rzeczywistości. Może by jednak raczej to przyniosło ulgę tej biednej, kochanej Klarze? Z pewnością nawet, lecz jemu honor nie pozwala na obwieszczenie prawdy komukolwiek, nawet w cztery oczy.

Westchnął głęboko. Patrzył w jeden punkt, w ogień.

W kilka sekund później usłyszał dzwonek telefoniczny w biurze. Z wysiłkiem podniósł się, poszedł zdjąć słuchawkę, wiedząc, że o tej godzinie nikt już nie urzęduje.

W biurze było ciemno i chłodno. Przekręcił kontakt wchodząc. Wziął do ręki słuchawkę i usłyszał głos Klary.

— Chciałabym mówić z kapitanem Packersley'em. Bardzo pilnie! Złe przecucie tknęło Paxa. Nigdy nie słyszał z jej ust tak poważnego, tak naglącego wezwania.

— Jestem przy aparacie — odrzekł. — Co się stało?

— O, Paxie! Czy możesz tu przyjść niezwłocznie? Yvonne... źle się czuje... posłałam po lekarza... Przyjdź zaraz, Paxie, proszę, natychmiast! Nie mów nic Chrisowi! Nie trzeba, żeby przyszedł wraz z tobą.

— Dobrze — odrzekł Pax. — Za chwilę będę na górze. Usłyszał lekkie westchnienie.

— Pośpiesz się! — rzuciła jeszcze błagalnym tonem i odwiesiła słuchawkę.

Pax podszedł do biurka. Na bloku nakreślił następujące wyrazy: *Nie czekajcie z oUiadem. Zobaczę się z Tobą później.*

Pax

Położył kartkę na stoliku pod schodami, sięgnął po kapelusz i płaszcz nieprzemakalny i podszedł ku drzwiom. Zatrzasnęły się za nim z hałasem. Deszcz siekł mu policzki, oślepił go chwilami. Szedł po ciemku, ale znał drogę zbyt dobrze, aby się wahać. Przebył część drogi biegnąc, niosła go myśl, że Klara czeka, że jest jej potrzebny. Ujrzał wreszcie przed sobą światło nad gankiem domu. Jednym susem był w przedsionku.

Panowała tu złowroga cisza. Pax doznawał wrażenia, że jest sam jeden w tym domu.

Zaczął wchodzić po schodach. Z pewnością nie był sam, ale gdzie się obracają domownicy, gdzie jest Klara? Od ich rozmowy upłynęło zaledwie pięć minut. Postanowił nie dzwonić, gdyż na odgłos dzwonka zjawi się Ghulam, a od niego nie dowie się prawdy. Wtem usłyszał lekkie kroki, które byłby rozpoznał wszędzie i o każdej porze. Na piętrze, u szczytu schodów stała Klara.

Spostrzegła go w tejże chwili, zatrzymała się. Zdawała się mierzyć własne siły. Oczy jej patrzyły w jakąś nieuchwytną dal.

Zwróciła wzrok na niego, skoro stanął przed nią.

— Przyszedłeś! — szepnęła. — Wszak telefonowałam do ciebie, nieprawdaż?

Ujął jej rękę. Była zimna jak lód.

— Klaro! — rzekł — oprzytomnij, dziecko! Co się stało? Powiedz mi!

Oczy ich się spotkały, ale ona wciąż miała ten daleki, wystraszony wyraz.

— Odeszła... Umarła... — rzekła zdławionym głosem.

— Dziecko moje! — rzekł Pax. Otoczył ją ramieniem, jakkolwiek nie okazywała potrzeby oparcia się o cokolwiek lub kogokolwiek i nie zdawała się odczuwać tej opieki. — Chodźmy do jadalni i opowiedz mi wszystko! Jak się to stało?

Stała na miejscu.

205

— Zwiększona dawka. Odebrała sobie życie. Może ty mi powiesz, dlaczego.

Głos jej brzmiał równo, bezdźwięcznie. Rzekłbyś, że wszelka żywotność ją opuściła.

Twarz jej była bledsza niż kiedykolwiek.

— Klaro, czy jesteś tego pewna?

— Zupełnie pewna. Oddychała tak dziwnie, tak głośno, zdyszana była, wreszcie posłałam po doktora. Po jego przybyciu oddychała coraz wolniej, jeszcze wolniej, aż w końcu przestała oddychać. On wstrzyknął jej jakiś preparat, ale to nie pomogło. Zeszłam na dół i zatelefonowałam do ciebie, bo pomyślałam, że lepiej będzie, jeżeli przyjdiesz tutaj... Kiedy wróciłam, już nie żyła. Doktor powiedział, że radzi mi odejść, a ponieważ już jej nie jestem potrzebna, więc usłuchałam.

Przy ostatnich wyrazach głos jej zadrżał.

— Co ona zażyła? — spytał Pax czując z rozpaczą, że ta żyjąca kobieta należy wyłącznie do tamtej, zmarłej, że grozi mu bezpowrotna utrata tej, którą kocha więcej niż siebie samego.

— Nie wiem. Jakiś hinduski narkotyk. Ghulam wie, co to jest. Ja wiedziałam tylko, że ona to zażywa, aby móc usnąć, ale od niedawna zmniejszyła dawkę. Sądziłam, że przyjazd Chrisa... — Znowu głos jej zadrżał. — Gdzie jest Chris?

— spytała.

— W hotelu. Nie chciałaś, żebym go poinformował, więc nic mu nie powiedziałem.

— Tak lepiej. On ją wzruszył, wstrząsnął nią tak strasznie dziś z rana! Nie byłabym go dopuściła do niej powtórnie. Nagle wzdrygnęła się.

— Czy tu nie jest strasznie zimno?

— Chodźmy do jadalni — rzekł Pax ponownie. — Tam jest chyba ogień na kominku?

— Tak, o ile nie wygasł. Byłam przez cały wieczór na górze. Czekaliśmy bardzo długo na przyjazd doktora.

Skierowali się do jadalni. Ogień istotnie wygasł. Pax przykląkł i po chwili udało mu się rozniecić płomienie.

— Czy kucharka jest jeszcze w kuchni?

— Tak. Mrs Chicory jest dzisiaj z nami. Przynajmniej powiedziała, że zostanie na noc. — Klara mówiła jak przez sen.

Pax poszedł w kierunku kuchni.

— Idę po wodę. Ty zostań tutaj.

Po krótkiej wymianie zdań z poczciwą kucharką, wystraszoną, zatroskaną i skłonną do rozmowy, wrócił i przytknął szklanekę do ust Klary.

— Pij, dziecko, to ci dobrze zrobi.

— Wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć — szepnęła Klara przestawszy pić.

— Wiem, rozumiem. — Pax przycisnął czule jej ramię. — Ale to chyba był wypadek.

— Nie, z pewnością nie. To się stało z powodu Chrisa. Coś w tym jest, coś, co ukrywasz przede mną. Ale teraz żądam prawdy. Nie możemy żyć nadal z tą zaporą pomiędzy nami. Jeżeli się dowiem, że uczyniłeś coś złego, potrafię to niewątpliwie przebaczyć. Ale nie mogę przebaczyć winy, której nie znam.

— Nigdy nie zawiniłem względem ciebie — odrzekł Pax z prostotą.

— O nią chodzi, nie o mnie. I ja i Chris wiemy, że między wami była jakaś tajemnica. Nie twierdzę, że mnie skrzywdziłeś. Nie miałeś sposobności. Ale widocznie skrzywdziłeś ją i to jest tajemnica śmierci Yvonne.

Pax cofnął się. W tych słowach było coś więcej niż podejrzenie. Był to akt oskarżenia. W jej oczach był wyraz niechęci i pogroźki, którego dotychczas nie zauważył u niej nigdy. Gdyby była zemdląca, byłby wiedział znacznie lepiej, jak z nią postąpić, byłby się mniej przeraził swej bezsilności.

— Yvonne — mówiła znowu Klara podnosząc się i stając przed nim majestatycznie niemal — była dla mnie duszą mej duszy. Rozumiałam ją... wyczuwałam ją... ona nie miała tajemnic przede mną. Jeżeli mi czegoś nie wyjawiała, cierpiąc tak okrutnie, uczyniła to przez wzgląd na mnie, ażeby mnie oszczędzić zbyt ciężkiego zmartwienia. Dzisiaj jeszcze po odejściu Chrisa, kiedy była tak strasznie wstrząśnięta, usiłowała wmówić we mnie, że jej niedomaganie jest natury czysto fizycznej. Potem prosiła mnie, abym ją zostawiła samą, bo chce odpocząć. Och, bodajbym była nie słuchała! Ale czyż mogłam wiedzieć?... — Załka-ła. — Ona kochała Chrisa i wiedziała, że on ją kocha. A ty stanąłeś na ich drodze. Ty nie pozwoliłeś na ich szczęście. A teraz, teraz...

Głos jej załamał się. Odwróciła się od niego i oparła się o ścianę. Słyszał jej szlochanie.

— Klaro — rzekł drżącym głosem — nie wiem, co masz na myśli, ale przysięgam ci przed Bogiem, że nie wyrządziłem żadnej krzywdy ani tobie, ani Yvonne, ani Chrisowi.

— Nie... wierzę... ci... Nie... mogę. Nawet... Ghulam cię... nienawidzi... Dlaczego?... Dlaczego?...

Pax odsunął się od szlochającej kobiety.

Na taką sytuację nie był przygotowany. Do tej nie dorósł. Nie wiedział, co rzec tej nieszczęśliwej.

Wtem usłyszał szmer za drzwiami. Wszedł Ghulam.

— Pan doktor — oznajmił zwięźle.

Zza niego wyłoniła się postać starszego, krępego mężczyzny w okularach.

— Jestem Tudor, Lennox Tudor — przedstawił się. — Pan jest zapewne kapitanem Packersley'em?

Pax przytaknął bez słowa.

— Obawiam się, że stoimy wobec nader przykrej sprawy — ciągnął dalej doktor obiektywnym tonem. —

Obowiązkiem moim jest zawiadomić władze.

— Tak — rzekł Pax.

Dr Tudor spojrział na Klarę. Zwróciła się ku nim obu i słuchała z wytężoną uwagą.

— Żona pańska dała mi do zrozumienia, że zwiększoną dawkę chora wzięła sama bez niczyjej pomocy. Nie podejrzewam, rzecz jasna nikogo... Nie kwestionuję tego zeznania. Ale to nie wystarcza. To mógł być wypadek. Nie wiadomo. Ale prawo jest prawem i dochodzenie musi się odbyć.

— Naturalnie — odrzekł Pax. — Proszę, niech pan przedsięwzięmie wszystkie potrzebne po temu kroki. Czy mogę się na coś przydać?

— Tymczasem nie. Nie był pan nawet obecny w domu podczas katastrofy, wszak prawda? Ale chciałbym, aby pan był obecny przy dochodzeniu domowym. Najlepiej będzie, żeby tymczasem nikt nie wchodził do pokoju zmarłej. Pozwoliłem sobie zamknąć drzwi na klucz. Teraz pójdę po pielęgniarkę do miasteczka i sprowadzę ją tutaj na wypadek, gdyby była potrzebna pani Packersley.

— Dziękuję — odezwała się Klara. — Chyba nie będzie mi potrzebna.

— Jak pani uważa. Teraz odchodzę. Ale proszę pana o jeszcze jedną informację. Wszaję ten hinduski służący jest wiarygodny?

Pax zawahał się. Klara odpowiedziała za niego:

— Służy on z poświęceniem mojej bratowej od szeregu miesięcy. W stosunku do niej był niewątpliwie wierny jak pies.

— Dobrze, dobrze. Jadę do miasteczka. Otworzył drzwi. — Cóż za noc! Niech się pan o mnie nie troszczy, kapitanie. Niech pan się zajmie żoną.

Wyszedł szybkim krokiem. Pax podszedł do Klary.

— A teraz — rzekł — zanim on wróci, pójdę do hotelu zawiadomić Chrisa.

— Tak. Sądzę, że to jest wskazane.

— Wrócę niebawem. Nie będę ci potrzebny? Podniosła oczy i spojrzała na niego twardo, bezlitośnie.

— Nie — rzekła donośnym głosem — nie chcę cię już widzieć nigdy w życiu.

Odwrócił się bez słowa, wziął do ręki kapelusz i płaszcz i wyszedł zostawiając ją samą.

Za oknami szalała burza. Pax śpieszył do Chrisa. Trzeba go zawiadomić, myślał. O czym innym wolał na razie nie myśleć. W uszach mu szumiało, krew krążyła w przyspieszonym tempie. Walka z rozszalałym żywiołem dogadzała mu w tej chwili. Pochłaniała siłą rzeczy jego uwagę, nie pozwalała na żadne rozmyślenia, zagłuszała straszny ból, jaki czał się w sercu.

Wiedział, że śmierć Yvonne nie była dziełem przypadku. Ale tym bardziej dochowa jej tajemnicy, chociaż straci przez to Klarę. To jest winien nieszczęsnej zmarłej, a przy tym należy oszczędzić Klarę. Ona jego nie kochała nigdy. Marzył tylko często o zdobyciu jej miłości, ale nie osiągnął jej ani na moment. Yvonne była jej oczkiem w głowie, Yvonne była jej umiłowaniem. On zaś cierpiał, bo kochał swoją żonę.

Ale dla niego nie ma powrotu. Klara nie dowie się prawdy. I bez tej świadomości dosyć się jeszcze nacierpi w życiu, biedaczka!

Musi się z nią rozstać. Ona uważa go za winnego śmierci Yvonne. A Yvonne była duszą jej duszy. Więc jakąż on może mieć nadzieję zatrzymania jej przy sobie? Zdobycia jej kiedykolwiek? Nigdy już nie weźmie jej w objęcia, nigdy już nie utuli jej żalu. Wzbudza w niej wstręt i nienawiść.

Wiatr dał z przeraźliwą siłą. Niebawem trzeba będzie stanąć oko w oko z nienawiścią Chrisa. Trzeba będzie podźwignąć i ten ciężar, bo Chris też nigdy nie dowie się prawdy.

Teraz jest już za zakrętem, już wchodzi pod drzewa, okalające hotel. Spostrzega się nagle, że całą drogę odbył przy jakimś świetle. Skąd to światło? Pomyślał o biednej Yvonne, tragicznej ofierze własnej lekkomyślności i własnych nerwów, pomyślał o niej z nagłym współczuciem, z serdecznością niemal. Okrutnie cierpiała, biedactwo! Dla niej lepiej, że spoczywa.

Ale skąd to światło? Widzi już bramę hotelu, myśli, że trzeba będzie podać się do dymisji i wyjechać z tej okolicy, uwolnić Klarę od siebie i nie narażać się na pośmiewisko ludzkie.

Skąd to światło? Słyszy nagle jakiś szmer. Jest coraz widniej. Chce się odwrócić, zobaczyć... Wtem pada cios. Pax czuje między łopatkami ostry, nieznośny ból. Mimo woli wydaje okrzyk i chwieje się na nogach. Jakiś nóż tkwi w jego plecach. Poprzez huk burzy i plusk ulewnego deszczu słyszy szatański śmiech. Ale nic nie widzi, bo pada na ziemię, kaszląc spazmatycznie i plując krwią, której smak czuje w ustach. Pada twarzą do piasku nie opodal wejścia do hotelu.

Peters znalazł swego pana bez przytomności przed hotelem. Zobaczył z przerażeniem nóż w plecach i krew dokoła. Wciągnął omdlałego do hallu, wezwał Chrisa Markhama, obaj zanieśli Paxa do wielkiego pokoju na pierwszym piętrze, złożyli go ostrożnie na łóżku. Otworzył oczy, odzyskał na chwilę świadomość. Klara! Klara! Ona będzie wolna. On umrze, ale jej to da możliwość szczęścia. Żeby tylko

209

miał pewność, że ona zdobędzie to szczęście, do którego on tęsknił daremnie! On nie zdołał jej zapewnić ani jednej szczęśliwej chwili, niestety! Lżej by mu przyszło umierać.

To była jego ostatnia myśl. Zapadł w głębokie odrętwienie, pogrążył się w mrokach nieświadomości.

WSCHÓD SŁOŃCA

Czy to światło na horyzoncie? Czy może latarka? I dlaczego oświetlają go, kiedy leży w agonii bezsilny, nieruchomy?

Co to za szept nad jego głową? Czy to wiatr porusza trawę na jego mogile? Czy też to powiew zmartwychwstania? Zawsze wiedział, że nastąpi cud wskrzeszenia, wiedział to nawet w tej mrocznej otchłani, w której był pogrążony, nawet wśród cierpień, w przerwach pomiędzy snem. Podstawową wartością była w nim ,ta iskra nieśmiertelności.

Wszystko jedno, czy ten cud należy do innego świata, czy do tego, który jest światem Klary.

Lecz szept staje się wyraźniejszy. Nie jest ciekaw, kto szepce, co mówią. Nie pragnie zbudzić się na tym świecie, na którym żyje Klara, woli spać w grobie, aż przyjdzie dzień, gdy powstaną oboje, złączeni. Stokroć lepiej otworzyć oczy, przebudzić się w innym świecie, bez agonii. Ani na chwilę nie zapomina, że ją utracił, cała jego podświadomość przepełniona jest myślą o niej, o kobiecie, dla której tyle przecierpiał, która nigdy nie należała do niego.

Zapomni o nim, zapewne już zapomniała... A on kochał ją, mimo że śmierć ich rozłączyła, lub rozłączy jąda chwila... Ta miłość była częścią jego istoty. Pragnął więc leżeć w grobie i czekać na nią, aż znajdą się oboje w tym świecie, w którym wszystko przybiera inne, nowe postacie. Może tam ona zrozumie i spojrzy na niego znowu oczami pełnymi uczucia i ufności.

Ale nie ziściła się ta jego tęsknota. Coraz wyraźniej widział przed sobą światło, coraz mocniej dźwięczały głosy dookoła niego. Od dawna nie dochodziły go żadne dźwięki, nie dostrzegał żadnych objawów życia.

Widocznie upłynęły lata, stulecia, od czasu jego śmierci, a on jeszcze pragnął leżeć w cichym grobie. Dlaczego go nie zostawia w spokoju?

— Był tak strasznie zmęczony — mówił teraz jeden z głosów — nie sądzę, aby go można było dzisiaj budzić.

— Więc będę musiał odjechać bez pożegnania — rzekł drugi głos. — Czy zechce mu pani powtórzyć, że go pozdrawiam, że go kocham jako mego najlepszego druha?

— Niech pan spróbuje mu to powiedzieć osobiście! Mam wrażenie, że zrozumie!

— Wstydzę się trochę — odrzekł tamten. — Mam czego!

Pax rozpoznał ten głos. Ocknął się zupełnie, otworzył oczy i pojął, że jego dusza jeszcze nie opuściła ciała, że on cały jest jeszcze wciąż na tym samym, dobrze znanym świecie. Bólu nie czuł, tylko wielkie osłabienie.

Ktoś ukląkł przy jego łóżku. Ujrzał twarz Chrisa.

— Drogi, najdroższy przyjacielu! — szeptał Chris niepewnym głosem. — To ja, Paxie. Nie mów! Pozwól mi tylko potrzymać przez chwilę twoją rękę.

Pax patrzył na niego. Nie miał zamiaru mówić. To było niepodobieństwem.

— Muszę odjechać — ciągnął dalej Chris, łykając łzy — ale ty już się masz lepiej. Nie przejmuj się niczym, aby nie wywołać, broń Boże, pogorszenia.

Oczy miał teraz pełne łez.

— Niech go pan nie porusza! — odezwała się pielęgniarzka, sympatyczny głos, pełen autorytetu. — On musi odpoczywać. Ja bym na pana miejscu odeszła już teraz.

— Dobrze. — Chris wstał z żalem i złożył łagodnie rękę Paxa na kołdrze. — Do widzenia, Paxie, stary druha!

Wracaj rychło do zdrowia dla ogólnego dobra! Niech cię Bóg ma w swej opiece!

Zniknął. Pax zamknął oczy i zadawał sobie pytanie, czy to była jawa, czy sen.

Otworzywszy oczy ponownie zobaczył siedzącą przy łóżku pielęgniarkę. Zdał sobie sprawę, że leży w wielkiej sypialni hotelu Wychmere, gdzie przed paru miesiącami mieszkała chora Yvonne. Pielęgniarka uśmiechnęła się życzliwie. Była bardzo sympatyczna. Pax słabym głosem zażądał Petersa. Były to pierwsze jego wyrazy od czasu strasznego wypadku.

Peters przyszedł. Między panem a wiernym sługą rozegrała się wzruszająca scena, której kres położyła energiczna interwencja pielęgniarki już po upływie minuty. Peters zdążył jeszcze oznajmić swemu panu, że żeni się z kucharką hotelową i że jest bardzo szczęśliwy, zwłaszcza teraz, kiedy jego panu nic już nie zagraża.

Gdy miał już wyjść z sypialni chorego, wpadła Elfryda, kręcąc ogonem.

Pax uśmiechnął się.

— Elfryda? — szepnął.

— Tak, przychodziła tu codziennie i wpatrywała się w pana z powagą, ale nie szczekała i nie hałasowała, jak gdyby wiedziała, jak cenny jest dla pana spokój.

Po wyjściu tych najwierniejszych przyjaciół Pax zapadł w stan dziwnej błogości.

W nocy śniło mu się, że Klara przyszła do jego pokoju i siedzi gdzieś w kącie, niewidocznym dla niego, obserwując go z tego ukrycia. Otworzył oczy i ujrzał przy oknie jakąś mglistą postać, a za nią wielki snop światła.

— Petersie! — zawołał słabym głosem.

— Sir! — odpowiedział natychmiast wierny sługa.

— Co to za światło?

— Sir, to jest wschód słońca.

— Aha! A ta postać przy oknie?

— Nie ma nikogo przy oknie, sir. Zdaje się panu...

— Ale ktoś był przy oknie?

— Sir, ja bym na pańskim miejscu nie dociekał tych rzeczy, tylko leżał i spał.

Pax posłusznie zamknął oczy.

Nazajutrz ujrzał przy sobie Cartridge'a. Stary człowiek uściskał mu dłoń ze wzruszeniem.

— Przyjacielu! — rzekł — wstawaj jak najrychlej, bo roboty jest strasznie dużo! A nie zapominaj, że jesteś współwłaścicielem hotelu! Dzięki twej propagandzie mamy ożywiony sezon zimowy, a ty już ósmy tydzień leżysz! No, ale teraz będzie dobrze! Odpocznij sobie, bracie!

Pax nie mógł odpowiedzieć. Czuł tyle serca za tą rozmyślną rubasnością, tak świetnie pochwycił subtelność wzmianki o wspólnocie własności Wychmere'u, że łzy go dławiły.

Wzruszenie, któremu starzec chciał zapobiec, opanowało rekonwalescenta z całą siłą, ale było to wzruszenie dodatnie, potrzebne mu do odzyskania pełni sił żywotnych. Uściskał dłoń Cartridge'a najsilniej, jak umiał obecnie, po czym wszyscy prócz pielęgniarki wysunęli się z pokoju i znów zaległa cisza, znów zapanowała błogość w jego omglonej jeszcze półśnem duszy.

Pielęgniarka przygotowała wszystko na noc i odeszła, życząc mu dobrej nocy. Pax nie miał nadziei na sen, zbyt wiele wrażeń doznał w ciągu dnia. Ale nie obawiał się samotności, mając pod ręką dzwonek, a nie opodał gotowego na każde skinienie Petersa.

I znów przyśniło mu się, że Klara jest przy nim. Ten sen sprawiał, że nie pilno mu było do obudzenia się. Ale nie wytrzymał: otworzył oczy i głośno wymówił jej imię.

— Klaro! Klaro!

Ktoś poruszył się w pokoju. Przerwa... Cisza...

Znowu przemówił. Sen rozwiął się. Stoi wobec rzeczywistości.

— Klaro? Czy to Klara?

I ujrzał ją przed sobą, powstającą z szezlongu, stojącego w nogach jego łóżka, niewidzialnego dla oka chorego. Miała na sobie błękitny szlafroczek. Taką ją pamiętał.

Bez szmeru przysunęła się do łóżka.

— Czym ci mogę służyć?

Głos jej był słodki. Był w nim odcień pokory. Zdawało mu się nagle, że słyszał już ten sam głos owej nocy, kiedy był zbyt odurzony narkozą, aby móc rozumieć...

Podniósł na nią wzrok. Zauważył, gdy się pochyliła nad nim, jak bardzo miała podkrążone oczy.

— Więc byłaś tu przez cały ten czas! — szepnął.

— Tylko nocną porą — odrzekła łagodnie. — Czy można ci coś podać? Może napiłbyś się mleka albo lemoniady?

— Nie, dziękuję. Chciałbym porozmawiać z tobą. Czy pozwolisz?

— Naturalnie, jeżeli ty sobie tego życzysz. Usiadła przy łóżku. Pax chwycił jej rękę.

— Dlaczego jesteś dla mnie taka dobra? — spytał. — Czyja umrę niebawem?

Błądą jej twarz oblał rumieniec.

— Nie, och nie! — odrzekła. — Jest ci znacznie lepiej.

— Czy istotnie wyzdrowieję zupełnie? — pytał dalej przyglądając jej się bacznie.

Wytrzymała jego spojrzenie.

— Da, Bóg, tak, niebawem — odrzekła stanowczo.

— Czy... pragniesz... abym... wyzdrowiał? Pochyliła się jeszcze bardziej.

— Pragnę tego bardziej, niż czegokolwiek na świecie — rzekła drżącym głosem — byłabym tego pragnęła w każdym razie.

Szczerść jej była niewątpliwa. Oczy miała pełne łez. Zresztą nigdy nie wątpił o jej szczerości. Klara nie umiała kłamać.

— Czy możesz mi powiedzieć, co się stało? — spytał. — Powiedz, jeśli możesz.

— Powiem ci najpierw, Paxie, że owej nocy, gdy odszedłeś, spostrzegłam się, że pragnę twego powrotu. My, kobiety, jesteśmy już takie, wiesz?

— Nie wiedziałem. Ale powiedz mi wszystko, ukochana. O ile możesz!

— Mogę. Gdy odszedłeś, czekałam na doktora i na pielęgniarkę. Wreszcie poszłam do pokoju Yvonne, bo czułam przemożną potrzebę

zobaczenia jej jeszcze raz. Wyglądała przepięknie, jak cudny posąg. Pocałowałam ją, była ciepła. Ale wiedziałam, że nie żyje. Już miałam wyjść z jej sypialni, gdy wtem zobaczyłam na biurku list zaadresowany do mnie. Ukryłam gwieszenie sukni i pobiegłam do mego pokoju. Chciałam go przeczytać w spokoju.

Urwała. Już teraz nie patrzyła na niego. Oczy miała spuszczone. Widocznie nie uprzytomniła sobie nawet, że gorące łzy spływały jej po policzkach.

— W liście tym — mówiła cichym głosem — Yvonne wyznała mi... wszystko. Przeczytasz kiedyś sam to pismo. Wiem, że jej przebaczysz. Píše ona tam o Guy'u, o jej miłości do Chrisa, o jej ucieczce do niego; nie wiedziała, że wyjechał. Píše o swym powrocie do Guy'a, o jego ataku szaleństwa i niesłychanej brutalności, o jej ucieczce do ciebie w nadziei, że przecież znajdzie Chrisa. Píše, że Guy dogonił ją, że ona w przystępie paniki chwyciła twój rewolwer i dała strzał, celując do elektrycznej latarki, którą trzymał w ręku. Nie wiedziała w danej chwili, co czyni, zapewnia mnie o tym, a ja wierzę jej chętnie, biedaczce! Opisuje, jak ty wzięłeś na siebie cały ciężar winy i uratowałeś ją od wstydu i od kary, ale potem życie straciło już wszelki powab, wszelką wartość w jej oczach. Kończy tymi słowami: „Daję za wygraną, ponieważ nie mogę już dłużej znosić tej doli. Musisz poznać całą prawdę, ale nie mogę się zdobyć na powiedzenie ci jej, patrząc ci w oczy. I potem nie mogłabym spojrzeć na ciebie, wytrzymać twój prawego spojrzenia. Ale gdy się spotkamy ponownie, o ile się znajdziemy w zaświatach... mam nadzieję, że mi przebaczysz, że przebaczysz mi już przedtem. Sądzę, że mi nie odmówisz przebaczenia. Zaklinam cię na tę cudną miłość siostrzaną, którą zawsze mi okazywałaś, abyś zbyt źle o mnie nie myślała i ulitowała się nad biedną Yvonne”. Zrozumiałam i przebaczyłam. Wiem, że i ty jej przebaczysz — dodała nie patrząc na niego.

Uścisnął jej dłoń pocieszająco.

— Klaro — rzekł — trzeba zniszczyć ten list. Musimy jej dochować tajemnicy, ty i ja.

Uśmiechnęła się przez łzy i nagłym ruchem objęła jego poduszkę.

— Och, Paxie, Paxie! — szeptała urywanym głosem. — I ty to

mówisz, i dziś jeszcze tak mówisz? Ty byś chciał tego?! Ale za późno, drogi mój... Ten list został ogłoszony drukiem, tajemnica została odsłonięta. — Szlochała z głową na jego piersiach. — Musiałam to uczynić. Tylko to mi pozostawało do zrobienia. I Chris życzył sobie tego.

Pax pogłaskał ją po twarzy.

— Ależ, kochanie, dlaczego? Nie powinnaś była tego uczynić.

— Czy nigdy nie myślisz o sobie? — szlochała Klara.

— Mogłem umrzeć. W takim razie...

— Nie mów tego! — zawołała. — Nie mów tak nigdy! Nie wiesz, co przecierpiałam z twego powodu! Czy nie rozumiesz?

— Sam nie wiem — odrzekł Pax. Przybliżyła się, ukryła twarz na jego poduszce.

— Gdy Chris zatelefonował do mnie i powiedział mi... nie mogłam w to uwierzyć. Doktor był u mnie, przybiegł natychmiast wraz ze mną, ale nie dał mi żadnej nadziei. Potem wezwaliśmy specjalistów, którzy dokonali okropnej operacji, potem przyszła policja, aresztowano Ghu-lama. On przypuszczał... szczerze tak mniemał... że będę zadowolona, że mi sprawi przyjemność...

Łkanie przerwało jej mowę. Przytuliła się mocniej do niego. Pax położył dłoń na jej głowie.

— I ty mnie pielęgnowałaś do tej pory?

— Tylko w nocy.

— Co noc?

— Tak. W ciągu dnia kazali mi spać. Pax uśmiechał się błogo.

— Teraz wierzę, że przyjdę do zdrowia!

— Musisz! Jesteś mi niezbędny. Będziesz mnie teraz miał przy sobie i za dnia i w nocy!

— Doprawdy?

— Och, czy nie rozumiesz, mój drogi?

— Rozumiem — szepnął z pewnym wysiłkiem, opanowany przemożnym wzruszeniem. — Rozsuń firanki, Klaro, co to za światło jest za oknami? Czy to latarnia nad gankiem?

— Masz na myśli to, co moja biedna Yvonne nazywała latarką elektryczną?

Rozsunęła firanki i wróciła do jego boku.

— To latarnia elektryczna samego Boga — rzekł uroczyście. — Teraz widzę cię wyraźnie, Klaro. Powiedz mi jasno, co mam rozumieć!

Pochyliła się ku «iemu, ale usta jej drżały i mówić nie mogła.

— Bliżej! — szepnął — Bliżej!

I jej drżące usta spoczęły na jego ustach.

— Dzień dobry, sir — rzekł Peters, wchodząc do sypialni chorego o zwykłej godzinie.

— Dzień dobry, Petersie! — odrzekł Pax. — Wiesz, widziałem dziś wschód słońca.

— Dzień dobry, madame! — rzekł Peters do Klary, stojącej po drugiej stronie łóżka.

— Dzień dobry, Petersie!

— Widziałem dziś najpiękniejszy wschód słońca, jaki mi było dane podziwiać kiedykolwiek w życiu. I za to dziękuję Bogu!

— Sir, to było urządzone umyślnie przez Pana Boga — odrzekł Peters z powagą i przeświadczeniem.

— Tego nie wiem — odrzekł Pax z uśmiechem — ale składam dzięki Panu na wysokościach.

— Proszę pana — rzekł Peters — myśmy się wczoraj pobrali, a moja żona poleciła mi powiedzieć panu, że taka szczęśliwa jak jest obecnie, nie była nigdy w życiu, czego i panu życzy, a ja również!

Wzruszony po wypowiedzeniu tego wyszukanego powinszowania, Peters wyszedł szybkim krokiem z pokoju zamykając dość głośno drzwi za sobą.

— Dziękujemy, Petersie! — zawołał za nim Pax. Zwróciwszy się w stronę żony zobaczył oczy Klary utkwione w nim

z wyrazem pełnym czułości i rozumu. Pojął, że od tej chwili pójdą razem przez życie, a tym samym teraz dopiero zaczną żyć naprawdę.

KONIEC